


V
B
J
C

WSPOMNIENIA

z niedawnej przeszłości

przez

ks. Adama Słotwińskiego, Pijara,

zebrane

i wielce czcigodnemu, Ojczyźnie zasłużonemu Mężowi

Wnemu Panu Stefanowi Buszczyńskiemu

poświęcone.

Cena egzemplarza 1 złr. w. a.

KRAKÓW. — NAKŁADEM AUTORA.
W DRUKARNI W. KORNECKIEGO.
1892.

Skład główny w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

WSPOMNIENIA

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

PRZEZ

ks. Adama Słotwińskiego, Pijara,

zebrane

I WIELCE CZCIGODNEMU, OJCZYŻNIE ZASŁUŻONEMU MĘŻOWI

Wnemu Panu Stefanowi Buszczyńskiemu

poświęcone.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(1860–1871).

Cena egzemplarza 1 złr. w. a.

KRAKÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1892.

Skład główny w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

DRUK W. KORNECKIEGO W KRAKOWIE.

Czcigodny Panie Stefanie!

Głękokiem dla Ciebie przejęty uczuciem, o Twych wielkich zasługach przekonany, ośmielam się w bieżącym, trzydziestym już roku ciągłej, niezmordowanej a tak zbawiennej dla narodu i przyszłych jego pokoleń pracy Twojej na niwie dziejoznawstwa ojczystego złożyć Ci, Zacny i Szlachetny Mężu, w dowód czci i uznania skromne te wspomnienia z życia mego i działalności publicznej.

Ty, Panie Stefanie, śmiało, otwarcie i szczerze ostrzegałeś młode pokolenie, aby w zepsutej szkole historyi nie straciło wiary ojców — ideału przodków i ducha narodowego. Ty w prawdziwem świetle przedstawiłeś i bezstronnie oceniłeś tych, którzy dziś wśród narodu na wzór Targowicy szerzą zwątpienie w szczęśliwszą przyszłość dowodząc, że pogodzenie się z obecnym losem jest nieuniknioną koniecznością.

Ty — szczery i żarliwy Obrońco duchowieństwa polskiego, uznałeś poświęcenie jego i czyny, godne zaiste uczniów Mistrza naszego Chrystusa, czyny, co wiarę katolicką zlały w jedną nierozdzielną całość z ideą narodową.

Duchowieństwo polskie z pod zaboru rosyjskiego, które wraz ze swymi Biskupami postanowiło na zjazdach dyecezyalnych w r. 1861 łączyć się z istniejącemi wówczas dążnościami narodu,— następnie oplwane i deptane, ma obrońcę w Twojej osobie.

Kraków, dnia 3 Maja 1892.

Autor.

PRZEDMOWA.

Czytelniku! Wyrób sobie sąd i wypowiedz swe choćby najsurowsze zdanie o piszącym, ale po przeczytaniu dopiero moich pamiętników i kroniki, a nie przed przeczytaniem, jak to zwykle czynią dzisiejsi niepowołani, tendencyjni krytycy, myśląc, że zabiją swego przeciwnika żółcią stronniczości i uprzedzenia.

Poważając się drukiem ogłosić swoje wspomnienia, miałem jedynie na myśli dowieść młodemu pokoleniu, jaki w ogólności na prowincyi, w różnych stronach kraju polskiego pod zaborem moskiewskim, był rozwój ducha narodowego i moralności chrześcijańsko-katolickiej.

Dowie się także czytelnik o moich usiłowaniach i pracy siedmnastoletniej w celu restytucyi Zgromadzenia mego.

Jeśli nie jest prawdą, co piszę w moich Wspomnieniach, to ujrzysz fałsz wyryty na duszy mojej w wieczności.

Trzymam się „Spowiedzi" św. Augustyna, przedstawiam się naturalnym człowiekiem nie kryjąc swych wad i ułomności; albowiem nie chcę zostać kłamcą w obec Boga, przyjaciół, którzy już zeszli z tego świata walki, i w obec tych rodaków, którzy powodowani materyalizmem lub skłonnością do wygodnego życia, odstąpili mnie w Krakowie przy wykonaniu zamiaru mego, wśród usiłowań moich, aby

sprowadzić odrodzenie Zgromadzenia Pijarów w Polsce. — Zgromadzenie to, tak użyteczne kościołowi i Polsce, słynęło w Królestwie, Litwie i Krakowie; dziś tylko z tradycyj o niem wiedzą — i to rzadko; a młode pokolenie zaledwie jeszcze z ust prawej szlachty słyszy o Pijarach w Galicyi. Katedry uniwersyteckie, pisma naukowe i pedagogiczne dziś, jakby z umysłu, omijają okres pijarski. Pragnąłem całą duszą zreorganizować to Zgromadzenie tak potrzebne narodowi polskiemu, aby na dziełach bez wartości naukowej, obłudzie i na niemiecko-oligarchicznej literaturze, jak dotąd przez lat ośmdziesiąt, wychowywanym nadal nie był. Com mógł, tom czynił; walczyłem z liczebną przewagą, ze złością stowarzyszonych różnego kalibru wrogów, sam! niemając nic nad łaskę Boską i zaufanie zupełne generała Zakonu naszego Casanovas.

Kto był wrogiem rozwoju Zgromadzenia, o tem czytelnik z moich „Wspomnień“ a szczególniej z kroniki domu pijarskiego i korespondencyi moich z władzami, prywatnemi instytucyami i osobami się przekona i sprawę sam osądzi.

„Przeklęty ten Naród — którego bohaterowie są inni po śmierci jak za życia“.

„Tnij prawdę, a o resztę nie pytaj“, bo i św. Paweł mówi: „Prawda cię zbawi“.

Na dwie części dzielę te moje Wspomnienia. W pierwszej mieści się com zdziałał od r. 1860 do 1871, jako ksiądz-obywatel — w drugiej, co od r. 1872 do dziś, jako Polak-Pijar.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(1860—1871).

Opole (nad Wisłą).

W roku 1860, czyli w lat kilka po śmierci Mikołaja, Polska z dziesięcioletniego letargu zaczęła wstrząsać więzami i kajdanami. Duch się ocknął, uczucia zapaliły i młodzież zaczęła się organizować, mając jedynie na celu odzyskanie niepodległości Ojczyzny.

W tymto czasie mój Prowincyał ks. Kasterski wysłał mnie z Radziejowa do Opola nad Wisłą na żądanie ks. Rektora Gutowskiego z Opola, który miał przewagę na sesyi Rektorów z powodu, że w jego Collegium był Nowicyat i parafia do tegoż należąca a licząca do 8000 dusz. Rektor Collegium Radziejowskiego ks. Jan Grądzki (na Syberyi zmarły) usiłował wstrzymać na 2 miesiące moją obedyncyę do Opola, bośmy bardzo serdecznie żyli ze sobą. Był przekonany o mej życzliwości dla niego. Godziłem go z parafianami i zrobiłem mu wielką niespodziankę w gospodarstwie, bom wyrobił u parafian, że przeszło 60 pługów gratis wyszło jednego dnia na pola pijarskie aby rola nowo przyłączona Pijarom nie leżała odłogiem. Rektor widząc tę przychylność parafian kujawskich ze łzą w oku dziękował mi za tę przysługę i zawołał: „Nie zasłużyłem na taką niespodziankę — szorstki byłem dla nich.“

Zmęczony kilkudniową a nadewszystko wielce niewygodną podróżą przybyłem ze spuchniętą nogą do opolskiego Colle-

gium. Położywszy się w łóżko przez lokaja prosiłem ks. Rektora o cytrynę do herbaty — byłto bowiem szabas, a w Opolu wszystkie sklepy przez synów Izraela wyłącznie i jedynie utrzymywane były. Niestety! zamiast cytryny, lokaj mi przyniósł kwaśniejszą od cytryny odpowiedź, że Rektor nieposiada składu cytryn. Ta szorstka, ironiczna i prawie dzika relacya bardzo smutne na mnie zrobiła wrażenie — gdzież bowiem więcej, niż w gościnnej od wieków Polsce, przodowały zakony w objawach serdeczności, których ks. Gutowski był nieubłaganym odstępcą.

Na drugi dzień o godzinie 6 $^1/_2$ rano wszedł do mnie ks. Rektor Gutowski i jeszcze w progu zapytał z uśmiechem arcysarkastycznym: „Czy ks. Słotwiński przybył do parafii, czy też do szpitala na chorego?“

W najwyższem oburzeniu podniosłem się z łóżka i zawołałem: „Wyjdź księże Rektorze, bo się cierpliwość wyczerpała.“ Ks. Gutowski widząc moje nieudane uniesienie, cofnął się i wyszedł.

Raczcie osądzić Czytelnicy, kto z nas przekroczył prawa przyzwoitości towarzyskiej i uchybił odwiecznej polskiej tradycyi zgromadzeń zakonnych, zwłaszcza że byłem Pijarem i u Pijarów żądałem tak małej grzeczności.

Do opolskiej parafii trzech nas Pijarów właściwie należało, a mianowicie: ks. Magister Aleksander Grudziński, ja i ks. Gajewski.

Ozdrowiawszy wypełniałem gorliwie me obowiązki w szkole i w kościele, ale że ks. Gutowski musiał często zastępować zamiłowanego w bezczynności ks. Gajewskiego, przeto zapłonął do mnie złością, iż ja go nie spieszyłem w tem zastępstwie wyręczać.

Ta drażliwość sytuacyi była powodem, iż pojawiałem się tylko w refektarzu a nigdy u Rektora na drugiem śniadaniu niedzielnem nie bywałem.

W tymto czasie młodzież z wyższych zakładów naukowych warszawskich rozjechała się po kraju dla rozdmuchania tlejących pod popiołami iskierek — dla rozbudzającej ducha narodowego propagandy.

Leon Frankowski przybył do Opola, zamieszkał w aptece i z aptekarzem Kostkowskim odwiedzał nasze Collegium a w pogadankach badał pulsa nasze bezpośrednio a pośrednio przez nas starał się wybadać stopień patryotycznego usposobienia miejscowych i okolicznych mieszkańców.

Powziąłem do tego młodzieńca instynktową sympatyą i w ściślejsze z nim wszedłem stosunki.

Ks. Gutowski, z natury podejrzliwy, słysząc od sąsiednich obywateli, iż się odbywa jakaś narodowa propaganda, zwietrzył we mnie chętny w niej udział i w refektarzu robił mi dotkliwe przycinki. Z powodu tego byłem zmuszony ostrzedz Frankowskiego, aby zaprzestał odwiedzać mię w Collegium.

W trakcie tego nadeszło jakieś święto brackie. Ks. Gutowski celebrował summę, a ja w kazaniu wytykałem główniejsze błędy parafii. Wskutek niepojętego i niczem nieuzasadnionego urojonia ks. Gutowski wyobrażał sobie, że ja go w tem kazaniu krytykowałem; oskarżył mię więc najniesłuszniej przed Prowincyałem, po czem ks. Prowincyał polecił mi pod suspensą, abym na przyszłość swoje kazania udzielał ks. Rektorowi do poprzedniego przeczytania. Przesłałem owo oskarżone kazanie ks. Prowincyałowi. Ks. Kasterski poddał go pod krytykę księży Krupińskiego i Chromeckiego, a ci jednomyślnie uznali, że w kazaniu mojem nic nie ubliżało ani wierze, ani moralności, ani też osobie ks. Rektora. W miesiąc potem otrzymałem od ks. Prowincyała obedyencyę do Collegium chełmskiego. Ponieważ Pijarzy w Chełmie mieli parafię, więc polecono mi zastąpić proboszcza a zarazem Rektora ks. Stempińskiego, obłożnie chorego na suchoty. Chociaż w Opolu potrafiłem pozyskać serca i przychylność wszystkich parafian, jednak szczerze wyznać muszę, iż z wielką rozkoszą opuszczałem opolskie Collegium z powodu doznanych tam ze strony ks. Gutowskiego przykrości.

W całej opolskiej parafii był tylko jeden dwór obrotnego dorobkiewicza, starego kawalera i milionera Kazimierza Wydrychiewicza, który czasem był w dobrej a niekiedy w złej komitywie z Rektorem; obaj bowiem byli dumni i płytkiego umysłu ludzie. Obywatel Wincenty Bielski także bardzo często

odwiedzał Rektora, z którym grywał w karty i rozprawiał o gospodarstwie, gdyż ks. Gutowski był dobrym gospodarzem, chociaż siał i zbierał tylko wyłącznie dla siebie. Piękny wszelako inwentarz martwy i żywy zostawił Pijarom.

Pobyt w Chełmie.

Na własny koszt wyruszyłem furmanką z Opola i z bijącem sercem przyjechałem do rodzinnego miasteczka Bełżyc 3 mile od Opola odległego. Noc już zapadała, kiedy przestąpiłem próg rodzicielski. Matka mnie ze łzami radości powitała, a przybycie moje przybrało charakter uroczystości familijnej, gdy się zebrało kółko z licznych choć najbliższych tylko krewnych moich złożone.

Złożywszy wizytę ks. proboszczowi Antolskiemu a następnie dostawszy od matki mojej nieco bielizny i na dalszą podróż grosza, udałem się do Lublina; tu odpocząwszy nieco i zakupiwszy kilka książek, wyruszyłem na noc do Chełmu, jako miejsca mego przeznaczenia. Po całonocnej podróży ujrzałem nad ranem Chełm, który się wynurzał z brzasku w całym swym majestacie. Kościół i Collegium pijarskie przy głównym wjeździe podnosiły naturalny wdzięk wspaniałego położenia i okazałego wjazdu, a prawie pałacowa struktura obszernych budynków imponowała przyjemnie zdumionemu oku. Po przybyciu natychmiast zgłosiłem się do ks. Rektora Stempińskiego, chorego na suchoty, który przyjąwszy mię serdecznie oddał do mych rąk cały zarząd parafii i gospodarstwa, składającego się z dwóch folwarków, a ja z mej strony najuroczyściej mu przyrzekłem, iż bez jego wiedzy i zezwolenia żadnego ważniejszego kroku ani w parafii, ani w gospodarstwie pod żadnym pozorem nie podejmę. Przeznaczył mi dwa pokoje na mieszkanie. Wkrótce po mojem zainstalowaniu się złożyłem wizyty miejscowemu dygnitarstwu, które reprezentowali burmistrz, lekarz, sędzia i aptekarz, a którzy mię przyjęli z pompatyczną, w małych miejscowościach zwykłą powagą.

Po upływie kilku tygodni zrobiłem najważniejszą wizytę, bo odwiedziłem biskupa unickiego ks. Jana Teraszkiewicza, który mię szczerze pokochał. Wreszcie zapoznałem się z całym składem seminaryjnych Unitów i zawarłem bliższą znajomość z krewnym biskupa ks. Józefem Wójcickim, sławnym intrygantem — jak się to niżej pokaże — który miał nieograniczony wpływ na biskupa i podług upodobania nim rządził. Zaraz w początkach dostrzegłem, że w parafii ks. Reformaci mają widoczną i niewątpliwą przewagę nad całą obrządku łacińskiego ludnością, a to z powodu, iż większy w ich kościele niż w naszym panował porządek. Oprócz tego ks. Stempiński chorobą swą zdenerwowany i zniecierpliwiony wydawał się niewnikającym w głąb rzeczy parafianom jako zbyt dumny, szorstki i w obcowaniu nieprzyjemny.

Wkrótce po mojem przybyciu do Chełma zaprowadziłem w kościele różaniec i naukę katechizmu po nieszporach a za wiedzą i zgodą rektora przeszedłem całą parafią z wizytą pasterską i zrobiłem wraz z organistą spis ludności obrządku łacińskiego. Wziąłem także w opiekę szkołę nader liczną, bo do niej unickie i łacińskiego obrządku dzieci uczęszczały.

W tym czasie poznałem nadętego szlachcica, nieprzychylnego Pijarom, Wincentego Bielskiego z Ura — poznałem się także z młodymi Niemirowskimi w Nowosiółkach; mieli oni wprawdzie dobre serce, ale byli wielce ograniczonego umysłu.

Intelligencya i wykształcenie szlachty miejscowej oprócz niektórych bardzo rzadkich wyjątków, niezmiernie wiele pozostawiały do życzenia. Nieumiejętność ortograficzna, bardzo często zwłaszcza w listach się przytrafiająca, była na porządku dziennym. Jedynie paplanina francuska i to niekoniecznie poprawna, emancypowała ich i wyróżniała od mas w zupełnej pogrążonych ciemnocie.

W tej jednak jałowej pod względem duchowym i umysłowym okolicy odznaczali się, jak brylanty w śmieciach, dwaj dzielni ludzie, obywatele ziemscy, a mianowicie: Adolf Smorczewski ze Zdannego, zdolny, pracowity, braterską swych włościan otaczający opieką rolnik, i Jan Bohdanowicz z Nadrebia, dobry, serdeczny towarzysz a odważny patryota.

Mogę bez przesady powiedzieć, że mię lubiano i, rzec mogę, wydzierano sobie w mieście i okolicy, a jakby magnesem przyciągnąłem wszystkich bez wyjątku parafian do kościoła parafialnego. Za pomocą ich zdołałem niejedno do należytego przyprowadzić porządku w kościele naszym; oczyściłem go z kurzu, światło porządne zaprowadziłem, o czystą bieliznę kościelną się postarałem. Kościół ten piękne freski posiadający fundowała rodzina Swirskich, a konsekrował biskup Chełmski Jan Szaniawski, przyjaciel Pijarów. O ile czas mi pozwalał, zajmowałem się polepszeniem gospodarstwa na folwarkach. Ks. Reformaci zmuszeni byli o 10-tej rano kończyć swe nabożeństwo, aby nie robić uszczerbku nabożeństwu parafialnemu.

Poznałem także Bronisława Ettingera, zdolnego młodzieńca, świeżo z Petersburskiego uniwersytetu na posadę do chełmskiego sądu przybyłego. Od pierwszego widzenia się instynktowo przylgnęliśmy do siebie i pokochaliśmy się; mieszkaliśmy na jednym kurytarzu w Collegium i zgadzaliśmy się we wszystkich naszych poglądach politycznych i społecznych. Bywaliśmy w tych samych towarzystwach i popieraliśmy się wzajem w konwersacyi. Wsie szeroko były rozsiane, a lud zamieszkujący je bardzo ubogi i zaniedbany. Dzieci brudne — na odgłos dzwonka oznajmiającego przybycie kapłana na examen katechizmowy, z płaczem uciekały jak szalone do pobliskiego lasu.

Mężczyźni i niewiasty nosili obuwie z wierzbowego łyka, nie zdejmując go na noc, co bezwątpienia niekorzystnie na stan ich zdrowia wpływało.

Chałupy i gospodarstwo z XIV wieku. Najelementarniejsze pojęcia religijne były im zupełnie obce i nieznane. To też wszelkiemi sposoby zachęcałem parafian, aby na naukę katechizmu przysyłali swe dzieci do parafialnego kościoła.

Jednym z lokatorów naszego Collegium był doktor medycyny Strzelbicki, żywy i wygadany Krakowianin. Prowadził on dom bardzo miły i uprzejmy i często mnie i Ettingera do siebie zapraszał.

Pewnego razu prosiłem doktora będąc u niego na herbacie o poparcie mego wniosku, w którym motywowałem zakupienie dla parafian gospodarzy 60 par butów, i o przyniewo-

lenie ich za pomocą burmistrza Kurpińskiego, nam przychylnego, aby łyko zrzucili, a buty włożyli i starali się do nich powoli przyzwyczaić. Wszyscy jednogłośnie i jednomyślnie ten mój wniosek przyjmując złożyli po 3 ruble, a przez parę tygodni w dalszym ciągu składki uzbierało się tyle, żeśmy 50 par butów zakupili. Wskutek zaś zapowiedzenia z ambony 30 gospodarzy przybyło na korytarz naszego Collegium, gdzie zachęcani przez nas, niektórzy z nich bez wielkich korowodów buty powkładali; ale byli i tacy, co niechcieli zdjąć swoich chodaków, a gdy służba obcinała im łyka, z pod pięt ruble srebrne na podłogę z dźwiękiem się rozleciały, co wielkiej uciechy i ogólnej wesołości powodem się stało.

Było to w niedzielę, Rusini wobec licznie zgromadzonego ludu wpośród rynku tryumfalnie się przechodząc, jak koty orzechowemi skorupami podkute, wywołali śmiech ogólny. Po tej jednakże próbie, stopniowo przyzwyczaili się do butów i potem już z własnej kieszeni je zakupywali. W tym czasie zawarłem znajomość z dziedziczką Ostrowa, parafianką Czapuczyńską, która mnie prosiła, abym jej dziesięcioletniego syna do gimnazyum przysposobił.

Miły i nad wszelki wyraz zdolny Karolek przybywał do mnie codzień na parę godzin. W przeciągu 12 lekcyj oprócz innych rutyną objętych ćwiczeń, nauczył się całą „Maryę“ Malczewskiego najwyborniej z pamięci deklamować — Korneliusza tłumaczył nie źle a w geografii i historyi zadziwiające robił postępy; grał dobrze na fortepianie i w przeciągu roku zacząwszy od nauki pisania zdał wybornie examen do trzeciej klasy gimnazyalnej w Lublinie.

W miłym domu państwa Strzelbickich poznałem ks. Klemensa Panasińskiego, dwóch Pociejów i księdza unickiego Zieniewicza.

Byłem z nimi na stopie przyjacielskiej, ale najbardziej do serca mi przypadł ks. Klemens Panasiński, prokurator unickiego Seminaryum, w którem bardzo często bywałem. Z różnych źródeł dowiedziałem się o nędznym charakterze Rektora Seminaryum ks. Wójcickiego. W naszej łacińskiej parafii było sześciu proboszczów, i wszyscy oni uważali ks. Wójcickiego jako

szpiega moskiewskiego namawiającego rząd, aby Unitów do przyjęcia schizmy przymusił korzystając z miękkości charakteru ks. Biskupa Teraszkiewicza.

W rozmowach moich z mieszkańcami różnych klas i z naszym Rektorem dowiedziałem się, że Wójcicki nietylko jest przekupnym, ale nadto zdolnym do denuncyacyi władzom moskiewskim i wreszcie do wszelkich najnikczemniejszych podłości, któreby mu jakiś zysk zapewniały.

Pewnego dnia księża Panasiński, Pociej i Wice-Rektor Seminaryum Harasowski przybyli do mnie, błagając na wszystko, aby im pomódz do Biskupa nie dopuścić przysłanego przez rząd moskiewski schizmatyka ks. Rakowskiego z Węgier, mianowanego przez Muchanowa Rektorem miejscowego Seminaryum.

Widzieli oni w tej nominacyi wielkie dla Unii niebezpieczeństwo.

Bez najmniejszej zwłoki zebrałem kilku najpoważniejszych obywateli i wraz z nimi udałem się do Biskupa w celu uprzedzenia go, dodania odwagi i, jeżeliby to było możliwe, asystowania w czasie jego rozmowy z owym niebezpiecznym schizmatykiem. Oprócz tego zobowiązaliśmy przedtem żonę ks. Wojcickiego, aby jako siostra Biskupa wpłynęła na Jego opozycyą w przyjęciu do Seminaryum tak zdradzieckiej misyi agenta.

Biskup rozrzewnił się naszem przybyciem i zaprosił nas na śniadanie.

Gdy ów wysłaniec szatana czy Mongoła wszedł w Biskupa progi i przyjęty ze zwykłą grzecznością usiadł z nami do śniadania, Biskup rozpoczął z nim zaczepną rozmowę, a ostatecznym rezultatem tej rozmowy było nieprzyjęcie nominacyi tego schizmatyka, który z furyą niezwłocznie Chełm opuścił.

Biskup rzekł do odjeżdżającego, oddając mu jego nominacyą: „Ja nie prosiłem J. Exc. Muchanowa o Rektora do Seminaryum chełmskiego. Mamy w swej dyecezyi prawych, zdolnych i świątobliwych kapłanów, którzy z korzyścią mogą być przełożonymi kleru naszego“. Oto pokazuje się, że kuźnia i organizacya schizmy dla Unitów nie w Warszawie, nie we

Lwowie, ale w Węgrzech stałe miejsce miała. Wszelkie fałszywe historye Rusi i obrządku unickiego ztamtąd do Galicyi i dyecezyi Chełmskiej się rozchodziły.

Ks. Wójcicki uwiadomiony o przyjeździe tej Muchanowskiej kreatury, wyjechał na parę dni do Lublina, aby uniknąć wszystkiego, coby go w obec rządu moskiewskiego kompromitować mogło.

Po kilku dniach powróciwszy udawał wielkie zadowolenie i admiracyą dla nas i Biskupa, mnie zwłaszcza wyszczególniał ostentacyjną serdecznością.

Ta obłudna atencya bynajmniej nas nie oszołomiła. Porozumiawszy się z ks. Euzebiuszem, gwardyanem OO. Reformatów, napisaliśmy artykuły do „Czasu“ krakowskiego i innych pism galicyjskich o tem wszystkiem, co zaszło i o tej ks. Biskupa pochwały godnej stanowczości, a zrobiliśmy to jedynie w celu podniesienia ducha w Unitach. Wójcickiego wychwalaliśmy także, żeby go wobec moskiewskiego Rządu skompromitować, czego tak skwapliwie właśnie uniknąć pragnął. Po przeczytaniu tego artykułu, napisał ks. Wójcicki do Muchanowa, uniewinniając się, że to wszystko bez jego wiedzy i w jego nieobecnoćci się stało.

Wójcicki raportował naczelnikowi żandarmów nawet o tem, że młodzież Seminaryum udała się gromadnie do ks. Biskupa, aby mu podziękować za energiczne oparcie się niecnym zamysłom służalców schizmy.

Ów nędznik Wójcicki w swym raporcie tajemnym wystawił mnie jako głównego inicyatora i winowajcę wszystkiego, co u Biskupa zaszło; dowiedziałem się o tem od cukiernika Grabowskiego, którego o wszystkiem oficerowie stojący w Chełmie najdetaliczniej, choć w sekrecie, poinformowali.

Podówczas właśnie w Chełmie unici i katolicy w bardzo dobrych ze sobą pozostawali stosunkach. Celebrowano u siebie wzajemnie bez różnicy — spowiedź, śluby, chrzty i pogrzeby odbywały się, jakby w jednym i tym samym kościele. Żyliśmy prawdziwie po bratersku, a starzy Unici z za Bugu, niby to na schizmę nawróceni ukazem, tłumnie przybywali do spowiedzi

podczas naszych odpustów. Wszelkie zabawy familijne, odpusty, pogrzeby kościelne wspólnie odprawiano i mawiano: „Jedna Polska, jeden Kościół katolicki“. Niektóre dwory nasze zapominając o obowiązkach względem plebanii unickich, nie goili ran dawniej rodzinom unickim zadanych. Ks. Proboszczowie za to otwierali unitom swoje plebanie i serca.

Przez ten cały czas ks. Rektor Stempiński łóżka nie opuszczał; za jego wiedzą zapisałem się do Towarzystwa rolniczego i na wszelkich sesyach i zjazdach pojawiałem się jako członek Towarzystwa rolniczego, reprezentujący Zgromadzenie Pijarów.

Rozprawy na tych zjazdach, dyskusye i debaty miały nieraz swe doniosłe, pouczające znaczenie.

Liczba obywateli, przybywających na te zjazdy z powiatów: Hrubieszowskiego i Krasnostawskiego, niejednokrotnie do 100 osób dochodziła. Spotykałem tam wyżej wspomnianego Jana Bohdanowicza. Był on kolegą emigracyjnym mego brata, Pawła Słotwińskiego, i przez niego to głównie do pracy politycznej byłem na dobre wciągnięty.

Przed każdym zjazdem Tow. roln. Bohdanowicz zjawiał się u mnie w towarzystwie kilku młodych obywateli i radziliśmy wspólnie, jakie mamy postawić wnioski. Kółko to nazwało się: „Towarzystwem czynu“ i miało nietylko na celu pług i inwentarz, ale obudzało również ducha w sprawie narodowej; np. postawiło na zebraniu obywatelstwa dwóch powiatów wniosek następujący: aby wybrana z trzech obywateli komisya zbadała szczegółowo wiadomości tyczące się życia tak obywatelskiego jak i politycznego Mgrb. Wielopolskiego i Hr. Andrzeja Zamojskiego, a po złożeniu relacyi rozstrzygła, za którym z tych mężów stanu cały naród polski ma iść w sprawie narodowej. Po upływie 3 miesięcy komisya wyznaczona na wspólnem zebraniu członków Tow. roln. tych dwóch powiatów oświadczyła się jednozgodnie za Andrzejem Zamojskim.

Czyjaż wina, jeśli nie „Białych“, że udsunęli Margr. Wielopolskiego od Narodu? Niech Czytelnik postara się o list otwarty Zygmunta Wielopolskiego syna do J. W. Stanisława hr. Tarnowskiego, (str. 12 i 13, Kraków, 1879), z którego się przekonać może, jak nasza szlachta i merynosy magnaci zdra-

dzili Wielopolskiego i nie przyszli mu w pomoc Narodową, ale jak tchórze cofnęli się — a po upadku powstania na Naród i Młodzież napadają i im winę nieudania się powstania przypisują! Czytaj Tekę Stańczyków, Tekę Nieczui, a przeciw tej Tece Nieczui i Obronę spotwarzonego narodu.

Dalej mówiła ta Komisya, że poza granicą Polski widziała się osobiście z Mierosławskim i Lelewelem. Z wielką uwagą obecni słuchali tych wiadomości. Obywatele A... R... P... zaczęli opowiadać rozmowę z Ludwikiem Mierosławskim w jego pomieszkaniu w Paryżu:

Zastali generała w kaftanie przy warsztacie: nad warsztatem i po ścianach widzieli różne narzędzia, niby na zgubę szlachty. W lakonicznej rozmowie proszą generała w imię narodu, aby się nie mięszał do sprawy narodowej, i aby nie wysyłał emisaryszów z Paryża do Polski. Mierosławski donośnym głosem rzekł: „A któż Wam dał mandat taki do mnie!“ Uderzając ręką w warsztat „ja wam pokażę“ krzyknął! Przestraszeni spiesznie opuścili mieszkanie jego, słysząc jak porozwieszane narzędzia zadrgnęły (to samo w r. 1865 słyszałem z ust generała w Paryżu).

Deputacya ta wracając z Paryża wstąpiła w Bruxelli do Lelewela. Z wielkim szacunkiem i powagą powitali Nestora historyków, członka Rządu narodowego z r. 1830 w jego ubogiej celi, radząc się tego męża o potrzebach kraju i zapytując, co naród ma robić wobec tak głośnych manifestacyi i demonstracyi, jakie odbywają się w całej Polsce. Widząc wielkie ubóstwo w jego celi złożyli nieznacznie spory rulonik napoleonów na stole. Lelewel przy pożegnaniu tych panów spostrzegłszy rulonik, z gniewem rzucił go za odchodzącymi na schody mówiąc głośno; „Polacy młodzi zmateryalizowani chcą mamoną odurzyć starca stojącego nad grobem; idźcie precz z takiemi podarunkami, nie martwcie starca.“

W trakcie tego w r. 1861 krew popłynęła na ulicach Warszawy; wypadki te zelektryzowały całą Polskę, a obywatele z okolic Chełma zapragnęli koniecznie, aby w Chełmie odprawić nabożeństwo za poległych na bruku warszawskim[1]).

---

[1]) Nazwiska pięciu zamordowanych przez Moskali na ulicy w Warszawie dnia 27 lutego roku 1861 są:

PP.: P.. W., S. i wielu innych przybyło do Pijarów prosząc usilnie, abyśmy odprawili za poległych w Warszawie żałobne nabożeństwo w parafialnym kościele. Na ich nalegania odrzekłem głośno przy Rektorze: „Ośmielam się, Panowie, zwrócić Waszą uwagę, ażebyście się naprzód udali do katedry chełmskiej. Nie godzi się pomijać Biskupa unickiego dla samej przyzwoitości, tem więcej, że tam odprawione nabożeństwo w tym celu niezawodnie większe wrażenie sprawi.“ Zgromadzenie obywateli jednomyślnie podzieliło to moje zdanie i udało się do wszechwładnego ks. Wójcickiego, który ich propozycyą przyjął i dzień na odprawienie nabożeństwa wyznaczył. Skoro Reformatów ci Panowie i nas o tem uwiadomili, ułożyliśmy z ks. Gwardyanem plan nabożeństwa, na które obywatele na czele swych parafian przybyć niezawodnie przyrzekli.

Zapowiedzieliśmy z ambon, że nabożeństwo w katedrze odprawi się z procesyą w dzień naznaczony przez ks. Wójcickiego.

W dniu zatem 8. marca 1861 o godzinie 8-mej rano lud z obywatelstwem na czele ze wszech stron do katedry ciągnął.

Był to zaiste widok wspaniały i uroczy, imponujący swą religijną powagą patryotyczną i wzniosłością!

Wszystko, co żyło w mieście, z zapałem biegło się łączyć z parafialną do katedry procesyą. Ks. Reformaci odśpiewali pierwszy nokturn i wotywę, myśmy odśpiewali drugi nokturn, i ja miałem wotywę. Katedra przepełniona wiernymi, a góra ludem była obsypana — katafalk bardzo wspaniale przybrany; a gdy kler unicki przybył, wprowadziliśmy ks. Biskupa do katedry, który ubrawszy się stósownie w zakrystyi odprawił sumę uroczyście.

Po sumie ks. Wójcicki zbliżywszy się do mnie prosił, abym przy Kyrie elejson zapowiedział pacierze za poległych —

---

1) Karczewski, właściciel ziemski.
2) Arcichewicz, uczeń gimnazyalny.
3) Rutkowski, właściciel ziemski.
4) Adamkiewicz, właściciel handlu.
5) Brendel, rzemieślnik.

a to mianowicie z tej przyczyny, że ks. Biskup nie posiada dość silnego głosu.

Równocześnie katafalk otaczał kler i liczne obywatelstwo, a ks. Biskup śpiewał kondukt i okadzał trumnę, ja zaś z polecenia Wójcickiego przemówiłem:

„Za braci naszych zamordowanych na ulicach Warszawy przez Moskali, zmówmy 3 Ojcze nasz, 3 Zdrowaś Marya i wieczny odpoczynek“.

Biskup to usłyszawszy, przestraszony i rozgniewany zawołał: „Nie, nie, zmówcie za tych prawowiernych, za których dziś nabożeństwo przypada“. Odezwanie się Biskupa do najwyższego stopnia oburzyło zdumionych obywateli. Zaczęto szemrać, a wreszcie i głośno się odzywać: „A to tchórz! A to oszust! nikczemnik!“ itd., itd.! W ten sposób zakończyło się to nabożeństwo i odprowadziliśmy procesyą do właściwych kościołów. O godzinie 3 popołudniu przybyło do naszego Collegium ze 30 obywateli dla podziękowania mi za to, żem cel nabożeństwa odważnie podniósł i bez ogródek wymienił. Tymczasem dowiaduję się od ks. Panasińskiego i ks. Bazylianina Laurysiewicza, wielce kościołowi i krajowi zasłużonego, iż Biskup niezmiernie jest na mnie rozgniewany za to, jak powiedział, że się wtrącam w nie swoje rzeczy. Dowiedziawszy się o tym gniewie Biskupa, udałem się natychmiast do niego, aby się usprawiedliwić, lecz byłem bardzo obojętnie przyjęty.

Gdy mu jednak dobitnie tłumaczyłem dowodząc, że nic nie jestem winien, albowiem odezwałem się w ten sposób jedynie z rozkazu archidyakona ks. kanonika Wójcickiego, który Waszą Excelencyą o tem, nie wiem dlaczego, nie uprzedził, rzekł natenczas Biskup: „A to ten dureń Wójcicki tego bigosu w kościele narobił“. Podczas nabożeństwa żałobnego w kościele naszym pijarskim za ofiary poległe w Warszawie kościół był bardzo przepełniony, ja miałem mowę. Jedni mi wzbraniali wchodzić na ambonę, tak dalece, że mi mą komżę podarli w kawałki, drudzy zaś gorętsi popychali mnie ku ambonie. Idąc jednak za mem przekonaniem wszedłem na kazalnicę i w miarę mych sił i zdolności w słowach treściwych, patryotycznem cie-

płem tchnących starałem się roziskrzyć ducha w przebudzonych już z letargu słuchaczach.

Z pobudek narodowych zaczęto nabożeństwa odprawiać coraz częściej; figury pamiątkowe stawiano a do mów najczęściej używano mnie, ks. Laurysiewicza Bazylianina i ks. Jukundego Bielaka, Reformata. Propaganda narodowa szybko się rozwijała. Pan Rulikowski Henryk ze Świerza nad Bugiem zaprosił mnie z kazaniem na poświęcenie pamiątkowej figury. Zaprosiny przyjąłem i dowiedziałem się od miejscowego proboszcza ks. S..., że Pan Henryk Rulikowski od czasu rozpoczęcia się w kraju agitacyi narodowej ani jednego pojednawczego braterskiego słowa do swych włościan nie przemówił. To mnie spowodowało, że obrałem za główny temat mego kazania: „Zgoda ludu ze szlachtą“. Kościół ledwo pomieścił słuchaczy, a ja dość energicznie trafiałem prostemi ale jędrnemi słowy do serc obywatelskich i starałem się w pojednawczych słowach uwydatnić niewłaściwość ich postępowania z ludem.

Nad moje spodziewanie osiągnąłem pomyślny rezultat, bo p. Henryk Rulikowski pełen dumy i pychy ze swej urody niezwykłej i ze znaczniejszego od wielu innych majątku, został zniewolony, aby gorąco przemówił do ludu zgromadzonego na cmentarzu i aby swym włościanom braterską dłoń podał. Braterstwo więc zaczęło się szerzyć i patryotycznie krzewić. Wszyscy obecni dziękowali mi gorąco, bo jak utrzymywali, nastąpiło to głównie z mej inicyatywy. P. Wincenty Bielski, syndyk Reformatów, który poprzednio miał za złe klasztorowi, iż księża Euzebi i Jukundy śmiało przeciwko Moskalom występowali, teraz sam nareszcie zażądał, żeby i u niego w Uhrze figurę poświęcić, a że bardzo atencyonalnie mnie o to upraszał, odpowiedziałem, iż z obowiązku mego jestem zawsze gotów na usługi parafian, a gdy mi ten czcigodny obywatel oświadczył, że przyszle po mnie konie, odrzekłem na to, że Pijarzy mają swoje konie, a więc naszemi nie omieszkam tam przybyć po nieszporach. Jakoż dotrzymałem mu słowa. Lud licznie zgromadzony już na mnie czekał. Zrobiliśmy procesyą, poświęcenie, poczem przemówiłem kilka słów serdecznych i patryotycznych; a następnie byłem zaproszony przez panią Kicińską i Bielską do dworu na

herbatę. Wymawiałem się dając za powód to, iż p. Bielski nie bywa u Pijarów, a więc i Pijarom nie wypada mu się narzucać, pomimo to przecie mię „par force" niejako zabrały panie, gdzie we dworze wspaniale urządzonym płynęła wesoła, towarzyska pogadanka.

Pijar były ks. Biskup Baranowski był z tą rodziną zaprzyjaźniony. Po herbacie Bielski chciał mi wetknąć w rękę kilka rubli srebrem za fatygę; gdy otworzyłem dłoń, a ruble rozsiały się po podłodze, rzekłem dobitnie, że Pijarzy usługi narodowe i kościelne spełniają bezpłatnie i z wielką serdeczną ochotą. Po tych słowach wsiadłem na brykę zostawiając czupurnego szlachcica skonfundowanego i rączymi końmi ruszyłem do Chełma. To moje postąpienie z Bielskim bardzo się OO. Reformatom podobało, i odtąd widocznie ich sobie zjednałem.

W Depułtyczach poznałem niejakich pp. Jentysów — Jentys zabity przez Moskali, gdy wracał z pola; Kozacy strzał wymierzywszy trafili go kulą w plecy — bardzo prawych i gościnnych ludzi. Pani Jentysowa słynęła z piękności na całą okolicę i była przedmiotem ogólnej kobiet zazdrości. Jentys ożenił się z nią będąc wdowcem i ojcem kilkorga dzieci, a jego najstarsza córka z pierwszego małżeństwa była żoną pisarza sądu p. E., mego życzliwego przyjaciela, o którym powyżej wspomniałem. Trąbiłem na ten związek, ale też zaraz po ślubie dało mi się to we znaki, albowiem p. E. wpadł do mnie, wykrzykując gwałtownie te słowa: „Weź sobie tę, którąś mi za żonę przeznaczył, jest dzika nad wszelki wyraz i nieposłuszna — wyprawia straszne sceny, jednem słowem ja jej ani na oczy widziać nie chcę".

Po tej jego tak szczerej spowiedzi przesiedzieliśmy u mnie noc całą, a raniutko kazawszy zaprządz popędziłem co koń wyskoczy do macochy tej niedającej się ułaskawić i awanturniczej małżonki. Przybywszy na miejsce opowiedziałem pani Jentysowej całą tę jowialno-tragiczną facecyą. Samo przez się rozumie się, że pani Jentysowa przyjechała natychmiast i pogodziła wzburzone stadło, a ja dałem lekcyą macosze, jak ma pouczać pasierbicę i posłuszeństwo małżeńskie w nią wpajać. Śmieliśmy się dość długo z Bronisława i jego nieoswojonej ze stanem małżeńskim połowiczki.

Po wyjeździe ks. Rektora Stempińskiego, który się udał do wód dla poratowania mocno zagrożonego zdrowia, zostałem absolutnym gospodarzem parafii; a że Pijarzy tameczni mieli 22 włościan pańszczyźnianych osadzonych na klasztornych gruntach, przeto na podstawie wniosku przyjętego przez Tow. roln. co do oczynszowania, zrobiłem z włościanami umowę notaryalną, którą się zobowiązali płacić Pijarom rocznie rubla z morgi posiadanego przez nich gruntu. Tym sposobem dałem przykład wyrzeczenia się dobrowolnego pańszczyzny, nie zgodnej z duchem czasu ani z pojęciami bieżącego wieku.

Ten mój czyn nie podobał się szlachcie rączej do projektów ale nie skorej do czynu.

Na ogólnej sesyi Tow. roln. powiatów Krasnostawskiego i Hrubieszowskiego uchwalono zakładać szkółki i oczynszować lud wiejski, ale w czyn to obrócić szlachta nie chciała, choć miała piękny wzór z Konstytucyi 3 maja, rad Kościuszki, ordynacyi Zamojskich i we wsiach Staszyca. Oskarżono mnie przed moją władzą, żem gorący i czycham na zgubę szlachty, że zawodzę zwykłe lamentacye licznych lazzaronów polskich!

Nareszcie nastały wybory do rad powiatowych autonomicznych i gubernialnych. Szlachta mając pożądaną okazyą do wykrzykiwania, robiła zamęt i wrzaski; nareszcie w Krasnymstawie uradzono, że w Chełmie w Collegium Pijarów mają odbyć się wybory. W dniu oznaczonym, gdy się zjechało mnóstwo osób z różnych klas społeczeństwa, mających do głosowania prawo, odprawiłem mszę św. „de spiritu sancto“, a pobłogosławiwszy zgromadzonych Przenajświętszym Sakramentem, starałem się w kilku słowach streścić obowiązki tych, w których ogół położy zaufanie. Poleciłem obecnym dziełko ks. Stan. Konarskiego „o skutecznym rad sposobie“, zachęcałem do zakładania szkółek wiejskich i oczynszowania ludu, dla uniknienia rzezi galicyjskiej. Błagałem w imieniu patryotyzmu polskiego, aby świetne prawa Konstyt. 3 Maja raz z kufra wydobyć i w czyn obrócić, i aby przyszłe pokolenie polskie nie rozlewało krwi za wolność Ojczyzny na marne. Dalej zwróciłem uwagę obecnych na ogólną wadę narodową, a tą jest nieufność i podejrzliwość jednych ku drugim. Ta wada czyni nas skłonnych do wydawania srogich wyroków bez należy-

tego rozpatrzenia sprawy, bez pozostawienia nawet oskarżonemu czasu i możności obrony. Ta niefność jest źródłem naszej niemocy, gdyż paraliżuje łączność działania skuteczną tam, gdzie chodzi o wykonanie dzieła dobrego i większego.

Gdy i ks. Wójcicki wraz z innymi przybył na to posiedzenie, strojny w ordery i łańcuch kanonicki, natychmiast zaczęli się od niego wszyscy usuwać, i ktoś mu na plecach przylepił arkusz papieru z napisem: „Szpieg moskiewski". Z tem godłem tak zaszczytnem wyszedłszy ze zgromadzenia ów prałat kroczył przez całe prawie miasto wśród wojskowych, żydów i uliczników śmiejących się wrzaskliwie i wykrzykujących na całe gardło: „Szpieg moskiewski! szpieg moskiewski!"

Bywając za interesami w Lublinie zawarłem bliższą znajomość z kilkoma tamecznymi urzędnikami, a że wypadki, które zaszły w Chełmie, były niezwłocznie z wszelkiemi szczegółami w Lublinie rozgłaszane, przeto wszyscy lubelscy patryoci znienawidzili ks. Wójcickiego, a nawet pewien urzędnik przyrzekł mi doręczyć kwit tego niegodziwca, wydany kasie rządowej w zamian za odebrane 1000 złp. jako uwzględnienie i wynagrodzenie wierno-poddańczych, szpiegowskich, najnikczemniejszych jego usług. Urzędnikowi temu i wszystkim obecnym obiecałem dobre śniadańko, a otrzymawszy owe kwity prałata, dotrzymałem obietnicy, wydając w hotelu angielskim odpowiednią ucztę, gdzie się uraczono do syta i wniesiono toast wzgardy: „Na pohybel szpiegom i renegatom".

Pozyskane kwity Wójcickiego oddałem młodzieży seminaryjnej chełmskiej jako dowód oczywisty nikczemności ich przełożonego. Młodzież mając *corpus delicti* w ręku, jednozgodnie zgromadziła się w auli wykładowej, a zaprosiwszy Wice-Rektora i ks. Prowizora do tej sali, wciągnęła także przemocą ks. Rektora Wójcickiego. Wypowiedziawszy mu gromadnie wszelkie posłuszeństwo, bez ceremonii z gmachu seminaryjskiego wyrzuciła. Wzburzony i do najwyższego stopnia rozjątrzony ów Wójcicki pobiegł do swej w biskupim pałacu mieszkającej żony; tam się wszczął płacz, krzyk i lament niezmierny i wzmógł się do tego stopnia, że bazylianie i diaki wyskoczyli na ulicę

Młodzież zredagowała adres do Biskupa i dla wręczenia go wybrała z pomiędzy siebie deputacyę. Na czele był kleryk Szokalski z rodziny zasłużonej w Unii Chełmskiej.

Biskup odebrawszy ten adres, rzucił go z pasyą na ziemię i zdeptał. Wtenczas deputacya ozwała się z wszelką powagą w te słowa: „Niech biskup raczy natychmiast ten papier podnieść, jestto bowiem głos młodych uczniów i lewitów, którzy stanowczo nie chcą mieć swym przełożonym moskiewskiego szpiega, złodzieja i wroga Unitów.“

Gdy się czeladź rzemieślnicza o tem dowiedziała, wraz z żydami zaczęła wybijać w mieszkaniu Wójcickiego okna. Biskup kazał się do domu alumnom rozjeżdżać, i kursa naukowe zamknięto. Alumni wraz ks. Panasińskim na czele wpadli do mnie opowiedzieć, co się święci, i naradzić się co do dalszego w tak krytycznej sytuacyi postąpienia. Jak najenergiczniej objawiłem im moje zdanie, aby wszyscy do końca roku pozostali, i przyrzekłem żywność, w razie gdyby im takowej odmówiono. Wskutek tego zgodzili się jednomyślnie na pozostanie w seminaryum aż do ukończenia kursu szkolnego.

W dzień św. Antoniego, kiedy u reformatów przypadał wielki zjazd ludu z powodu odpustu, mieszczaństwo wyprawiło Wójcickiemu bardzo świetną „kocią muzykę.“ Wobec przeszło tysiąca ludzi jako niedźwiedzia z wielkim tryumfem po górze go oprowadzano wśród huku bębnów, trąb, hałasu dzwonków i wszelkich zmieszanych dźwięków wydobywanych z miednic i rądli reformackich. Słowem wybryki spotęgowały się do głośnego skandalu. Wskutek tego ksiądz Wójcicki wysłał raport do Muchanowa, że katedra oraz godność biskupia przez muzykę kocią zostały straszliwie znieważone i świętokradzko sprofanowane.

Biskup pomocy rządowej zawezwał, a rząd moskiewski wydelegował Krzyżanowskiego, naczelnika żandarmów z Krasnegostawu, Witkowskiego, adjutanta generała Chruszczewa z Lublina, i członka sądu w Chełmie Krajewskiego. Ta komisya przybywszy na miejsce obrała sobie nasze Collegium za siedlisko i przesłuchała 400 różnych osób. Treść ich oskarżenia była taka, że ks. Gwardyan od Reformatów, ja i Dr. Strzelbicki byliśmy głównymi tej kociej muzyki inicyatorami i doradcami,

a że biuro śledztwa tego, jak rzekłem wyżej, u nas rezydowało, mogłem się przeto nocami wczytywać w protokóły zachowawszy odpowiednią przezorność i ostrożność. Z sześciotygodniowego śledztwa tego zrobiono wyciąg sprawozdawczy orzekający, że kocią muzykę w odwet różnych krzywd i niesprawiedliwości urządzili bazylianie, śpiewacy i diakowie. Wójcicki musiał zapłacić komisyi przeszło 600 rsr., a ja z irytacyi i ciągłych wzruszeń dostałem nieznośnej żółtaczki. Ten sam Wójcicki w r. 1863 przez oddział powstańców pod dowództwem generała „Kruka" wzięty do obozu i przywiązany do ogona końskiego miał być stracony. Ale słabość polska i pobłażliwość złego uwolniły go od kary śmierci, bo przysiągł, że da 30,000 rsr. na powstanie; wielką krzywdę dla Unii świętej Podlasko-Chełmskiej przez to zrobiono, bo po upadku powstania ów ks. Wójcicki został schizmatykiem i doradcą prawosławnym. Ten sam ks. Wójcicki w roku 1875, kiedy urzędowo i przymusowo Unią Chełmsko-Podlaską przyłączono do Schizmy północnej, pierwszy akt w Chełmie podpisał i wyrzekł te słowa: „Sława Bohu pokazawszomu nam Swit" — i pozostał już właścicielem kilku domów i sługą carskim. Wydał córkę za mąż za osławionego Mieczysława Dobryańskiego, czynnego agenta prawosławnych renegatów Galicyi[1]).

Przez Chełm bardzo wiele osób udawało się na zjazd pod Horodło. Tam jadąc także wstąpił do Chełma ks. sufragan Lubelski biskup Baranowski i wezwawszy mnie do siebie, do pałacu biskupa Teraszkiewicza, prosił, aby mu miasto żadnych nie czyniło owacyi; zajechał on tylko do biskupa Teraszkiewicza na odpoczynek, a żegnając się z nami „do widzenia pod Horodłem" powiedział. W ślad za innymi, w licznem towarzystwie przyjaciół i znajomych i ja także jako

---

[1]) Niech Czytelnik, jeśli ciekawy losu Unitów Chełmsko-Podlaskich, raczy przeczytać akta bardzo ciekawe, złożone u autora tych wspomnień, a przekona się o silnej organizacyi od r. 1879 do 1885 włącznie, jakąśmy prowadzili z Janem Frankowskim, prawdziwym misyonarzem Unii Podlaskiej. Każdy myślący Rusin i Polak katolik winien poznać tę organizacyą a szczególniej profesorowie historyi kościoła katolickiego w Polsce.

członek komitetu urządzającego ten zjazd udałem się na ten sławny, pamiętny dzień do Horodła.

W nocy, o dwie mile od miasteczka, zatrzymaliśmy się na stacyi Stepankowice. Odbyły się tam narady dotyczące porządku mów i procesyi. W trakcie tych narad doniesiono nam, że biskup Baranowski powrócił napowrót do Lublina wskutek jakoby wezwania biskupa Pieńkowskiego, czy też dlatego, że się dowiedział o śmierci arcybiskupa Fijałkowskiego, jakoteż i o tem, że Warszawa pragnie go mieć swym biskupem. Pogłoska ta o powrocie biskupa Baranowskiego do Lublina stała się powodem popłochu, zaalarmowała wszystkich, powstały wrzaski i przekleństwa, krzyczano w niebogłosy przez całą noc: „Tchórz Biskup, odstępca, uciekinier, pędźmy za nim konno, zwiążmy go i dostawmy tutaj". Szczęście dla Biskupa, że dzień zaświtał, a kanonik Bojarski, proboszcz z Krasnegostawu, zobowiązał się prowadzić do Horodła procesyą. Po wysłuchaniu mszy św. i po ogólnej absolucyi danej przez ks. kapucyna Fidelisa stanęliśmy procesyonalnie w solennym i uroczystym pochodzie. Różnej młodzieży i obywatelstwa było do 8000 nie licząc ludu wiejskiego i mieszczan, których liczba przeszło 4000 wynosiła, oprócz tego 250 duchownych, a obrazów i chorągwi najmniej ze 300.

Racz sobie czytelniku wyobrazić, jakiego trzeba było obszaru, żeby to wszystko pomieścić z odpowiednią ilością koni, powozów, bryczek i rozmaitych innych bagaży i ruchomości. Z różnych odległych dzielnic Polski przybyły reprezentacye; zacząwszy od Żmudzinów, Litwinów, Pomorzan, Kujawiaków, Krakowiaków, Sandomierzan, Powiślaków, Rusinów, Wielkopolan aż do Nadbugskich Kozaków byli tam wszyscy zapałem, jednością i patryotyzmem przejęci. W odległości trzech wiorst od Horodła dowiedzieliśmy się, iż wojsko z armatami i generałem Chruszczewem (z Lublina) na czele nietylko zajęło miasto Horodło, ale nawet drogę doń wiodącą opanowało.

Dojrzano nareszcie konnicę i armaty — wszczął się niezmierny popłoch; niektórzy zaczęli czmychać do lasu, inni znowu krzyczeli, by młodzież zrobiła silny łańcuch i nikogo z szeregów nie wypuszczała. W trakcie tego wzburzenia i nie-

pokoju adjutant Chruszczewa Witkowski, który był na śledztwie w Chełmie podczas kociej muzyki zrobionej Wójcickiemu, a po powstaniu został prezydentem Warszawy, — dotarł na koniu do prowadzącego procesyę ks. kanonika Bojarskiego i w imieniu rządu i prawa publiczności rozejść się polecił, dodając przytem, iż w razie przeciwnym użyć ognia i siły zbrojnej nie omieszka. Na to jego oświadczenie powstała niezmierna wrzawa, a kilku z młodzieży wydobyło rewolwery chcąc palić z nich do adjutanta, starsi zdołali jednak ten niewczesny zapęd pohamować i natychmiast z rozkazu komitetu zarządzono rewizyę i bez żadnego ze strony młodzieży oporu odebrano jej rewolwery i pistolety. Wskutek rozmówienia się generała Chruszczewa z ks. Bojarskim stanęło na tem, że pierwszy zezwolił na odprawienie mszy i przemówienie do zebranych w polu nad Bugiem, wreszcie na wypowiedzenie mów i odczytanie aktu Unii Polski z Litwą. Zrobiono więc ołtarz w polu, wysłano pod eskortą ks. K. W. mnie i ks. Mleczkę do kościoła horodelskiego po kielich, wino i aparata. Mieliśmy sposobność przekonać się naocznie, że wszystkie domy i całe miasteczko były napchane wojskiem, armatami i wszelkiego rodzaju bronią. Ks. Jan kapucyn, miał mszę św. a ks. Laurysiewicz, bazylianin, w prześlicznem kazaniu jędrnie przedstawił całą doniosłość odnowienia wiekopomnej Unii horodelskiej, a w chwili, gdy wzywał Rusinów i Kozaków z za Bugu do Unii, trzydziestu Wołyńców przerżnęło się konno przez rzekę Bug wśród grzmotnego „hurra!“ Chorągwie wspaniale i rzewnie się witały i pozdrawiały. Gregorowicz, adwokat z Lublina, odczytał akt odnowienia i potwierdzenia Unii, a następnie podpisywano go. Odpoczynek poprzedziły śpiewy narodowe, a ostatecznie komitet złożył generałowi Chruszczewowi podziękowanie za jego rozsądne i taktowne w tak drażliwych okolicznościach postępowanie.

W Horodle było dość szpiegów moskiewskich, łapano ich i wiązano, ale co potem z nimi zrobiono, nie mogłem nigdy dowiedzieć się. Ks. Baranowski wjeżdżając do Lublina nadzwyczaj wiele ucierpiał od matek Lublinianek, które z boleścią wołały przy rogatce: „To ten wyprowadził naszych synów a sam uciekł jak zając“. Sędziwy Baranowski tak się tem

zmartwił, iż dostawszy choroby serca, o mało życiem emocyi swoich nie przypłacił. W ten sam dzień w Maciejowicach nad Wisłą za staraniem ks. Seweryna Paszkowskiego, miejscowego proboszcza i męża zaufania dyecezyi podlaskiej, tłumnie się zjechano w celu usypania kopca dla Kościuszki[1]).

W kilka dni po zjeździe horodelskim wezwany zostałem przez ludzi poważnych na sesyą do Lublina. Upoważniono mnie, abym z sobą przywiózł dwóch lub trzech dobrze myślących patryotów a zarazem stałego i taktownego charakteru ludzi. Stosując się więc do tego upoważnienia zabrałem ze sobą ks. Gwardyana i jednego z miejscowych kowali, rozsądnego i oczytanego mieszczanina, który był skory do czynu i wiele cywilnej odwagi i energicznej przytomności okazywał. Wyruszyliśmy więc w podróż. Ja z ks. Gwardyanem, kowalowi inną drogę na Krasnystaw wskazawszy, poleciliśmy jak najściślejszy co do naszej podróży i jej celu sekret. Na umówioną godzinę zjawiliśmy się wieczorem w „Hotelu Angielskim“ pod przeznaczonym numerem, gdzie na zebraniu z 20 przeszło osób złożonem uradziliśmy zaprowadzenie organizacyi narodowej, ścisły i przezorny wybór ludzi, oraz odbieranie przysięgi na zachowanie tajemnicy. Zebranie to odznaczało się ogólną i doskonałą harmonią, a po odbytych naradach i powziętych decyzyach zjadłszy wspólnie kolacyą, rozjechaliśmy się, gdzie komu wypadło. Ja z ks. Euzebim gwardyanem poleciliśmy naszemu wspólnikowi kowalowi jak najściślejszy sekret nietylko względem mieszkańców Chełma ale i względem własnej jego rodziny, której miał powiedzieć, że nie był dalej jak tylko jedynie w Krasnymstawie.

Przybywszy z Lublina do Chełmu o 10-tej godzinie wieczór każdy z nas do swej udał się siedziby. Nazajutrz o godzinie 6-tej rano wpadł do mnie burmistrz z wymówkami, że do niego nie mamy zaufania, że jeździliśmy z kowalem do Lublina, a tak mu dalece są znane szczegóły naszego tam pobytu, iż wie nietylko, co było przedmiotem narad, ale nawet co nam na wieczerzę podawano. Niech sobie czytelnik raczy wyobrazić, jak wielkim było nasze zdziwienie. Zaprzeczałem i protesto-

[1]) Było 20.000 ludności.

wałem, ale burmistrz niestety cytował źródło, z którego tak szczegółowych wiadomości zaczerpnął; służąca oto owego kowala ze służącą burmistrza spotkawszy się raniutko przy studni, pierwsza wielką nowiną brzemienna dla ulżenia sobie opowiadała drugiej o bardzo interesującej sprzeczce kowala z kowalką. Pani wypowiedziała panu sakramentalne posłuszeństwo do czasu, aż się od niego dowie, gdzie i z kim przez te dwa dni swej nieobecności przebywał. Kowal wywnętrzył się z wszystkiego przed swą połowicą, a sługa leżąc na łóżku pod piecem została złamanej tajemnicy uczestniczką. Sługa burmistrza przyszedłszy do domu z wodą natychmiast zakomunikowała rzecz całą siostrze pana prezydenta t. zw. „Cioci“ z Chełma, która znowu swemu bratu opowiedzieć nie omieszkała z poleceniem, aby burmistrz ostrzegł mnie o tym wypadku, miałem bowiem, co prawda, łaski u cioci. Gwardyan zirytował się, gdy go o tem zawiadomiłem. Wystraszeni kazaliśmy przywołać kowala a robiąc mu dotkliwe i groźne wyrzuty, iż wykonanej przysięgi nie dotrzymał, powtórzyliśmy całą jego z nieposłuszną małżonką rozmowę. Kowal niezmiernie zmięszany i zawstydzony przyrzekł to wszystko odwołać i w żart obrócić zapewniając, iż tą samą drogą, którą się dowiedzieliśmy o niedotrzymaniu jego przysięgi, odbierzemy wiadomość, iż wszystko zostało naprawionem. Dokonał święcie tej ostatniej obietnicy, gdyż w kilka dni posłyszałem od burmistrza o wielkiem rozjątrzeniu kowalki, że się mąż ośmielił z niej żartować. Niech to będzie nauką dla szanownych czytelników, jaką to przezorność zachować należy w wyborze ludzi do konspiracyj politycznych.

Poznałem tam między innemi niejakiego Palma, magazyniera wojskowego a raczej naczelnika magazynów wojskowych, który był w przyjaznych stosunkach z Wójcickim i miejscową żandarmeryą. Od niego wiedziałem o szczegółach dotyczących raportów Wójcickiego przysyłanych wprost do Warszawy. Dałem ślub owemu panu Palmie z panną Czapuczyńską, siostrą mego arcypojętnego elewa, o którym wyżej z prawdziwą przyjemnością wspominałem. Ten mój ulubiony dziesięcioletni elew zebrał sobie 15 rówieśników, i ze szkoły udali się wprost do lasu, zrobili krzyż prosty z okrąglaków 4 łokcie wysokości

mający, wzięli go na ramiona i przynieśli do miasta. Przeszli z nim potem z tryumfem koło katedry unickiej a złożywszy przed wielkiemi drzwiami upraszali kapłana, aby ten krzyż poświęcił. Gdy im zadość uczynił, zanieśli krzyż pod kościół OO. Reformatów i postawili przy figurze Matki Boskiej, położywszy na nim krótki ale wymowny napis: „Krzyż za poległych". Ten czyn tak poważny, przez dzieci wykonany, zrobił w mieście wielkie wrażenie. Dowiedziałem się prawie równocześnie od żandarma z Krasnegostawu, że mnie ks. Wójcicki w swych do Muchanowa raportach nielitościwie obgadywał i o naznaczenie innej posady upraszał. Wskutek tego biskup Lubelski i ks. Kasterski otrzymali polecenie, aby nademną ściśle i surowo czuwali, a jeśliby mnie z Chełmu nie przenieśli, to rząd sam tego w jaknajkrótszym czasie uskutecznić niezawodnie nie omieszka.

Bunt chłopów nadwiślańskich.

Wydrychiewicz, jeden z najzamożniejszych właścicieli ziemskich w Lubelskiem, właściciel Opola, Wielkich Kluczów i zakładów przemysłowych, niezmiernie ruchliwy i w handlu obrotny, wracał z Warszawy do siebie, a po krwawych wypadkach na bruku warszawskim zaszłych uniesiony szlachetnemi i potryotycznemi uczuciami zwołał wszystkich włościan (przeszło 600 gospodarzy) przed swój pałac i przemówił do nich w te słowa: „Panowie, obywatele ziemscy Królestwa Polskiego z hr. Andrzejem Zamojskim, prezesem Tow. roln. na czele, uradzili i zadecydowali absolutne zniesienie pańszczyzny w Królestwie. Bracia! jestem kawalerem i chcę Was jako moje przybrane dzieci uszczęśliwić. Otóż wiedzcie, że od Ś-go. Jana br. w moich dobrach ustaje pańszczyzna i tylko z morgu będziecie obowiązani rocznie mi jednego rubla srebrnego opłacać na ręce obecnego tu kasyera, który z wami w mojem imieniu zawrze przed rejentem kontrakt. Żądam od Was w zamian tylko przychylności i zaufania; kochajcie kraj polski, tę Ojczyznę naszą, a jeśli wezwę was do jej obrony, bądźcie gotowi pójść za mną dla jej oswobodzenia." W odpowiedzi na te wzniosłe słowa

wezwani chłopi wykrzyknęli wszyscy: „Niech żyje nasz wielmożny dziedzic, pan Wydrychiewicz! wszyscy jak jeden stawimy się na wezwanie naszego Pana, Ojca i Dobrodzieja.“ To nabrało niezmiernego rozgłosu w Opolu, a mieszczanie gorętsi i żywsi odzywali się do chłopów w ten sposób: „Trzymajcie dobrze swego pana za słowo“, a każdy z nas przy widzeniu się z Wydrychiewiczem serdecznie mu dziękował i winszował. Nieraz my młodsi wyjeżdżając z pomocą religijną na wsie zachęcaliśmy mocno gospodarzy, aby czynsz roczny opłacali.

Skoro bliżsi i dalsi sąsiedzi Wydrychiewicza a mianowicie: Wincenty Bielski, Brzozowski i wielu innych dowiedzieli się o jego deklaracyi, w okropnym strachu przewidywali nietylko swą ruinę materyalną, ale i to, że jeśli nie oczynszują natychmiast swych włościan, będą od nich gwałtownie prześladowani. Rozpoczęły się zjazdy: wezwali także ks. Rektora Gutowskiego do narad, ale ten nie w ciemię bity wymówił się od udziału w tak drażliwych i niesumiennych ochotach. Obywatele zjeżdżali się z różnych powiatów do Wydrychiewicza strasząc go, że rząd moskiewski nie uzna jego filantropijnych zapędów i będzie go za to prześladował, że on wreszcie zaszczepi między chłopów niezgodę i zmuszając pośrednio szlachtę do naśladowania go w oczynszowaniu, zrujnuje ją z kretesem i ze szczętem. Wydrychiewicz miękki i zmienny dał im słowo uczciwego (?) sąsiada, że nie przyjmie czynszu od chłopów. Skoro termin złożenia czynszu nastał, chłopi przez mieszczan opolskich przypilnowani (bo niektórym chłopom mieszczanie opolscy pożyczyli pieniądze, aby emancypacyą pańszczyźnianych włościan przyspieszyć) zgromadzają się do kasy z pieniędzmi i sprowadzają rejenta do układów. Kasyer i plenipotent Wydrychiewicza nie chcieli przyjmować czynszu, bo to im zostało przez ich pana najsurowiej wzbronione. Poszli więc chłopi przed pałac i wołali samego dziedzica. Dziedzic wyszedł wzburzony i kazał gromadzie rozejść się do domów i do pracy, mówiąc: „Ja nie mogę was oczynszować, bo mi na to rząd nie pozwala.“ Jeden z odważniejszych gospodarzy odezwał się do Wydrychiewicza: „A przecież JWPan dał godne słowo szlacheckie“. Na to odezwanie się Wydrychiewicz rozpasyonowany krzyknął:

„Milcz“, i uderzył w twarz owego rezolutnego gospodarza. Chłopi porwali się na Wydrychiewicza, a on się ukrył w podziemiach swego pałacu. Wrzawa, krzyk powstały okropne. Wojsko stojące w Opolu udało się na pomoc do folwarku i rozpędziło wzburzonych włościan. Wielka agitacya powstała w mieście, i wszyscy wzięli stronę chłopów. Wielu piśmiennie upraszało dziedzica, żeby się od tak dobrego i pięknego czynu nie uchylał — pisano nawet prośby zbiorowe. Wydrychiewicz te prośby podarł. W trakcie tych zajść, komedyi i awantur nikt zgoła nie wychodził do roboty, choć sianokosy i zbiór rzepaku zmuszał właściciela do natychmiastowego szukania robotników. Gdy więc sprowadził z Galicyi i Szląska ze stu ludzi, chłopi miejscowi spędzili z pola tych przybyszów grożąc im nawet śmiercią, jeśliby stanowczy opór stawili. Wobec takiego stanu rzeczy, wszyscy z dalekich stron przybyli robotnicy z dóbr opolskich odeszli, a Wydrychiewicz wystraszony temi zaburzeniami z swego pałacu przeniósł się do pułkownika moskiewskiego na pomieszkanie.

Chłopi dowiedziawszy się o tem otoczyli mieszkanie pułkownika gromadnie i domagali się wydania Wydrychiewicza. Kiedy na prośbę pułkownika rozejść się nie chcieli, mówiąc, że W. ich przeciw rządowi buntował, a teraz się skrył na sztych ich wystawiwszy — czego mu darować nie chcą — wtenczas pułkownik użył siły zbrojnej i za włosy chłopów wyciągano za rogatki. Wydr... znalazłszy się w tak dwuznacznem arcykrytycznem położeniu udał się do księży miejscowych, prosząc ich o pojednawcze pośrednictwo, ale znając tę ze wszech miar drażliwą sprawę, żaden ksiądz pośrednikiem być nie chciał.

Ktoś wówczas zwrócił uwagę W. na moją u ludu nadwiślańskiego popularność. Wskutek tego przysłał on do Chełma po mnie kuryera, wzywając w imię miłości bliźniego, abym tą burzę ugasił. Zajechałem extrapocztą do znajomego mi pocztmistrza w Opolu zapytując, czy się chłopi uspokoili, a dowiedziawszy się, że burza włościańska trwa jeszcze, kazałem jechać do dworu, gdzie dziedzic powitawszy mnie arcyserdecznie, wykrzyknął błagalnie: „Zlituj się księżę, zrób ugodę między nami, bo żaden z miejscowych Pijarów nie chce się w to wdawać“, a gdy go zapy-

tałem, jakie mogę chłopom dać stanowcze i nieodwołalne zaręczenie, przemawiając do nich, odrzekł: „Przemawiaj jak chcesz i jak Ci się podoba, aby raz przyjść do spokojności i zgody“. Po takiem dictum Wydr. zażądałem własnoręcznej jego deklaracyi, zapewniającej iż, skoro się uspokoją i pójdą do swej pracy, on nie omieszka dotrzymać danego słowa i ich wszystkich najrzetelniej oczynszuje, Wydr. po godzinnej przeszło medytacyi i powtórnem mojem odezwaniu się, że czas mi jest drogi i parafia chełmska swego pasterza oczekuje, oraz że znając jego słaby charakter, bez poprzedniej piśmiennej deklaracyi, nie mogę do ludu przemawiać, odrzekł mi stanowczo, że nie może w żaden sposób dać takiego zobowiązania. Usłyszawszy to wsiadłem na bryczkę i wróciłem na powrót do Chełmu.

W kilka dni potem umysły włościan przeszły ze stanu wzburzenia do pozornej spokojności i robocizna nibyto zaczęła się, ale opieszale. W trakcie tego W. wyjechał do Warszawy, a ledwie przebył granicę swych posiadłości, włościanie podpalili młyn parowy z wielkim nakładem wykwintnie postawiony. Wysłany przez administracyą dóbr Kuryer dopędził W. w drodze i oznajmił mu, że młyn parowy w płomieniach. Za całą odpowiedź, otrzymał dwa słowa: „Niech się pali“. Nie wiem, co się dalej stało, ale w kilka lat potem mówiono mi, że ów milioner i dziedzic tak rozległych włości, został przez oddział Krysińskiego przytrzymany i aresztowany, był na śmierć skazany i tylko za wstawieniem się obywateli i przyrzekłszy dostawić 300 koni dla polskiej kawaleryi z obozu polskiego wydostał się. Nieco później ów człowiek chwiejny i nie pojmujący chwili, zabrawszy kassę ze swego pałacu, udał się do Lublina, by tam wraz z całym swym brzęczącym majątkiem oddać się w ręce Moskali. Po upadku powstania Moskale go zaaresztowali, a wiedząc, że jest bogatym właścicielem ziemskim nałożyli ogromną kontrybucyę, co tak stanowczo podziałało na jego już poprzednie podkopane zdrowie, iż w krótkim czasie ze zmartwienia marny swój żywot zakończył u siebie.

Zjazd młodych Pijarów.

W miesiącu czerwcu 1861 młodsi Pijarzy, w liczbie 12 zjechali się na jedną godzinę do Warszawy, w celu wytworzenia ważnych postanowień, tyczących się członków zgromadzenia, dla przedstawienia tych naszych projektów na kapitule ogólnej Pijarskiej. Punkta i paragrafy tych reform z nas wyłonionych, zbiorowo zredagowane i podpisane, miały być przeczytane na kapitule ogólnej w lipcu, odbyć się mającej przez delegata z naszego grona wybranego. Ten zjazd odbył się w hotelu na Pradze.

Oto treść tych projektowanych przez nas urządzeń:

1° Młodzi Pijarzy, upraszają swą władzę, aby postarała się u władz krajowych o przywrócenie szkół Pijarom, gdyż bez szkół uważają siebie za zupełnie nieużytecznych w zgromadzeniu.

2° Aby był właściwy stosunek podwładnych do Rektorów, co do poufałości bratniej i płacy odpowiedniej, bowiem dotąd Rektorzy, którzy byli satrapami, a młodsi księża niewolnikami, od łaski kuzynek lub gospodyń klasztoru zależeli.

3° Żądanie, aby delegat z młodych księży był na kapitule obecny.

4° Delegatem do przedstawienia naszych potrzeb był obrany ks. Tadeusz Chromecki.

W dniu naszego przybycia ks. Prowincyał Kasterski, dowiedziawszy się o wszystkiem przez ks. Jana Grądskiego, Rektora z Radziejowa (który był poinformowany przez płochego ks. Leszczyńskiego), zawiadomił władze policyjne i polecił nas ścigać. My zaś odbywszy na Pradze zgodne i krótkie posiedzenie, sessyą rozpoczętą o 3 godzinie, skończyliśmy o 5-tej, a napiwszy się dobrego miodu, daliśmy sobie słowo nie wspominać naszym Rektorom co zaszło, a ks. Leszczyński po otrzymaniu nagany przez nas wszystkich za długi język, poprawić się nie omieszkał. W r. 1887 przyjęty przezemnie ks. Leszczyński do Collegium krakowskiego po powrocie z Syberyi, okazał swój lichy charakter w całej nagości został szpiegiem braci swoich, burzył młode umysły — i liche życie swe nędznie zakończył

w Krakowie 1889. Czem skorupka zawczasu nasiąknie, tem na starość cuchnie!

Skutek naszego podania był ten, że na sessyi kapitulnej uradzono, aby ks. Prowincyał z ks. A. Jakubowskim udali się do Margr. Wielopolskiego z prośbą o przywrócenie szkół pijarskich. Wielopolski zapytał ich, czy pomiędzy Pijarami znajdują się zdolni księża-nauczyciele: „Jeśli macie, to oddam wam gimnazye" — przyczem radził uczęszczać do uniwersytetów.

Ks. Kasterski przybywszy do Chełmu, na prowincyalną wizytę powiedział mi, że jest zdania, abym się z Chełmem pożegnał. Odpowiedziałem, iż na to najzupełniej się zgadzam i tam się udam, gdzie mi ks. Prowincyał poleci. W tym samym czasie ks. Stempiński w Karlsbadzie umarł; Prowincyał zawiadomiony o tem, mianował na moje miejsce ks. Grudzińskiego Rektora, a mnie przeznaczył Łuków na tymczasową rezydencyę.

Pobyt w Łukowie i wywiezienie mnie do głębokiej Rosyi.

W miesiącu listopadzie opuściłem Chełm, byłem u niektórych znajomych parę dni, wpadłem do matki w celu jej odwiedzenia i ruszyłem do Łukowa. W Collegium naszem był Rektorem ks. Chrempiński, więcej czasu tracił na graniu w karty, niż na inne lepsze rzeczy. Collegium było zaniedbane, gospodarstwo nie tęgie, życie złe; nie stósowałem się do usposobienia Rektora, lecz starałem się być czynnym przy parafii, należącej do kościoła pijarskiego. Konsystorz Janowski zgodził się i dał mi nominacyą na wikarego. Wikarymi byli księża: Kożuchowski, Wydźga i ja; pracowaliśmy zgodnie w parafii. Poznałem kilka domów urzędniczych w Łukowie; miło czas schodził, a szczególniej po takim wirze i kłopotach, jakie były w Chełmie ks. Proboszcz był zadowolony ze mnie, pełniłem obowiązki sumiennie. Parafianie mię pokochali i tak czas schodził. Tylko przychodziły pogłoski, że mnie mają aresztować. Myślałem sobie, skoro Chełm opuściłem, to się uspokoi. W gru-

dniu trzeba mi było być w Bełżycach. Matka mię pyta: „Co! ty tu? przecież Moskale cię tu szukali. Rewizya była u mnie, byli w probostwie, we dworze, szukając ciebie“. „Rzecz dziwna“, odrzekłem, „pełnię już od miesiąca obowiązki wikarego w Łukowie“. Nie miło mi to było, ale Bóg dobry nie da krzywdy zrobić. Przyjeżdżam do Łukowa, znajduję list z Opola od znajomych. Donoszą mi, że ks. Gutowski bardzo zadowolony, „że mię wzięli Moskale i że tam zginę z nędzy“. Pytam listownie Gałęzowskiego organistę, 25 lat w Opolu u Pijarów urzędującego, czy to prawda, że ks. Gutowski, taki rad, żem uwięziony. Odbieram odpowiedź potwierdzającą: „że się cieszy z tego, że rewolucyonistę schwycili i że go do nędzy przyprowadziłem“. Pokazuję tę odpowiedź moim Wikaryuszom i Rektorowi Chrempińskiemu.

Miałem się na baczności, spaliłem różne papiery, listy warszawskie od znajomych i zawsze czuwałem, myśląc, że ta pogłoska ma w sobie coś prawdy. Mając jednak czyste sumienie i będąc zatrudnionym, czas wolny spędzałem mile, bywając w różnych domach familijnych. Poznałem w okolicy szlachtę drobną; poczciwi i schludni ludzie, kochają duchownych, mają godność osobistą, są uprzejmi, a zarazem dobrzy patryoci. Gdzie tylko byłem na wsi, czy to do chorego, czy po umarłego, mile bardzo wspominali ks. Stanisława Brzózkę, wikarego z Łukowa, uwięzionego w Zamościu. Piękne przedstawiali strony charakteru tego kapłana; ubogim dawał jałmużny, mówił ładne kazania, był pobożnym i dla siebie surowym. Przyjemnie mi było słyszeć takie uwielbienia dla księdza-Polaka.

Święta Bożego Narodzenia mile przeszły. Domy Wysockich, Niezabitowskich, Rejenta, weterynarza, doktora, inżyniera i wiele innych bardzo serdecznie mię przyjmowały. Bywałem u Burmistrza, staruszka i kapitana żandarmów, na śniadaniach i gawędkach.

Dnia 1-go stycznia 1862 w nocy o 12-tej godzinie pukają do drzwi — przebudzam się — słyszę głosy burmistrza i kilku żołnierzy. Pytam: „kto tam!“ Burmistrz odpowiada: „to my, po księdza, do chorego“. „Zaraz wam otworzę“, tymczasem paliłem kazania, gazety krakowskie, broszury i t. p.,

okropny był szum w piecu; otworzyłem nareszcie drzwi, wszedł kapitan żandarmów, burmistrz, dwóch policyantów i dwóch żandarmów. Hałas zrobił się w Collegium, lokatorzy wybiegali, żałowali, płakali. Zapytałem ich, czego chcą odemnie: Odpowiedzieli: „Wyrok ma pan kapitan przy sobie, ale nie wolno mu go otworzyć, aż w Siedlicach, do Siedlec mają mnie pod eskortą dostawić“. Poprosiłem żandarmów, aby mi suknie i pościel do tłumoka włożyli, co też chętnie zrobili, bielizny nie wziąłem, była w praniu. Extrapoczta stała i pocztylion trąbił, bo mu zimno było czekać przed Collegium. W godzinę byłem gotów do wyjazdu, pożegnałem obecnych, a sam z kapitanem i dwoma żandarmami ruszyłem w nocy do Siedlec. Przykro mi było opuszczać to miejsce pożyteczne dla pracy i gdzie tyle serca szlachetnego znalazłem. Poczciwy żandarm dał mi na drodze napić się doskonałej wódki, bo było wściekle zimno. Przestrzeń z Łukowa do Siedlec wynosi 4 mile. Około 4-tej godz. rano zajechaliśmy przed odwach wojskowy w Siedlcach, prowadzili mnie zrzuciwszy tłumok do pokoju oficerskiego, pełnego dymu z tytoniu, zostałem pod dozorem żandarmów. Kapitan z wyrokiem poszedł do kancelaryi generała Czernickiego; (już wówczas był stan wojenny w kraju). O godzinie 5-tej rano przyszedł kapitan po mnie, zaprowadzili mnie do kancelaryi wojskowej; ujrzałem złożony sąd wojenny z 6 osób, wszyscy w mundurach siedzieli przy zielonym stole. Generał mię pytał, czy umiem po rosyjsku. Odpowiadam: „Nie!“ „Więc Panu po polsku odczytamy wyrok“, odrzekł generał. Stan mój wewnętrzny był straszny, niepewność mię trapiła, co mi przeznaczyć miano, cytadelę warszawską, czy cele więzienia Siedleckiego, w której był Pantaleon Potocki — lub Sybir? Te kilka godzin, były dla mnie piekłem strasznem, bałem się więzienia i protokołów sądu wojennego.

Po dwóch godzinach tłómaczeń oskarżenia na polski język, przyszła chwila ogłoszenia wyroku, który brzmiał: „Za wielkie podburzanie umysłów i lekceważenie krajowych władz, jako niebezpieczny konspirator powiatu krasnostawskiego, ks. Adam Słotwiński, Pijar z Chełmu, skazany na czas nieograniczony na zasłanie do permskiej gubernii, do miasta Permu. „Czy Pan przyjmujesz“, spytał jenerał, wyrok? „A cóż mam robić,

kiedy nie mam exekucyi. Wolę Sybir, jak cytadelę lub Brześć litewski", odrzekłem. Członkowie sądu wojennego i żandarm pożegnawszy mię, wyszli z kancelaryi generała. Zostałem sam z gospodarzem. Zacny ten człowiek, poczęstowawszy mnie herbatą, wydał rozporządzenia adjutantowi, aby przygotowano 4 konie, sanki i 2 dobrych i uczciwych żandarmów, wydał rozkaz do kassyera o wydanie funduszu na podróż i napisał polecenia i instrukcye dla żandarmów, następnie pytał mnie prywatnie, czy rzeczywiście byłem tak niebezpiecznym konspiratorem i czy rzeczywiście miałem taki dar do tego, jak to sądzą.

„Za szczęśliwego miałbym się, gdybym posiadał taką wiedzę, i 'wymowę i ducha, abym mógł całym powiatem trząść, odrzekłem, „ale nie jestem Generale przygotowany, do tak wielkiej podróży, pozwól mi więc napisać słów kilka, do księdza Prefekta konwiktu naszego zgromadzenia Szaniawskich, aby mi dał coś grosza i bielizny. Pozwolił generał na napisanie kartki. Za kilka chwil przyniesiono mi 30 Rs. i 4 koszul z konwiktu. Generał mię ciągle pocieszał, że będę miał dobrych i pewnych ludzi do asysty. Sanki zajechały, adjunkt oznajmił dowódzcy, że wszystko gotowe. Żandarmi przyszli do kancelaryi, odebrali pieniądze z rąk generała i instrukcye, przysięgając, że wedle przepisów wojskowych obchodzić się będą z więźniem politycznym. Tłumok mój znieśli, a ja ubrawszy się w szopy i uścisnąwszy dłoń generała, o godzinie 8-mej rano ruszyłem na Sybir. Żandarmi uzbrojeni, jeden z furmanem na przodzie, drugi koło mnie siadli i krzyknąwszy: „Ruszaj", pomknęli. Łza mi cicho z oka spłynęła, wówczas nikogo nie widziałem na ulicy znajomego, tylko urzędników do biór idących, nikt mię nie pozdrowił tem serdecznem polskiem: „Bóg niech Ci udziela zdrowia, jedź z Bogiem".

Straszny obraz więźnia politycznego! Tylko prawda pocieszała i ta satysfakcya, żem Moskalom nadokuczył. Traktowano mię na stacyach pocztowych z wielkim szacunkiem i wszystkich dziwiło, że 4-ma końmi więźnia politycznego wieziono na Sybir.

Miasto Biała będzie u mnie miała wielki do śmierci szacunek. Tyle współczucia i odwagi ile okazali mi mieszkańcy,

a szczególniej młodzi, obojej płci to trudno wypowiedzieć. Zajechawszy na pocztę wieczorem, żandarm starszy był zajęty przemianą koni i pewnym zasobem żywności, w tem mieszkańcy gromadzili się do sali, gdzie posilałem się befsztykiem. Pytano mię skąd jestem, za co i dokąd jadę. Śmiałem się i rozmawiałem wesoło, starsi znosili kaftaniki, cukier głowami i beczułkę wódki polskiej. Do 300 osób przed pocztą, witali i żegnali mnie. Assauł (kapitan) kozacki przysłał swego adjutanta z rozkazem do żandarmów, aby natychmiast więzień polityczny opuścił miasto. Starszy żandarm rozgniewany tem poleceniem, odpowiedział: „że dziś nie zna żadnego naczelnika Kozaków“, on wie, co robi i jak robić przy publice. Gdy żandarm tak odpowiedział adjutantowi, młodzież i panny z Biały, krzyknęli: „Niech żyje żandarm! durak assauł i kozaki“. Hałas się zrobił na ulicy, a pełno gości koło mnie; w tem wszedł sam naczelnik Kozaków, wydarł mi widelec i nóż z ręki, mówiąc: że nie wolno więźniowi takich dawać narzędzi. „Ach, ty duraku, krzyknąłem: „czyż myślisz, że się zarżnę lub przebiję“. Okropny hałas, assauła wyrzucili z sali.

Widząc, na co się zanosi, prosiłem żandarma, abyśmy natychmiast ruszyli w dalszą drogę. Podziękowałem serdecznie wszystkim otaczającym sanki, że mi dodali ducha i odwagi do niedługiego zobaczenia się i krzyknąłem: „bądźcie zdrowi rodacy!“ Całusy nastąpiły, konie gotowe, dobry humor, wio dalej! Zaraz poznałem, że pułkownik mi dał dobrych ludzi. Za Terapolem ksiądz unicki widząc więźnia politycznego w sankach, rzucił mi zimowe futrzane buty na sanki. Na drugi dzień stanąłem w Brześciu litewskim.

Przejeżdżaliśmy przez fortecę; od żandarmów moich dowiedziałem się, że kazamaty tu są wilgotne, pełno szczurów i gadzin, więzień będący w tej fortecy musi nabawić się choroby lub umrzeć. Kilku Polaków już było uwięzionych w tych niezdrowych murach. Brześć litewski leży w dolinie. Żandarm miał dostać z magazynu zimowe szynele, bo w Siedlcach nie dostał ubrań na tak wielkie mrozy. Po załatwieniu interesu wjechaliśmy do samego miasta. Miasto schludne, obszerny rynek, napisy na sklepach i mowa na ulicy moskiewska. Żandarmi opa-

trywali się w różne ciepłe przedmioty. Sam siedziałem na sali. W tem przybliża się do mnie 30-letni mężczyzna, energiczny i pyta mnie skąd jadę i dokąd? jacy są żandarmi, czy dobrzy ludzie? Ot, powiadam mu, że wywieźli mnie z Łukowa, a wiozą do Permu; że żandarmi dobrzy ludzie i dali tego dowody w Białej. „Jedź księże, a ja was dogonię za miastem“. Dał mi pudełko wyborowych cygar. Po obiedzie ruszyliśmy w dalszą drogę. W godzinę potem, już o zmroku, dopędza nas śmiało ów obywatel, woła na zwoszczyka: „Stój!“ Przedstawia się: „Jestem Traugut. Poczta ta, do której zajedziemy należy do mnie, wetknął coś żandarmom do ręki, „otóż bądźcie spokojni, zajedziecie na wieczór do mojego domu“. Żandarmi zgodzili się, a ja gotów, — więc zgoda. Wieczorem stanęliśmy w dworku wiejskim we wsi Ostrowie [1]), w powiecie kobryńskim. Dom pięknie urządzony. Pan właściciel rekomendował swą siostrę miłą pannę, widać, że gospodarną, bo była przy fartuszku gospodyni domu. Żandarmi kontenci, że nieco odpoczną, zjedzą coś zdrowego i po domowemu zrobionego, bo od czasu wyjazdu z Łukowa ustawicznie wódką, herbatą i kawałkiem przydymionego mięsa żywiliśmy się. Gospodarz był mi bardzo rad, ciekawy wypadków warszawskich i ruchu moralno-politycznego na prowincyi; o ile dotykałem się czynnie i miałem wiadomości o wypadkach w Warszawie, o tyle gospodarza objaśniałem.

Widać z oczu i z mowy, że był wielce tymi wypadkami przejęty — serdecznie też mi dziękował za opowiadania moje. Dano sutą kolacyę, wina różnego i szampańskiego do syta. Po kolacyi, był śpiew i wspólna gawędka, potem przygotowano słomę, materace, poduszki dla mnie i dwóch żandarmów. Ja spałem między żandarmami na sali. Około godziny 2 po północy, w szlafroku, gospodarz trzymając lichtarz w ręku, nogą mię budzi, i poleca, abym się zebrał: „Furman mój gotowy, człowiek pewny, masz sporą paczkę rubli i jedź“, powiedział. „A cóż Pan z żandarmami (którzy okropnie chrapali) zrobisz“ spytałem. „Ja się z nimi rozmówię, mając przy sobie rewol-

---

[1]) Wieś ta dostała się Traugutowi członkowi R. N. po Witalisie Szujskim, którego nazywali księciem.

wer nabity. Widząc na co się zanosi, stanowczo zabraniam robienia czegoś złego żandarmom. „Nie mogę przystać na pański projekt, podły byłbym, narażając na śmierć dwóch ludzi, was dwoje i wasze mienie na zgubę. Nie jestem tak wielce użytecznym na ten czas krajowi, a nic tak strasznego nie zrobiłem, abym był na śmierć skazany“. Oburzony Traugut wzywa siostrę — ta w negliżu przychodzi i prosi mnie, abym zadość uczynił jej bratu. „Nie, nie zrobię tego“, stanowczo powiedziałem. Byłem przytomny, — ucałowałem rączki panny Traugut i na tem skończyło się, że dała mi na pamiątkę pierścionek złoty z wypadków warszawskich (pamiątkowy), a dom ten odtąd był dla mnie, przez czas mego wygnania domem opiekuńczym. (Dostarczali mi dowiedziawszy się od powracających żandarmów o przeznaczonem dla mnie stałem miejscu — cukru i dobrych cygar). Wypiwszy harbatę rano wraz z żandarmami ruszyliśmy dalej. Obywatel Traugut dał nam kryte i wygodne sanie, które dużo przyczyniły się do zachowania zdrowia naszego wśród tak wielkich mrozów.

Począwszy od Brześcia dochodził mróz od 26—27°. Droga bita, umyślnie była zbudowana przez cara Mikołaja dla więźniów politycznych i urzędników moskiewskich. Wsie wszystkie aż do Moskwy odsunięte od drogi przeszło milę lub więcej. Domy tylko pocztowe stoją z stajniami. W każdej stacyi pocztowej są pokoje umeblowane porządnie dla przejeżdżających, podzielone na dwie klasy: pierwsza dla carskiej rodziny — generałów i półkowników. Ja zawsze odpoczywałem w I. klasie. Każdy pocztmistrz, zależny od obywatela ziemskiego miał dochód z samowaru — każdy gość płacił za wodę gorącą 6 kopiejek lub więcej, trzeba jednak mieć swój cukier i herbatę. Na każdej stacyi był jeden z komitetowych dla przyniesienia ulgi więźniom politycznym. Obywatele okoliczni składali się i dawali pewną sumkę potrzebującemu, bieliznę i t. p. Widać było współczucie na Litwie. Obywatele odważni umieją z Moskalami traktować, rozumie się rublem. Na jednej stacyi pocztowej opowiadał mi pocztmajster ze łzą w oku, następujące zdarzenie: W roku 1852 przejeżdżał Car Mikołaj z Moskwy do Warszawy, odpoczywał na poczcie, bawił się z ich 6-letnim synkiem bardzo rozumnym

i pięknym chłopcem. Car lubiał bawić się z dziećmi. Pyta się Car chłopca, czy zna cara Mikołaja i czy go kocha. Chłopiec naiwnie siedząc na kolanach despoty, odpowiada, że Car Mikołaj despota, mściwy i krwi żądny, nie lubi Polaków. Mikołaj uniesiony wściekłym gniewem, rzucił chłopca o piec z taką siłą, że chłopczyna został nieżywy, kazał zaprzęgać konie i wyjechał z poczty. Ojciec i matka musieli znieść tę boleść i pochować dziecię. Byli w obawie przeszło rok, że ich wezmą na Sybir, za takie wychowanie dzieci. Ale widać, Mikołaj nie polecił mścić się na rodzicach. Pocieszyłem zmartwionych rodziców i ruszyliśmy ze stacyi dalej. Podróż odbywała się dzień i noc, bez większego odpoczynku. Przejeżdżałem Słuck, sławne kiedyś wyrobami polskich litych pasów. Dziś jeszcze ruchliwe miasto. Tam nas przyjęło kilka osób i dano nam na dalszą podróż 25 rubli i nieco żandarmom, za ich uprzejmość. Przybyliśmy do fortecy Bobrujsk. W tej cytadeli był osadzony ks. Białobrzeski z dwoma kanonikami warszawskimi. (Ks. Białob. administrator dyec. warszawskiej po ś. p. Arcyb. Fiałkowskim) mile nas przyjął. Odwiedzając go, dowiedziałem się, że 3 dni temu przewozili ks. kanonika Józ. Wyszyńskiego, a dzień przedtem ks. kan. Steckiego, obydwaj z Warszawy; żandarmi tak urządzali marszrutę, abyśmy się nigdy razem na stacyach pocztowych nie spotkali. Na granicy gub. Smoleńskiej, a tem samem na krańcach dawnej Polski, proszeni zostaliśmy na obiad przez obywatela N. — Pałac parterowy z przepychem umeblowany. Wchodząc z żandarmem do tego przybytku, widzieliśmy 2 kozaków stojących na usługi — dwa konie okulbaczone przed domem, na posyłki dzienne. Właściciele bardzo uprzejmi i gościnni oprowadzili mię po swem pomieszkaniu. Sala gościnna w półkole, wysoka, pięknymi obrazami i biblioteką bogatą, ozdobiona w dywany i tapety wschodnie, kwiatami nasiane w środku salonu, portretów familijnych wielka liczba. Po gościnnem przyjęciu i po miłej gawędce poszedłem z żandarmami na spoczynek do miejscowej poczty. Rano wstawszy po modlitwach kapłańskich, wraz z żandarmem udałem się do kaplicy domowej owego obywatela, w której mszę św. na krańcach Polski odprawiłem. Córka prześlicznie odśpiewała przy organach

pieśni narodowo-religijne. Kaplica bogato uposażona. Taką miałem radość wewnętrzną, że trudno ją wysłowić; — 3 tygodnie od wyjazdu z Łukowa nie odprawiałem ofiary mszy św., bo mi nie wolno było. Serdecznie podziękowałem gospodarzowi i owemu organiście za taką miłą niespodziankę. Wypiwszy kawę pożegnałem dom gościnny szlachetnie. Stary szlachcic odprowadził nas na krańce swej wsi i wskazał mi tu koniec Polski, naszej ojczyzny. Odtąd dalej, już znajdziesz ks. dobrodziej inne zwyczaje i obyczaje, nie ujrzysz figury przy domu, ani usłyszysz: „Niech będzie pochwalony“, ani „witajcie“. Uścisnęliśmy sobie nawzajem dłonie. Stary szlachcic zapłakał i mnie niejedna łza spłynęła. Tak mi smutno i mdło zrobiło się, jak na środku morza. Co mila dalej nie spotykałem nikogo, któryby okiem serdecznem spojrzał na kibitkę naszą. Sami żandarmi odzywali się, że teraz już inny kraj, — niema serca polskiego, — trzeba z tych wyznaczonych kopiejek żywić się i płacić podorożne. Wjechaliśmy w smutne okolice gubernii Smoleńskiej. Droga już od gubernii Smoleńskiej nieznośna, wyboje niesłychane. Sanki nasze nie wchodzą w tory sanek moskiewskich. Okropnie się to odbija na wnętrznościach przejeżdżających. Trzeba mieć pas wełniany na żołądku i być ustawicznie nachylonym.

Mróz nam coraz silniejszy dokuczał. Żadnego po drodze wrażenia nie odbieraliśmy, widzieliśmy tylko przed stacyą pocztową, jak Moskale okropnemi drągami przymarznięte koła dyliżansu odrywali i pocztylion cmokał na 6 koni, ciągnących ten okropny powóz rządowy. Moi towarzysze nieodstępni, zaczynali sobie przypominać język rossyjski. Każdy z nich od 18 lat w Polsce kwaterował, jeden z nich był Hachoł, drugi Mazur z płockiego. Żyliśmy słoniną, wódką i herbatą — zapasem, jaki nam dawano na różnych stacyach, począwszy od Biały. Na drodze nie zobaczysz powozu, tylko jednokonne powózki z ciężarami, perekładna lub rządowa poczta. Nic Cię nie zajmie, chyba tylko brzęczące druty telegrafu. Natura umarła i ludzie w niej umarli. Kończąc podróż mą przez gubernię smoleńską, na pewnej stacyi pocztowej spotykaliśmy rossyjskiego pułkownika, Moskala czystej krwi, jadącego do Moskwy, a za nim

trzy powózki z rzeczami. Wspólnie odpoczywaliśmy po stacyach pocztowych — i oswoiliśmy się; — widział bowiem mój dobry stosunek z mymi aniołami-stróżami — polecił więc służącemu swemu podać samowar i przekąskę, w osobnym pokoju dla żandarmów. Zaproszenie przyjąłem — rozmawialiśmy uprzejmie o pogodzie i o moich żandarmach, aż nareszcie dał mi pytanie w języku rossyjskim: „Powiedz mi księże, czy i Polki są u was tak wielkiemi patryotkami i biorą udział w manifestacyach narodowych? Że akademicy, szlachta i księża tem się zajmują, temu się nie dziwię, ale zadziwia mnie nie mało, że urzędnicy, kobiety i panny także do tego należą“. „A czemu o to pułkownik pyta“, zapytałem. „Ach mam ważny powód do zapytania tego“, odrzekł. Widząc go zmieszanego, powtarzam mu to pytanie. „Ach Polki!“ — wykrzyknął Moskal, — „patrz księże na te złote obrączki, które z sobą wiozę. Byłem już zaręczony; kochałem i ubóstwiałem Polkę, córę grodzieńskiej gubernii — byłem u rodziców w celu wzięcia ślubu w kościele katolickim. Narzeczona moja przy witaniu mnie i wobec rodziców, odezwała się: Pułkowniku kocham Cię, ale ojczyznę więcej kocham; — krew polała się w Warszawie, Moskale zabijali naszych, więc iść za ciebie nie mogę. Weź ten dany mi pierścionek i nie gniewaj się Pułkowniku;“ — z tem opuściłem jej rodzicielski dom. Wyobraź sobie księże, co za boleść mię ogarnęła. „Dziś tem więcej ją kocham“. Chustką otarł łzę. Jam na to: „Pułkowniku! chwile i czasy dziś dziwne — zwrot we wszystkich umysłach, — niedziw się. Prawda, żeś ofiarą, ale człowiek myślący wytłumaczy to sobie.

Rozmawialiśmy potem o położeniu politycznem, o Moskwie, do której zbliżaliśmy się, i tak jakoś zrozumieliśmy się, że ów Pułkownik nie pozwolił nigdzie po stacyach płacić nam za życie; — ja jadałem z nim obiady, a żandarmi z jego służbą. Rozstaliśmy się z sobą do Moskwy wjeżdżając. Zwoszczyk odjął dzwonki od dyszla, ponieważ miasto Petersburg i Moskwa mają ten przywilej, aby nie robić wielkiego hałasu po ulicach. Żandarmi, zwożczyk z wielką czcią wspominają o matuszce Moskwie. Wyglądnąwszy z sanek, widziałem wszędzie po domkach firanki czerwone i białe; — dość długo je-

dzie się miastem. Widziałem Kreml, słyszałem hałas dzwonków i dzwonów po cerkwiach, aż nareszcie zajechaliśmy przed pocztę, będącą w środku miasta nad Moskwą. Starszy żandarm poszedł do komendy meldować się i złożyć raport o więźniu. Ja przypatrując się ogromnej mapie Rossyi i stacyom główniejszym po dalszej mojej drodze, nagle zapytany zostałem przez akademika Moskala o moje nazwisko. Zdziwiło mię to mocno, gdy on mi podał słownik francusko-polski, kupiony przez owego pułkownika. Serdecznie kazałem mu podziękować, podziękowałem także akademikowi pięknemu z urody i dobrze wychowanemu. Pół godziny minęło, aż tu zjawili się przed pocztą liczne sanki z młodzieżą: Litwini, Mazury, Rossyanie zgromadzili się na salę pocztową, witali mnie, śpiewali i radzili między sobą, aby mi wyprawić obiad. Gdy policya się o tem dowiedziała, polecenie z komendy nadeszło, aby więzień natychmiast miasto opuścił. Zaczął się hałas, ale uprosiliśmy młodzież, aby nas nie narażali na jakieś nieprzyjemności. Akademicy Rossyanie na to: „My u siebie. My obywatele, wolno nam miłego gościa witać i z nim cieszyć się. Duraki policya!“ Widząc na co się zanosi, ruszyliśmy dalej, w tem młodzież otoczyła nasze sanie, mając swoich ze sto, razem opuściliśmy ulice, — brzmiały śpiewy rossyjskie, polskie narodowe, ustawiczne hurra. Kilku akademików ruszyło naprzód.

Za rogatką Moskwy jest dom zajezdny, zaprosili nas na odpoczynek. Szampan lał się, mowy były kolejne za stołem, młodzież wskrzeszała Polskę i adres podpisywała do Arcyb. Felińskiego, świeżo do Warszawy przybyłego. Feliński młodzieży był znany, z jak najlepszej strony.

Musiałem i ja palnąć mówkę, określając stanowisko kapłana-Polaka. Tak rozpaliłem młodzież, że gotowaby była iść wprost do Warszawy. Nastąpiła potem obfita przekąska i uciski pożegnawcze. Przyznam się, że dopiero w Moskwie poznałem młodzież akademicką, jej ducha i odwagę obywatelską, a przykro mi bardzo, że młodzież akademicka krakowsko-lwowska nie ma tej obywatelskiej odwagi, tylko stara się już zawczasu o posadę, i o kawałek chleba powszedniego. Młodzież litewska zna tryb postępowania z czynownikami. Dowiedziałem

się, że mają zawiadomienie w Moskwie, że panna Pustowójtów ma przejeżdżać przez Moskwę na Sybir. Przygotowania więc były wielkie ze strony akademików, a ostrożność ze strony władz.

Przy tej sposobności opowiem, co wiem o tej amazonce z r. 1863. Panna Pustowójtów była córką Kossakowskiej wdowy. Kończyła nauki w Suławach. Dowiedziawszy się o plamach Kossakowskich, a będąc córką generała moskiewskiego (ponieważ matka jej poszła za mąż za generała Pustowajtowa), okazała wielką odwagę w Lublinie wspierała ubogich i dawała fundusze na wszelkie manifestacye narodowe. Kazała drukować pieśni narodowe i rozrzucała je po wsiach. Sprzykrzyło się to władzy moskiewskiej, wysłali ją do miejsca urodzenia, do Żytomierza i to pod konwojem. Poznałem ją jeszcze w Chełmie, wszędzie robiono jej owacyą. Młodzież koniecznie chciała ją wydobyć z rąk żandarmów, ale ona wszędzie błagała, aby tego nie robić, ona wszędzie będzie propagować sprawę polską. W Żytomierzu młodzież obywatelską i wojskowych zjednywała swem skromnem znalezieniem się i wiele podbijała serc i ducha młodzieży. W Żytomierzu urządzili świetne nabożeństwo za poległych; widząc Moskale, że jeszcze bardziej tam niespokojną i szkodliwą staje się dla rządu, mieli ją aresztować i wywieść do głębokiej Rossyi. Panna Pustowójtów widząc, że jej grozi niebezpieczeństwo, przekradła się za granicę, do Bukaresztu i tam przy jakiejś rodzinie bogatej przebywała gdy młodzieży w Moskwie oświadczyłem, że panna Pustowójtów za granicą Rossyi się znajduje, była w obozie starego Czuchowskiego internowana z Langiewiczem. Przebywała z wielką korzyścią dla emigrantów w Paryżu. Wiele dobrego robiła dla francuzów, polaków podczas komuny u generała Dąbrowskiego. Następnie wyszła za doktora Lewenhardta, polaka-emigranta z Warszawy po roku 1863 i umarła przed laty czterema czy pięciu w Paryżu, zostawiwszy kilkoro dzieci pod opieką Rattala i męża swego. Wypiliśmy jeszcze z młodzieżą jej zdrowie i opuściliśmy Moskwę i młodzież kochaną.

Przestrzeń całą do Włodzimierza spiąc przejechaliśmy, dostałem tej nocy wskutek zimna i wiatrów silnego zapalenia oka, tak

żeśmy musieli 10 dni odpoczywać w szpitalu wojskowym. Tam dano nam wygodny pokój i czysty, opiekę miałem od swoich żandarmów. Nic mię życie i lekarstwa nie kosztowały. Obejrzałem się dopiero ile w tłumoku miałem bielizny, bo poczciwi żandarmi składali i spisywali, gdzie co mi dało obywatelstwo litewskie. Obliczyłem swoją portmonetkę, pokazało się, że posiadałem 300 Rs. i cały pełny tłumok bielizny.

Skorom przyszedł do zdrowia, ruszyliśmy w dalszą podróż; mróz coraz silniejszy tak nam dokuczał, że na każdej stacyi musiałem przykładać kompresy letnie na oczy i rozgrzewać się herbatą. Przejechaliśmy Niżny Nowgorod, Czebuksar i Kazań; (każde miasto gubernialne). Kazań dawna stolica Tatarów, inne zwyczaje i obyczaje. Mówiono mi, że Kazań pała nienawiścią przeciw rządowi; widziałem ruiny starych meczetów i zamków. Rozmowa była ciągła z zwożczykiem Tatarem o ich domowem pożyciu, obyczajach i zwyczajach: odrębne oni mają zapatrywania na życie. Nieraz uśmialiliśmy się z opowiadań Tatara o ich wielu żonach i jak niektórzy mężowie frymarczą kobietami.

Wiacka gubernia obszerna i dosyć bogata, ponieważ wieśniacy trudnią się stolarstwem. Wszędzie po chatach przyzwoite meble i sprzęty gospodarskie, handel temi wyrobami prowadzą po innych guberniach.

W wielkim raz byłem strachu, ponieważ żandarmi moi pokłócili się o małą bagatelę; hachoł[1]) jako starszy, kierujący wyprawą naszą, burczał wyrazami moskiewskiemi swego młodszego kolegę Polaka za to, że zapomniał butelkę wódki na stacyi pocztowej. Żandarm młodszy prosił kolegę, aby dał spokój, bo odkupi tę kwartę wódki. Hachoł tem więcej używał brzydkich wyrazów, nareszcie rozgniewany uderzył w twarz kolegę, ten wyskoczył z sanek na Wołdze, dobył pałasza i rąbali się strasznie. My z Tatarem wołaliśmy, prosiliśmy — ale nic nie pomagało, wzięliśmy więc nabite pistolety z sanek i włożyliśmy pod śnieg, bo chcieli się strzelać. Na szczęście nadjechało kilka

---

[1]) Hachoł, znaczy wieśniak w moskiewskim języku.

kibitek — zawołaliśmy ludzi do rozbrojenia, bo ledwie zdołaliśmy jednemu i drugiemu pałasze z rąk wydrzeć. Straciliśmy przeszło dwie godziny. Zwozczyk chciał odjechać ze mną lub bezemnie; błagałem, prosiłem, dałem mu rubla, aby był cierpliwym, aż nareszcie wsiedli do sanek i siedzieli rozbrojeni, nie mówiąc do siebie przeszło 14 godzin. Mając czas i sposobność, mitygując jednę i drugą stronę, pogodziłem żandarmów.

Odpoczynek w Permie.

Wjechaliśmy nareszcie do przeznaczonego i upragnionego miasta Permu — koło 10-go lutego. Żandarmi wzięli odemnie pieniądze z portmonetką, bo obawiali się, że gubernator Łazarew będzie robił koło mnie rewizyę ścisłą, odbierając mnie od żandarmów. Oddałem im z zupełną ufnością ten grosz. Zajechaliśmy już bardzo zmęczeni do gubernatora w porę obiadową. Znieśli za mną mój tłumok. Żandarm zameldował gubernatorowi, który kazał czekać do 3-ciej godziny. Od gubernatorowej przyniesiono objad dla więźnia; dziwiłem się zkąd taka grzeczność. Po obiedzie, prócz dwóch żandarmów i mnie, nikogo nie było w dolnych gubernialnych kancelaryach. Wtem nadszedł 10-letni chłopczyk — spytał o dziennik urzędowy — spojrzał na nas i poszedł. Po chwili wpadł do nas mężczyzna, około 66 lat mający, szpakowaty, krępy, w długiem ubraniu. Pytał z góry po polsku: zkąd jestem, dokąd mię wiozą, i za co mię pędzą w ten nieszczęśliwy Sybir? Nieznany a tak śmiało atakował i niepokoił. „A cóż WPanu do tego?“ odpowiedziałem, sądząc, że to szpieg, lub jakiś urzędnik, który chce mię złapać za słowo. Tem więcej utwierdziło mię, że pan Łazarew, chytry człowiek, zna Polaków, więc mógł po swej myśli mieć w kancellaryi Polaka. Tupnął na mnie nogą. „Czyś ty ksiądz, czy obywatel?“ zapytał. Ja miałem już podówczas dobrą brodę i wąsy. „Bo ja jestem ks. Piotr Ściegienny, Pijar!“ rzekł znowu. „To Piotr Ściegienny, więzień polityczny z r. 1844.“ „Tak mój bracie! A ty co za jeden?“ Odpowiedziałem mu: „Jestem także Pijar. Słotwiński“ Rzuciłem mu się w ramiona,

ucałowałem starca w ramię, w ręce. „Mów mi co się tam dzieje w kochanej Polsce. Czy duch narodowy rozwija się, czy młode pokolenie, pamiętne na srogie prześladowanie i rozbiór przez trzech“ wrogów? Pytania szły jedne za drugiemi. „Dokąd jesteś przeznaczony sądem wojennym?“ Odpowiedziałem przy żandarmach: „Do Permu na mieszkanie“ „A więc dobrze, żyć będziemy wesoło. Jest kilka miłych domów litewskich w Permie; ucieszą się, że nasze kółko powiększy się.“

Zbliżała się 3-cia godzina — nadszedł gubernator Łazarew. Ściegienny odezwał się śmiało: „Panie gubernatorze nie traktuj tak księdza-Polaka, jak jakiego złodzieja. On powinien odpoczywać w pokojach gościnnych.“ Pociągnął mię za poły. Gubernator na to: „Przepraszam tam nie może odpoczywać, bo tam są panie, jadące pod konwojem na Sybir.“ „Co? Polki?“ krzyknął Ściegienny. „Tak jest księżuniu drogi“ odrzekł gubernator. „To być nie może“. Lecz starzec przekonał się o prawdzie słów gubernatora. „A to co się dzieje! my nie wiemy kto przez Perm przejeżdża z Polski?“ rzekł. Zaklął po polsku. Gubernator do mnie: „Jakie miasto powiatowe w gubernii sobie pan obierasz, bo w Permie nie wolno nam pozostawić politycznego więźnia.“ Niech sobie czytelnik wyobrazi, jakie smutne wrażenie ta mowa satrapy na mnie zrobiła. Dostałem strasznego bicia serca i bólu głowy. Ks. Ściegienny mówi mi do ucha: „Nie jedź dzisiaj, powiedz, żeś słaby i musisz odpocząć.“ Powiedziałem więc śmiało do gubernatora: „jestem 30-dniową podróżą zmęczony, chorowałem w Włodzimierzu, więc kilka dni tu wypocznę i spytam się władzy warszawskiej dlaczego dekret zmieniony.

Gubernator obrócił się do żandarmów z zapytaniem, czy to prawda, żem chory? Żandarmi potwierdzili me żądania. „A więc dobrze, ale gdzież Pan mieszkać będziesz? Chyba cię do szpitala odeszlę“ rzekł gubernator. Ściegienny obznajomiony rzekł, że w hotelu może mieszkać i że ten wydatek ze składek zapłaci. Na to gubernator: „Dobrze, ale ja nie odbiorę więźnia od żandarmów, dopóki nie przyjdzie do zdrowia“. Żandarmi zadowoleni, że będą mogli ze mną dłużej zostać, przyrzekli mię pilnować a cieszyli się sami także odpoczynkiem.

Natychmiast wyjechaliśmy do hotelu. Dano mi dwa pokoje obszerne i pięknie umeblowane. Polacy z Permu przyszli na herbatę; było gwarno i wzajemne nastąpiły objaśnienia. Pouczałem się o sposobie życia i obejścia się z Moskalami od ks. Piotra a oni odemnie dowiadywali się o ruchach w Polsce. Poznałem głównego naczelnika lasów całej gubernii Permskiej. Był to żonaty Litwin, bardzo mi był użyteczny i uprzejmy dla więźnia.

Objawiłem ks. Ściegiennemu chęć zabrania bielizny dla potrzebnych, którą miałem do zbycia. Ułożono komitet dla więźniów, porozpisywano listy do różnych gubernij w celu dowiedzenia się o liczbie i stanie więźniów politycznych. Przez dni ośm odpoczywałem w Permie Po kilka godzin dziennie przepędzałem z ks. Piotrem Ściegiennym. Wiele dowiedziałem się od starca; opowiadał mi swe prace i szczegóły, które nieprzychylni wkładali w jego usta i głosili przed Moskalami. To rzadki był więzień. Bity, przez 12 lat w kajdanach do taczek przykuty, przepędził w Nerczyńsku. Pokazywał mi Pismo Święte i swoje uwagi i rozumowania nad textami. Poznał on gruntownie ducha i charakter Moskali. Zawsze głośno dowodził, żeby nie wierzyć żadnemu Moskalowi „a który Moskal nazwał się twoim przyjacielem weź kamień i uderz silnie w jego ramię, a wtenczas odezwie się prawdziwy charakter moskiewski. My Polacy wychowani i uczeni w wolności indywidualnej a Moskale są w samym rządzie despotyczni i w niego wierzą — indywidualności za grosz w Moskalu nie znajdziesz. Zważaj i sądź praktycznie tam, gdzie będziesz żył z nimi.“ Błagał mię, abym listownie lub osobiście, skoro wrócę do swoich, zapewnił rodziny szlacheckie, że nigdy nie propagował nienawiści stanów, tylko chciał znieść przywileje i ciężary, jakie wiekami narzucane były na mieszczan i lud polski; chciał wypędzić Moskali z Polski.

Tak przeszły te dni ośm. Z żandarmami udałem się do gubernatora chcąc sobie wybrać miejsce osiedlenia się. Dostałem listę powiatów, przeglądałem i czytałem różne nazwiska miast i Polaków tam przebywających, aż nareszcie znalazłem w mieście powiatowem Czerdynie nazwisko proboszcza ze wsi Pułajewo na Kujawach nad Gopłem — tym był ks. Michał Fischer. Znałem go, mieszkając w Radziejowie, jako pobożnego ascetę

dobrego człowieka i czynnego proboszcza. Wybrałem więc sobie za stały pobyt miasto Czerdyn. Również i to sympatycznie mnie usposobiło do tego miasteczka, że Piotrowski Rufin, który uciekł z Syberyi, w swych „Pamiętnikach“ mile bardzo Czerdyn wspomina. Przeznaczono mi dwóch kozaków uralskich do eskorty. Gubernator skwitował żandarmów a ja od tej chwili pozostałem pod innym kierunkiem i opieką. Serdecznie uściskałem tych moich dobrych aniołów-stróżów, prosiłem ich, aby, gdzie mogą, objaśniali o mem stałem miejscu zamieszkania. 300 rsr. oddali mi nienaruszone. Ucałowali oni mię po rękach i nogach i nie widziałem ich więcej w Permie. Zaopatrzywszy się w cukier i świece (najdroższe rzeczy na prowincyi w Syberyi i głębokiej Rosyi) dostałem od Polaków listy polecające do urzędników w Czerdynie.

Pożegnawszy serdecznie wygnańczą Polonię, ruszyłem z kozakami do miejsca przeznaczonego. Smutno mi było, bo ci byli prawie dzikimi ludźmi i wykonawcami ślepymi poleceń gubernatora. W powiecie Solikamskim napadła nas wielka liczba wilków; okropny strach mię ogarnął. Każdy z nas robił rachunek sumienia i żal zupełny za grzechy. Szczęściem samica nie porwała się na naszą kibitkę, więc około 250 wilków koło nas przeszło. Następnego dnia tak wielki śnieg upadł, że niepodobna było dalej ruszyć. Od Permu poczta idzie już gęsim marszem t. j. konie idą szpicem. Płaty śniegu jak dobra dłoń ludzka. Czekaliśmy pod namiotem 48 godzin na miejscu w lesie dziewiczym. Wichru żadnego — samowar kipiał — konie i my rogużkami okryliśmy się. Skoro śnieg dobrze nasz namiot okrył, ciepło mieliśmy jak w pomieszkaniu. Zrobiono nareszcie kibitkami towarowemi jaki taki tor, więc i my ruszyliśmy tak, że w 5 dni drogi dobiliśmy do Czerdyna.

Pobyt mój w Czerdynie.

Kancelarya Horodniczego (burmistrza miasta) była przy ostrogu (więzieniu) za miastem parę wiorst. Do tej kancelaryi kozacy tłumok mój, zapasy jakie takie, mnie i papiery gubernatorskie oddali burmistrzowi. Ten odprawia kozaków a ja sam

zostałem. Ośmieliłem się zapytać horodniczego co będę robił i gdzie będę mieszkał. „Gdzie i co panu się podoba — nam nic do tego, tylko co tydzień musisz pan się meldować w biurze. Nie wolno panu z miasta nigdzie się ruszyć“ odpowiedział. „A gdzież to miasto panie Horodniczy?“ spytałem. „Tam dalsze“ odrzekł. Wściekły byłem, zacząłem piorunować po polsku. Wtem wszyscy z bióra wyszli; widząc mię burmistrz zakłopotanego rzekł po rosyjsku: „Ja Polak, ale po polsku nie mówię, tylko serce mam polskie“. Dodał mi tem odwagi, ale w kancelaryi więcej do mnie nie mówił. Krzyknął na swego zwożczyka: „Zawieź tego pana i rzeczy jego do miasta i wskaż mu tymczasowo jaką taką kwaterę.“ Zamieszkałem w mieście u jakiegoś mieszczanina dnia 16 Lutego 1862.

Powiat Czerdyn, ostatni powiat gubernii Permskiej, graniczy z gubernią Wołogodzką przy samych górach Uralskich. Czerdyn tak położony względem gór uralskich jak nasze Zakopane przy Karpatach. Mieszkańcy są dość bogaci — handel odbywa się na zamianę. Każdy prawie jest kupcem. Wielu jest właścicielami kopalń złota. Kobiety piękne i wysmukłe, śmiałe jak nasze góralki. Przemysł i handel z chłopami: biorą od nich w naturze skóry różnych zwierząt, mięso lub renifery a dają chłopom buty, cukier, wódkę, świece i t. p. Rzadko bardzo widać ruble srebrne lub miedź. Stan więc kupiecki i urzędniczy, którzy rej wodzą w całym powiecie, bo są zamożni.

Cerkwie bogate — było ich 5 w mieście. Mieszkańcy nie szanują popów i ich rodzin; z pogardą o nich wspominają, bo głównemi ich wadami zdzierstwo, pijaństwo, próżniactwo i uniżoność wielka dla grosza a to tem bardziej, że w Permskiej gubernii mieszka wielka liczba starowierców. Nie trudnią się mieszkańcy rolnictwem, bo mróz dochodzi tam do 38° a nawet do 40°. Śniegi od 15 Sierpnia do 1 Czerwca i mrozy wielkie. Od razu tak szybka wegetacya, że owies, jęczmień lichy, w ciągu tych dwóch i pół miesięcy sieją, zbierają, młócą na polu, obijając ziarno o pal wbity na ten cel w ziemię. Wielka zorza północna przez dwa miesiące tak jasna, że nie trzeba światła do roboty. Podczas letnich miesięcy nieznośne robactwo dokucza człowiekowi na ulicy i w podróży

Bydło nie ma rogów z powodu mrozu. Konie małe, krowy bardzo małe. Często w Czerdynie widzi się jak mużyk przejeżdża reniferami oswojonemi. Domy z okrąglaków z suterenami.

Po odpoczynku na nowem mieszkaniu dowiedziałem się gdzie mój poczciwy Fischer proboszcz mieszka, bo burmistrz mi nic o nim nie powiedział a zwożczyk nic nie słyszał o księdzu polskim. Wszedłem do jego pokoiku schludnego, ale maleńkiego. „Niech będzie pochwalony“ przywitał mnie biedny, znękany, w wytartym szlafroku z pełnemi na twarzy wyrzutami i chory na oczy kapłan. „Kogo mam witać?“ „Nie poznajesz mię proboszczu?“ „Nie“ odrzekł. „Pijar Słotwiński z Radziejowa. Pamiętasz, żem był u ciebie z kazaniem 16 maja na św. Jan“. „A tak“ rzekł „teraz sobie przypominam. Za co, i od jakiego czasu rząd moskiewski cię tu zesłał? Co tu robisz i z czego żyjesz?“ „Czy więcej naszych tu przebywa?“ „Jeden tylko Żmudzin razem ze mną mieszka, ale on nie polityczny. Zasłaniec tylko za gry i fałszowanie w kartach. Z nim jednym przemówię kilka słów po polsku.“ „Jaki lud i jego usposobienie? Czy bywasz w jakim domu?“ „Nie! tu się bardzo obawiają zesłańców, bo to zwykle są złodzieje, zbóje i pijacy.“ „Więc nikomu się nie pokazujesz! jak żyjesz i kto ci żywności dostarcza?“ „Sługa owego Żmudzina przynosi mi kawał mięsa, chleba i prowadzę sam małe gospodarstwo“ „Ile masz grosza i bielizny? spytałem. „Już jestem 2¹/₂ miesiące tutaj: pisałem list do swoich o pieniądze, ale dotąd nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi.“ „A więc pożyczę ci 30 rs. i dam ci 4 koszule bo mi Litwini pełno dali“ odrzekłem. „Z nikim nie widziałeś się w Permie? Nie poznałeś dobrych serc, jak jechałeś przez Litwę? Ach! ty biedny Fischerze!“

Wieczorem poszedłem do swej chaty i odpocząłem wygodnie. Nazajutrz ubrawszy się po pijarsku udałem się do kapitana czyli naczelnika inżynieryi leśnej Tomasza Fedorowicza z wizytą i listem polecającym mię. Ów oficer, kulawy, ze szkoły petersburgskiej, nieco ucywilizowany, przyjął mię uprzejmie, a po odczytaniu listu od swego pryncypała, miał nawet sobie za zaszczyt zarekomendować mię swej żonie. Przed wyjściem zostawiłem mu w depozycie 300 rs. bo obawiałem się trzymać

u siebie, nie znając gospodarza i mieszkańców. Tym faktem tem więcej go dla siebie ująłem. Odwiózł mię do ks. Fiszera i razem przepędziliśmy dzień cały. Zaczęliśmy szukać wspólnego pomieszkania, to też w parę dni mieszkaliśmy razem. Treści do rozmowy nie brakło. Mieszkanie mieliśmy w domu kowala żonatego; wspólny salon, dobrze umeblowany, każdy z nas po małym pokoiku, chłopak do usługi i konia do wyjazdu, bo tam nie można pieszo chodzić z powodu wielkich mrozów. Śniadanie i wieczerzę sami gotowaliśmy, objad mieliśmy u gospodarza. Za wszystko razem płaciliśmy miesięcznie po 15 rs.

Każdy dom ma swoją łaźnię (banię) parową. Namówiłem Fiszera, że poszedł ze mną parę razy do łaźni, oczyścił się, nabrał życia i wesołości. Ks. Fiszer zajmował się kuchnią a ja polowaniem. Strzelbę miałem od owego kapitana. Zrobiliśmy wizytę horodniczemu sprawnikowi starszemu popowi (Protopop-dziekan) głowie miasta, bogatemu kupcowi.

Zaczęliśmy chodzić do cerkwi na nabożeństwa w celu poznania modlitw i zachowania się w prawosławnym domu modlitwy. To niezmiernie się podobało mieszkańcom. Następnie sprowadziliśmy sobie kielich, mszał i aparata nasze katolickie z Warszawy i urządziliśmy sobie kapliczkę wedle przepisów kościoła naszego. Odprawialiśmy przeszło 2 miesiące mszę świętą. Inteligencya czerdyńska, zdjęta ciekawością naszej mszy, zaczęła gromadnie na nabożeństwo nasze uczęszczać. Popi, dowiedziawszy się o tem, zdają raport do gubernatora, od którego przyszedł srogi zakaz odprawiania mszy. Okropne było oburzenie w mieście na popów za tę denuncyacyę. Musieliśmy się jednak poddać zakazowi i pozbawiliśmy się tej największej dla kapłana pociechy religijnej.

Odbieraliśmy wizyty i bywaliśmy kolejno zapraszani na wieczory. Namawiano mię, abym grał w preferansa z nimi; ja się gwałtem wymawiałem bo drogo na moją kieszeń grywali — po 5 kopiejek punkt. Kapitan, o którym wyżej wspominałem, chcąc mi zrobić przyjemność, wziął połowę ceny na siebie — a więc siadałem do gry! Rozpocząłem szczęśliwie; przez wieczór wygrałem 75 rs. Oddałem kapitanowi połowę a sobie wziąłem drugą. Poznałem, że nie lepsi byli gracze

odemnie; grywałem z nimi często i zawsze tak zwycięsko wychodziłem, że mieszkanie i stół za nas dwóch opłacałem wygraną i coś jeszcze zostawało w kieszeni.

Z każdym tygodniem wzbudzaliśmy większy szacunek i głos. Odwiedzaliśmy więźniów; pozwolone nam było pogawędzić z nimi na tle religijnem. Dawaliśmy co tydzień na ich potrzeby po 5 rs. Skorośmy szli po ulicy pieszo, wszyscy zdejmowali czapki i bili pokłony przed nami. Swem postępowaniem zrobiliśmy to, że mieszkańcy i urzędnicy nabrali innego pojęcia o Polakach. Nieraz w towarzystwie po parę godzin gawędziliśmy o kościele katolickim, o naszych obrzędach i prawie kanonozacyi świętych naszych. Musiałem z Warszawy książkę liturgiczną katolicką sprowadzić.

Zwyczaj w domach familijnych dość dziki, turecki. Na pierwszem miejscu mężczyźni piją i grają, w drugim pokoju mężatki palą papierosy i częstej sobie pozwalają nalewki a w trzecim malutkim dopiero zgromadzają się panny i gnuśnieją. Zacząłem tłumaczyć im nieodpowiedni zwyczaj, opowiadałem o naszych zwyczajach, naszych grach towarzyskich. Spróbowali tego potem i dobrze im z tem było, bo mężowie nie upijali się, a panny były zadowolone z ruchu i wspólnego pożycia. Często bardzo odbieraliśmy za to dzięki i pochwały. U kupców jest ten dziki zwyczaj tatarski, że skoro synowie żonaci jadą z towarami w odległe gubernie na 5—7 miesięcy, to batko (ojciec) otoczony synowemi, żadnej nie daje spokoju... Synowie z powrotem robią lekkie wyrzuty staremu: oj Batku, Batku.

Sprawnik, naczelnik powiatu, był to stary oficer, ranny, jak Achilles w piętę, pod Warszawą w r. 1830. Sam publicznie opowiadał o ruchliwej i wesołej Warszawie. Pokochał nas i zwykle raz w tygodniu prosił nas na obiad. Był to wdowiec, miał dwie córki, nie pierwszej już młodości, ale urodziwe i nam życzliwe. Ów sprawnik zaprosił nas kiedyś na polowanie do sekty t. zw. Bezpopowczyna. Pytamy z ks. Fischerem jaki cel i w jaki sposób modlitwy odprawiają ci sekciarze. „Jedźcie a zobaczycie“ odrzekł.

Otóż opowiem rzecz całą: Rząd moskiewski po śmierci Mikołaja przestał prześladować starowierców, których wielka

jest liczba, wielka też liczba sekt. Niektóre z nich były ścigane i prześladowane przez rząd za Alexandra II. W objeździe swoim po powiecie sprawnik znalazł babę, koło 40 lat mającą, z tej sekty; Obiecał jej dobre wynagrodzenie i bezpieczeństwo życia za dany znak ich zebrania się na naznaczone modlitwy. Dał nam znać, abyśmy zebrali się na to polowanie. Zamówił 10 sanek, wziął 12 inwalidów z bronią i kilku urzędników. Sprawnik z tym przebranym szpiegiem i my — ubrani w futra, kaptury i rękawice z reniferów zrobione — ruszyliśmy wieczorem na tę obławę. Wjechaliśmy w las obfity w niebotyczne drzewa. Z 25 wiorst ujechaliśmy lasu, wtem odebraliśmy cichy rozkaz zatrzymania się. Sprawnik ze szpiegiem, otoczony inwalidami szli naprzód a my parami postępowaliśmy za nimi. Sprawnik otworzył drzwi w drzewie zrobione i wszedł cicho schodami do podziemia a my za nimi.

Zszedłszy po schodach, ujrzeliśmy salę dość obszerną, wyłożoną okrąglakami; na środku sali stał okrągły stół drewniany a na nim dziewoja 20 lat mająca, w całej nagości. Po ścianach ikony i lampki pozapalane; kadzidła dosyć. Sekciarze obojga płci stoją jak wryci, biją pokłony i są w zachwycie. I my staliśmy cierpliwie i czekaliśmy końca. Nareszcie gdy skończyła się modlitwa, ze stołu schodzi owa kapłanka z włosami rozrzuconemi, wybiera sobie mężczyznę do uczynku... Gaszą lampki a wtedy pospołem zabierają się do uczynku cielesnego ojciec z córką, matka z synem, brat z siostrą. — My daliśmy strzały, inwalidy ich otoczyli, urzędnicy złapali ze 20 sztuk, związali i pojechali z nimi do powiatu. Sprawnik odesłał ich do Permu i dostał za to krzyż i pieniędzy w nagrodę. My zaś przekonaliśmy się o istnieniu takiej niemoralnej sekty.

Próbka drugiej sekty religijnej, która odbyła się w naszem pomieszkaniu. Pewien kupiec, około 60 lat mający, zasłany z Moskwy do Czerdyna był zwolennikiem sekty, która wyrzuca z siebie ducha w czasie modlitwy. Starzec ów podobny do Towiańskiego z Zurichu: włosy miał długie białe, równie wąsy, brodę i długą suknię; opasany pasem chodził z wielką powagą po Czerdynie. Dowiedziawszy się, że w mieście mieszkają katoliccy kapłani i Polacy; często nas odwiedzał. Bardzo skromny, nie

pijący, niezależny, wielce nas szanował i mile był przez nas przyjmowany.

Razu pewnego zaskoczył go u nas czas jego modlitwy. Stanąwszy na środku pokoju, wzniósł się, zatamował się mu oddech, łapał więc go niby w garście, rzucił nim o ziemię i deptał. Trwało to 20 minut. Patrzaliśmy na niego, ruszaliśmy go, chcieliśmy wyrzucić z pokoju, bo niepodobna było patrzeć na jego figurę i mimikę. Ja się śmiałem, a ks. Fischer, asceta wielki, oburzał się na niego, że obraża Ducha św. Ale to nic nie pomagało. Po skończeniu tej modlitwy, zmordowany, opluty wyszedł od nas. Nie puszczaliśmy go więcej do siebie. Pod innym względem był sprawiedliwy i cichy.

Ja trudniłem się w dzień polowaniem na zające, ale nie było w tem żadnej przyjemności, bo wyszedłszy o 30 minut za miasto, można było kijem na drodze parę sztuk zabić. Skupowałem jarząbki od chłopów za bardzo tanie pieniądze; np. para jarząbków kosztowała 5 kopiejek. Ks. Fischer marynował je i były wyborne. Jedliśmy je do rannej i wieczornej herbaty. Skupowałem skórki lisie i reniferowe oraz różnych ptaków i zwierząt które przesyłałem pocztą do Warszawy. Przesyłka taka czystego dochodu dawała mi 35 rs. a w tej przesyłce było tylko skórek na dwa futra kobiece. Przez 3 lub 4 miesiące taki handel prowadziłem.

Na odpowiedź listu trzeba było czekać 2 miesiące; w zimie nawet dłużej. Rząd przeznaczył miesięcznie 6 rs. żołdu dla więźnia politycznego, chociaż my nie podawaliśmy prośby.

Chłopi z okolicy praktyczni, śmiali i znają geografię swej gubernij i sąsiednich; nazwiska wsi, miast w gubernii i czem każde miasto handluje wiadomo im dobrze.

Chłopi i kupcy w głębokiej Rosyi zwykle jedzą te same potrawy co urzędnicy i panowie. Jedzą chleb biały, różne gatunki ryb i dość mięsa. Znają nalewki i używają herbaty. Rzecz dziwna, że jeden lud polski na całej swej przestrzeni nie zna kuchni ani potraw lepiej wychowanych rodaków i krewnych. Dwór, plebania, inteligencya z ludu w Galicyi wielce grzeszą pod tym względem; nie tylko, że nie nauczają niewiast robienia tych potraw, ale szczelnie zamykają dla ludu

swe kuchnie, więc też różne są podniebienia w Polsce a górale nasi nie używają nawet chleba żytniego tylko placki z owsa (podpłomyczki) bez żadnego smaku podczas świąt familijnych, ale za to chłop mazur, góral i rusin ma lepsze pojęcie o wolności osobistej, niż mużyk lub kupiec moskiewski. W całej Rosyi pop, kupiec, chłop i urzędnik mówią zwykle: „gołowa carskaja, spina barskaja“ (do pana należy) a dusza bożja (głowa carska, grzbiet pański a dusza boża!).

Razu pewnego chłop, tzw. Samojed, przychodzi do naszego mieszkania ze skórami z reniferów. Gawędziliśmy z nim. Ośmielił się, jak chłop francuski, pytał nas czyśmy chrześcijanie, kazał nam się żegnać, pytał jak wielka ludność tych miast, zkąd przybywamy, jak wielka ludność parafij (pryhod). Czy modlimy się za cara i jego familię, jaki u nas handel i t. p. Zdziwiliśmy się niepomału tym sprytem człowieka z dzikich stron. Zamówiliśmy sobie po parze reniferów ułaskawionych. To zwierzę łagodne, szybkie do chodu, ma dobre mleko, mięso i futro. Gdybyśmy zostali zimową porą ułaskawieni, tobyśmy byli reniferami do Polski przybyli. Upału to zwierzę nie znosi, chroni się do cienia.

Kapitan, chcąc nam niespodziankę zrobić, dał wieczorek tańcujący; zaprosił kolegów swoich z Permu. Polacy tę wycieczkę dla nas urządzili. Przybyło ich ośmiu grających pięknie na skrzypcach i fortepianie. Kapitan zaprosił prawie całą inteligencyę miejską na ten wieczór. Ks. Fischer piekł ciasta i babki na sposób polski (wybornie znał się na pieczywie i kuchni). Kapitan urządził tańce po europejsku, a że to dla Polaków, więc polonez na pierwszem miejscu. Skoro czas nadszedł, ubraliśmy się w porządniejsze suknie, abyśmy godnie reprezentowali Polaków i duchowieństwo polskie. Goście się zjechali i było wesoło u naczelnika. Przed wieczerzą sutą, gospodarz z najstarszą moskiewką, żoną gołowy miasta, rozpoczął poloneza. Pokoje pary obchodziły i zapraszały młodych do tańca. My zauważyliśmy, że synowie kupców i urzędników ruszali ramionami i nie chcieli naśladować gospodarstwa a kiedy gospodarz jakiegoś krewniaka ciągnął do poloneza, ten wyrwał się i z ironią odpowiedział, że to nie „Polsza.“ Rozgniewałem się

biorąc go za kołnierz i krzyknąłem: „Pajdiom kozaczka w prysiudy“ i ciągnąłem go do salonu. Okropne stało się w pokoju męskim zamieszanie — młodzież moskiewska za czapki i w nogi. Z dziesięciu młodzieńców zemknęło. Wieczerza się zaczęła a tu miejsca próżnego dość przy stole. Poszedłem do gospodarza i opowiedziałem zaszły wypadek przepraszając go za moją popędliwość. Gospodarz podziękował mi jeszcze za to, że dałem dobrą lekcyę młodzieży grubijańskiej bez wychowania; zawołał, aby podano szampana, wzniósł moje zdrowie i miał perorę do starszych gości o wychowaniu europejskiem.

Bawiliśmy się dobrze, ale też pewni byliśmy, że młodzież tego wieczora na pojedynek mnie wyzwie lub pokątnie obije. Na drugi dzień rano widzieliśmy oknem, że kilka powózek zajechało przed nasze pomieszkanie. Ubraliśmy się i przyjęliśmy gości. Ojcowie ubrani także bardzo świątecznie przemówili do nas łagodnie prosząc o przebaczenie, że ich synowie i krewniacy nie umieli uszanować księży polskich. Tłumaczyłem im znowu, że postępek mój pochodził z uniesienia. Młodzież żądała przebaczenia. Podaliśmy im ręce i nastąpiła zgoda. Dość długo o tem mówiono w mieście.

Gospodarz naszego domu miał dwie siostry przy sobie. Były one sieroty, przywiązały się do nas i żyliśmy z sobą jak rodzeństwo. Uczyliśmy ich czytać i pisać po polsku. Troszczyły się o nasze ubranie i osoby i zdawało się nam, że nas dobrze pojmują. Razu pewnego znalazłem się na sali wspólnej ze starszą siostrą. Widząc portret cara Aleksandra, wyrwało mi się, że: Aleksander pijanica. Katarzyna usłyszawszy to, zachowała to dla siebie.

Horodniczy, liczący przeszło 60 lat, Litwin z urodzenia, wzięty przez rząd moskiewski do szkoły kadeckiej, został czystej krwi urzędnikiem moskiewskim. Miał passyę do grania w karty a tem samem okradał kupców i mieszkańców. Żonę miał moskiewkę, bardzo wykształconą osobę; mówiła po francusku i po niemiecku. Lubiła z nami rozmawiać i dysputować o religii. Ubolewała nad swoim mężem i prosiła nas o wpływanie na niego moralne. O ile mogliśmy, tośmy mu wytykali jego wady

i przedstawialiśmy złe skutki mogące z jego złych nałogów wyniknąć.

Razu pewnego zawołał mię horodniczy do siebie sekretnie i pokazał cyrkularz rządowy, polecający złapać i okuć w kajdany ks. Laurysiewicza, Jakundego i mnie — z Chełmu zakonników. Opis naszych osób był bardzo szczegółowy. Ks. Laurysiewicz ślepy na jedno oko, nosił okulary, ks. Jukundyn Bielak reformat. Ciekawe to dla mnie było i ucieszyłem się mocno, że tamci dwaj nie są w rękach rządu. Była tam i o mnie wzmianka, aby mieć baczność na me postępowanie. Podziękowałem horodniczemu za powierzoną mi tajemnicę.

Święta wielkanocne obchodziliśmy dość smutno, przypominając sobie ceremonie i narodowe zwyczaje. U moskali święta od wizyt i pijaństwa zawisły. Popi pijani chodzą z ikonami Matki Bożej od chałupy do chałupy; nie uczą zasad religii w cerkwiach, ani wykładają ewangelii, ani mówią kazań. Raz na rok, w Wielki Piątek, mają kazanie w cerkwi przez rząd nadesłane i polecone, które koniecznie muszą czytać tak jak katoliccy katecheci w gimnazyach galicyjskich, za czasów Bacha lub Metternicha, lub starzy proboszczowie w całej Polsce. Duchowieństwo prawosławne nie jest tłumaczem ewangelii i miłości Chrystusa, ale częścią policyi rządowej, dlatego rodziny pogardzają tym stanem w całej Rosyi. W każdej cerkwi wiele dymu, kadzidła i pokłonów. Uposażenie duchowieństwa bardzo liche, więc zmuszeni są brać łapówki.

Za wiedzą horodniczego odwiedziliśmy z ks. Fischerem szkołę (uczyliszcze) czerdyńską. Zamiast mapy geograficznej, widzieliśmy na ścianie tablicę wielką, na której były wypisane wszystkie narody i plemiona w Europie i Azyi, a zostające pod berłem Rosyi. Przy Polakach czytaliśmy określenie wielce charakteryzujące: „Polaki pogany, wory i razbójniki“. Spojrzeliśmy na siebie, krew zawrzała w nas, ale nie chcąc kompromitować horodniczego, zamilkliśmy w szkole, ale prywatnie wszędzie zbijaliśmy te definicye rządowe.

Moralności w mieszkańcach niema żadnej. Chłop na wsi za pół rubla srebrnego (50 kop.) gotów córkę sprzedać. Inne prawa własności w Rosyi, a szczególniej już w permskiej

gubernii, która dawniej do Syberyi należała, nieznane. Żaden z familii panującej nie odwiedza gubernij Syberyjskich.

Moskale kupcy i urzędnicy z wielką czcią i poszanowaniem są dla monarchy. Za wielki zaszczyt i odpust mają dla siebie jeśli mogą pojechać do Kazania, Niżn z Nowogrodu i widzieć osobę z carskiej familii albo przynajmniej jaki powóz carski. Z wielkiem uniesieniem i czcią mówią o tem widzeniu.

Między innymi zasłany był do Czerdyna adjutant Szamila, Czerkies, przystojny i gorący niezmiernie. Rozbijał urzędników i policzkował ich za najmniejszą rzecz. Rząd przeto polecił zamknąć go do ostrogu (kryminał). Nie rozmawiał z Moskalami tylko z nami; dla nas był bardzo uprzejmy i grzeczny. Często prosił horodniczego i sędziego, abyśmy go odwiedzali. Gdy się ociepliło często wyjeżdżaliśmy do kopalni złota pod same góry uralskie, gdzie w bardzo małej części złoto wydobywano. Właściciel kopalni opowiadał nam ciekawy wypadek:

Razu pewnego jeden młody robotnik upadł na ziemię; krzyczał, że chory i wielkie ma boleści. Żaden z robotników nie zlitował się nad nim: — zostawili go jak nędzarza i nie zważali na jego stękania. Po godzinie przybył sam właściciel i spytał go co mu jest. On oglądnąwszy się i poznawszy swego pana rzekł: „Ach baryń (panie) nie jestem chory, ale wykopałem ogromny kawał złota; bałem się pokazać innym bo silniejsi zabraliby mi to miejsce i to złoto, i niebym w nagrodę nie dostał“. Przekonajcie się z tego o sprycie robotników i miłości wzajemnej Moskali.

Porozumieliśmy się z ks. Krynickim, misyonarzem z Lublina będącym w Solikamsku na wygnaniu. Kilka powiatów gubernii permskiej znajduje się za górami Uralskiemi t. j. w Azyi: Ekaterinoburski, Wierzchotnowski, Komyszłowski, Szudzyński, Turyński a miasto Irbitnien sławne z handlu i jarmarków, pierwsza stacya z Chinami i innemi krajami Azyatyckiemi. Druga stacya Niżny-Nowogród; w tych miejscowościach jarmarki odbywają się przez dwa miesiące. Niezliczona ilość kibitek z towarami tam się zbiera. Ekaterynburg, miasto piękne i po europejsku zbudowane. Te dwa powiaty zasługują na uwagę pod względem handlu i położenia geograficznego.

Pewien kupiec, z którym często spotykałem się na wieczorach, razu pewnego robił mi propozycyą na seryo, abym pojął jego córkę za żonę. Oddawał mi pod zarząd sklep bogaty i 20000 Rs. posagu. Ja mu na to: „jestem kapłanem katolickim, prawa mi to wzbraniają, tem bardziej, że jestem zakonnikiem“. On mi znowu: „Dziś pan wolnym jesteś, bo każdy zesłaniec na Sybir i do permskiej gubernii, pozbawiony wszelkich praw (liszon praw). U nas jak popa lub żonatego rząd wyszle na Sybir, to mogą się żenić, choćby zostawili żony w Rossyi. „U nas charakter kapłański ma jako sakrament znak niczem niezmazany“, odpowiedziałem. „Ale co tam, ja Was kocham i oddam wam moją córkę, urody pięknej i mienie moje na wasze ręce“. Przy świadkach podziękowałem Moskalowi i stanowczo prosiłem go, aby o tem nawet nie myślał. Ja miałżebym charakter kapłana i przekonanie prawego Polaka splamić na zawsze i wyrzec się tej prawdy, za którą zostałem skazany. O nie! hańbę bym tylko przyniósł rodzinie Słotwińskich i narodowi polskiemu! Wszyscy obecni dziwili się mej odmowie. Och słabe charaktery!!!

Przybywali do naszego mieszkania burmistrz i sprawnik w ubiorze galowym z papierami, pamiętam jak dziś w niedzielę o godzinie $11^1/_2$ rano. Z ks. Fiszerem przyjęliśmy ich, a oni powiedzieli, że przychodzą do nas z urzędu, ale ze smutną wiadomością. Zapytaliśmy się, jakaby była? „Oto, ks. Adam Słotwiński zasłany o 3000 werst dalej i to zaraz“. „Ha“, rzekłem z zimną krwią, „to trzeba się zabierać, szkoda mi Czerdyna i mieszkańców jego, a teraz napijmy się nalewki i przekąśmy, co?“ Spożyliśmy z ochotą, co mieliśmy w domu i ugościli naszych gości wesoło. Urzędnicy ci widząc, żem niezmięszany, odwołali swój ogłoszony wyrok i dali mi do rąk urzędowy papier, powrotu do ojczyzny. Biorę ten papier, czytam... rzeczywiście nadeszło carskie rozgrzeszenie i swoboda wrócenia do Polski. O ile miałem osobistą radość w sercu, o tyle bolałem, że mój towarzysz ks. Fiszer pozostawał nadal więźniem. Widziałem też na jego twarzy boleść i smutek, z powodu, że znowu sam zostanie między obcymi; radził mi on, abym coprędzej opuścił

Czerdyn, bo może znowu przyjść obostrzenie rządowe, jeśli coś działają w kraju.

Po wyjściu urzędników, mówię o tem Katarzynie, siostrze gospodarza naszego. Znajduję się z nią sam na sam w salonie, a ta z wielką ironią mówi do mnie: „Oto car Alexander, pijanica pozwolił wrócić wam do rodzinnego kraju. Jaki on dobry! a wy Adamie tak lekko go traktujecie“ i uderzyła palcem w portret Alexandra. Zrozumiałem jej całą odpowiedź. Niechże czytelnik osądzi, jaką cześć posiada Monarcha w Rossyi!

Jeszcze w Czerdynie otrzymałam list rekomendowany od obywatela Wincentego Bielskiego z Głuska z pod Opola; ów obywatel żądał odemnie piśmiennego poświadczenia, „czy ks. Gutowski, rektor Collegium ks. Pijarów mnie zdradził i denuncyował Moskalom, bo pod takim zarzutem zostając (w nieobecności jego na posiedzeniu Tow. roln.) był ze stowarzyszenia wykluczony“. Na ten list odpisałem w te słowa: „Nigdy nie mówiłem ani myślałem nawet, aby ks. Gutowski [1]) dopuścił się takiego podłego czynu; — hańbę przyniósłby zgromadzeniu ks. Pijarów i każdemu kapłanowi polskiemu. Tylko to śmiało mogę powiedzieć, że ks. G. był pysznym wobec podwładnych i lekko traktował parafian opolskich. — Kilka dni zeszło na pożegnaniu tych rodzin, u których się bywało. Nie mogę zaprzeczyć, żem znalazł serce i gościnność w Czerdynie i Bogu dziękowałem, żem to miasto wybrał na moje „posielenie“.

Powrót do Polski.

Skoro dzień odjazdu nastąpił, zajechała poczta i kilka wózków z mieszkańcami, w celu pożegnania się wzajemnego. Serdeczne było to pożegnanie; dziękując mieszkańcom Czerdyna za

[1]) Ks. Gutowski umarł zasłany do Tobolska; pomimo 40 tysięcy Rs., jakie wziął z sobą, kiedy był aresztowany w Collegium Opolskiem, w nędzy zakończył żywot wygnańczy. Zaufał żydowi w Tobolsku, który je pozyskawszy u ks. Gutowskiego, kilka razy przynosił mu dobry procent od pożyczonych pieniędzy, aż nareszcie wydobył cały kapitał i więcej się nie pokazał w jego mieszkaniu. Tak to zwykle bywa niedoświadczonym ludziom, a najsprytniejszym w zawodzie robienia majątku.

ich dobroć dla mnie, poleciłem ich sercom ks. Fiszera. Gdy wychodziłem z mieszkania owa panna Katarzyna rzuciła się do nóg moich i całując je z płaczem, wołała: „Adamie nie zapominajcie o mnie!“ Uścisnąwszy jej dłonie jako też gospodarzy i ich krewnych, ruszyłem swobodnie. Przez dwie stacye pocztowe, 12 par wózków gości odprowadzało mię; samo przez się rozumie się, że często stawaliśmy, wśród czego były liczne mówki, i częste posilania się nalewką. Ostrzeżenia ciągłe były, abym się miał na baczności, bo wieczorami napadają i rabują poczty, a często przejezdnych mordują. Zostałem nareszcie sam ze zwożczykiem. Podwoda moja składała się z kosza krótkiego, tak, że nie można było wyciągnąć nóg ani oprzeć głowy. Bardzo to uciążliwa droga.

W Solikamsku odpocząłem pół dnia u ks. Krynickiego, który spodziewał się także uwolnienia rządowego. Solikamsk większe miasto, ruchliwe, ale pożycia takiego, jakie mieliśmy w Czerdynie nie było. Uścisnąwszy dłoń ks. Piotra, ruszyłem do Permu; trzy dni pędziłem do tego gubernialnego miasta. Na prowincyi są dwie duże poczty, rządowa i gminna. Ja się trzymałem poczty rządowej, ponieważ jest jakaś większa pewność na wypadek nieszczęścia. Rząd nie dawał z powrotem na podróż. Zajechałem do tej samej w Permie gościnnicy, gdziem ododpoczywał poprzednio, a każdemu Polakowi-Litwinowi złożyłem dzięki za ich dobre serca, i pamięć o nas. Byłem u gubernatora Łazarowa z prośbą o zasiłek na drogę, odpowiedział mi, „że nie ma kassy dla przestępców politycznych; pisz Pan do Ministra spraw wewnętrznych i skarbu, jak Panu przyszle, to wręczę“. „A prędko być może odpowiedź, zapytałem. „Za dwa miesiące“, odrzekł zimno satrapa. „A ile stracę ja w Permie na życie i mieszkanie?“ „Ile Pan zechcesz. Wyraźnie Panu mówię, że nazwałbym Ministra głupcem, gdyby przestępcy politycznemu dawał na powrót“. „A dlaczegoż Pan gubernator nie płacił mi dziennego żołdu, przeznaczonego więźniowi?“ rzekłem. „Nie miałem pisma od Pana“, odpowiedział. Ja w końcu na to: „A więc teraz zostawiam ten grosz dla biednych w Czerdynie i uwiadomię o tem Pana Horodniczego i sprawnika“. Czy odesłał to gubernator, nie wiem.

Serdeczne były nasze gawędy z księdzem Piotrem Ściegiennym. Przyrzekłem mu posyłać elementarze z Warszawy, uczył bowiem młodych Moskali czytać i pisać po polsku. Rzeczywiście posłałem mu potem 200 exemplarzy od Nowoleckiego, księgarza w Warszawie. W Permie spotkałem ks. Juliana Smolińskiego z dyecezyi płockiej, nadjechał także ks. Piotr Krynicki z Solikamska. Zdecydowaliśmy się jechać statkiem parowym po rzece Kamie wielkiej i wspaniałej. Polacy i Polki wraz z ks. Ściegiennym odprowadzili nas do statku parowego. Żegnaliśmy się serdecznie nawzajem i ulokowaliśmy się w przeznaczone kajuty, a z pokładu na znak pożegnania, powiewaliśmy białemi chustkami, aż do ostatniego w oddaleniu widzenia się. Podróż statkiem ma swoje przyjemności. Widzieliśmy ciężkie statki, starej konstrukcyi; latem cały handel między guberniami odbywa się na statkach. Prowadzone są one siłą ludzi lub koni, tak zw. „deptaki". Widok pod Niżno-Nowogrodem, dwóch rzek łączących się z sobą, Kamy z Wołgą robi wielkie wrażenie. Przestrzeń rozlewu wody jest niezmierzona okiem. Port główny w Niżno-Nowogrodzie zapełniony jest setkami statków rozmaitego gatunku. Może on dać pojęcie małe o porcie morskim. Między Kazaniem a Niżno-Nowogrodem, widzieliśmy naszych więźniów, pędzonych na Sybir pieszo, pod eskortą inwalidów. Serdeczne było przywitanie. „Jak dawno wyszliście z kraju?" Pytaliśmy. „Już sześć miesięcy upływa", odrzekli. Twarze znękane, odarci, nosy i uszy poodmrażane. Niektórzy w kajdany okuci, inni śpiewali hymny narodowe, mając twarze wesołe. Pocieszyliśmy ich mówiąc, że znajdą serca rodaków w Permie. Okolice i brzegi Wołgi są nieco weselsze i urodzajniejsze niż Kamy. Uczą w szkołach zwykle, że Kama wpada do Wołgi a miejscowi doświadczeni i myślący mężowie dowodzą, że Wołga wpada do Kamy, więc Kama jest główną rzeką w głębokiej Rossyi. Niech czytelnik zwróci swą uwagę na tę wiadomość podaną przezemnie! Przystań do Jarosławia ocembrowana. Statek czekał pół dnia. Skorzystawszy z tego obejrzeliśmy to miasto, ładnie zabudowane aleje, bulwary i małe trotuary. Obejrzeliśmy miasto wewnętrzne, jego budynki i kawiarnie.

W Jarosławiu zesłanym był ks. Feliński arcyb. warszawski na wygnanie, za list śmiały i otwarty do Cara, Aleksandra II., od którego żądał sprawiedliwości dla Polaków.

Ks. Domagalski, kanonik i administrator dyecezyi warszawskiej, delegowany przez arcyb. Felińskiego, pismem swem niegodziwem do Ministra Wyznań i Oświaty, podczas aresztu swego, całą winę ruchu i nieufności Polaków do Rządu rossyjskiego i do cesarza Alexandra, zwalił na Felińskiego swego chlebodawcy. Minister kazał za karę, z oryginału ks. Domagalskiego przepisać parę razy ów podły raport Domagalskiego. Arcyb. Feliński skarżył się o tem przed ks. Józefem Wyszyńskim — i przed ks. Smoczyńskim. Ks. Wyszyński przybywszy z wygnania do Krakowa, chciał laską bić za ten podły czyn, ks. Domagalskiego przy pierwszem spotkaniu się na placu Maryackim; laska ta, listy przepraszające swego profesora, znajdują się u mnie, jest bambusową, z rękojeścią z kości słoniowej, przedstawiającą symboliczny kułak. W roku 1878 ksiądz Teofil Lenartowicz z Florencyi zamieszkał u Pijarów, na moję prośbę, poeta Teofil przybył jako mój lokator na me żądanie do mnie, a zastawszy pierwszy raz Autora Polski i Irlandyi, wysłuchawszy osobiście jego plany. Teofil, rzekł: Adamie! wyrzuć tego człowieka od siebie — szpieg moskiewski w czarnej sukni!

Na znak dzwonka ze statku, pospieszyliśmy w dalszą podróż. Na statku dowiedzieliśmy się, że najbliższy odpoczynek nastąpi w Twerze, mieście gubernialnem i że ta gubernia słynie z najgorszej ludności i najwięcej dostarcza złodziei i rozbójników. Twer — także miasto schludne, ale bardzo drogie. Brzegi Wołgi ocembrowane, mosty kamienne. Porównawszy miasta leżące nad rzekami w Rossyi z miastami polskiemi nad Wisłą, boleść i smutek opanowują serca. Wisła nasza tak droga dla Polaków, tak zaniedbana, że wyrządza wielkie szkody mieszkańcom nawet pod Warszawą. Od Tweru do Moskwy jechaliśmy pocztą umyślnie, aby poznać tę Stolicę, „na palach i ciałach moskali“ pobudowaną — powiedział nasz wieszcz Adam Mickiewicz. W Moskwie nie długo bawiliśmy, o ile mogłem przez dwa dni zwiedzić to miasto, to wynik mych zapatrywań

jest, że Moskwa żyje ono wschodem Azyi i duchem urzędniczem. W budownictwie, w starych świątyniach, w wieżach dziwnie oryginalnych odbija się przeważnie wpływ chińskiej sztuki; jedna dzielnica starego miasta nosi nazwisko Kitaj-Gorod. Dzwon schizmy na Kremlu wzniesiony w górze, dzwon katolicki zaledwie 3 łokcie od ziemi; z rozmysłem tak ustawiony dla poniżenia katolicyzmu. Na drugi dzień naszego przybycia, przyszła wiadomość z Petersburga, że pali się na różnych punktach tego miasta. Zebrali więc 11 oddziałów straży ogniowej i wysłali do Petersburga. My tym samym pociągiem jechaliśmy, pociąg był długi, dwie lokomotywy ciągnęły go. Po przybyciu do Petersburga po 22 godzinach jazdy, zaczęliśmy radzić, do jakiego mieszkania zajedziemy. Na dworcu niezliczona liczba Rossyanek, jako faktorek, zapraszały nas do swych domów. Aż strach nas opanował; jeden drugiego pytał, co to ma znaczyć. Rozmaite przychodziły zdania do głowy, aż nareszcie zaproponowałem kolegom, abyśmy wzięli zwożczyka i pojechali do Pijarów; (dowiedziałem się w przejeździe przez Litwę, że Pijarzy mają tu w Petersburgu kościół pod wezwaniem św. Stanisława i Collegium Ludwika). Serdecznie staruszek ksiądz Górski Rektor przyjął nas i dał nam dwa pokoje do dyspozycyi. Wylegitymowałem się, żem Pijar z Królestwa Polskiego. Pierwsze pytanie było,, kto pali Petersburg? i w jakim celu? „Już pali się 3 dni, łuna straszna nad miastem, z rozmaitych rządowych mieszkań papiery wznoszą się w powietrze“. Postrach ogromny. Przestrzegają nas Polacy, abyśmy na ulicy po polsku nie mówili, bo cały cech kupców wścieka się na Polaków — całą winę przypisując Polonii.

U Pijarów poznaliśmy śmietankę Litwinów, Wołyniaków i Podolanów, ponieważ była swoboda dyskussyi i panował duch patryotyczny. Miałem szczęście poznać Zygmunta Sierakowskiego, niedawno przybyłego z Paryża. Opowiadał nam jak sekretnie miał posiedzenia z Polonią, jak go śledzono z ambassady moskiewskiej, jak o tem go przestrzegał Ludwik Mierosławski. Sierakowski musiał przebierać się w szaty niewieście, chcąc widzieć się z wpływowemi osobami. Wróciwszy z misyi swej do Petersburga, zmienił karę cielesną w wojsku i był propaga-

torem polskim w armii rosyjskiej. Wieczorem bywała pogawędka w Collegium o sprawie polskiej, a w dzień zwiedzałem okolice Petersburga, jakoteż Peterhofu, śliczny ogród i wiele pomników polskich zawierające. Pałace carskie i dacze piękne na wyspie Newy. Byliśmy wspólnie na popisie i examinie ogólnym akademii duchownej, znalazłem jeszcze kilku uczniów ś. p. Biskupa Hołowińskiego. Publicznie, kłamstwo bezczelne opowiadali alumni z historyi polskiej im narzucone. Byliśmy na śniadaniu u Arcyb. Żylińskiego, który napisał nam list, polecający do sekretarza stanu Królestwa Polskiego p. Tymowskiego, od którego żądaliśmy pomocy na dalszą drogę do Warszawy. Ten przyrzekł mówić o nas z cesarzem Alexandrem II., bawiącym podówczas w Carskiem siole. Udaliśmy się więc z p. Tymowskim we wtorek, bo w te dnie sprawy Królestwa Polskiego przedstawiał on cesarzowi. Po sessyi Car przez swego adjutanta wezwał nas do siebie, i przemówił kilka słów: „Kak wam poprawiłaś nasza zemla?“ Myśmy odrzekli: „Oczeń charaszo“. (»Какъ Вамъ поправилась наша земла« — »Очень хорошо!)«

Poczem napisał car na bilecie: „dać po 75 Rs. do Warszawy“. Pokłoniliśmy się i po wizycie podziękowaliśmy serdecznie p. Tymowskiemu. Carskie sioło smutne, pałac nie wielki, okolica przykra. Nie raz pytałem w Petersburgu różnych ludzi, czy car pija wódkę i czy się zapija nałogowo, bo taka jest opinia w Polsce. Odpowiadano mi, że nie jest to prawda, że jest popularnym, że chodzi często prywatnie po ulicach. Ja go sam widziałem dwa razy przy pożarze i na ostrowie (wyspie). Widziałem między innemi i to miejsce, na którem Mikołaj, z konia polecił 25000 armii wojskowej i ludowi bezwiednemu uklęknąć, za bunt, jaki był na początku jego panowania; odezwał się on wówczas temy słowy: „Skaty, na koleni“ (Bydlęta, na kolana). Zagadkowa śmierć Alexandra w Taganrogu dnia 27 listopada 1825 przyspieszyła wybuch.

Dzień 14-go grudnia, w którym ludność Petersburga miała składać przysięgę wierności dla Cesarza Mikołaja I., wyznaczono na zamordowanie Cara i jego rodziny — ztąd nazwa dekabrystów. Zamach się nie udał, bo brakło spiskowym pułkom komendy, a tłumy ludu nic o spisku nie wiedząc, stały obo-

jętnie. Mikołaj tłumom kazał paść „na kolana“, a stanąwszy sam na czele wiernych pułków, podwójną salwą kartaczową rozpędził spiskowców, których tej jeszcze nocy prawie wszystkich aresztowano. Stanęło oskarżonych 120. Powieszono: Pestla, Rylejewa, Serymeża, Murawiewa, Bestużewa, Rjumina, Kochowskiego ostentacyjnie, a ciała ich zakopano we wspólnym grobie i zalano go Newą, aby i ślad po nich zaginął. Nad Rossyą odtąd zaciążyła żelazna ręka despoty świadomego swej siły i nastały straszne prześladowania w Polsce.

Podczas powstania 14/26 grudnia 1825 roku Car Mikołaj się schował i dopiero kiedy przyjechała artylerya, kazał strzelać do dekabrystów i rozpędzić ich. Mikołaj kazał paść także na kolana bezbronnemu tłumowi w Petersburgu, podczas cholernego buntu w 1830 roku. I to ciekawa wiadomość powinna być dla czytelnika, że w Moskwie przysięgano na wierność Konstantemu, że nawet bito monety srebrne z jego popiersiem, a Mikołaj popełnił w Petersburgu zamach stanu i przy pomocy ministrów i metropolity Fillareta, ogłosił się Carem, więc znów odbywano przysięgę w Moskwie i większych miastach na wierność Mikołajowi.

Śliczne panorama przed widzem staje z dwóch pomników Piotra i Mikołaja, jak jeden drugiego do Newy wpędza. Mieliśmy prawo zwiedzać pałace i gmachy rządowe. Pałac zimowy, Sobór Izaaka zasługują na wzmiankę. Cerkiew to bardzo bogata, ma 6 filarów złożonych z samych sztandarów zdobytych, a raczej pokradzionych po różnych krajach. Wiele drogich kamieni znajduje się w tej cerkwi. W Petersburgu są OO. Dominikanie przy kościele świętej Katarzyny, zakonnicy mówią kazania w języku francuskim, cała arystokracya tam uczęszcza. Dominikanie są bogaci i mają wpływy, o ile są Polakami; — w odpowiedzi niech mię ktoś inny wyręczy.

Po ulicach nie ma ruchu, tylko gromady gołębi się snują, a to dlatego, że Moskale ich nieużywają do jedzenia z powodu, że są wyobrażeniem ducha św. i bez żółci jak zające. Wielka drożyzna po restauracyach. Bawiliśmy się i zwiedzaliśmy miasto to obszerne i wybudowane krwią ludzką i z wielkim mozołem. Żadnej przeszłości ważnej i wrażeń to miasto na przy-

bywającym nie robi. Żadnych wrażeń, nie wzbudza to miasto w przybywającym, bo nie zawiera przeszłości ważnej.

Przy wieczerzy pożegnalnej u Pijarów, zapytałem publicznie o charakter i zdolności ks. Felińskiego, siedzącego na tronie arcybiskupim w Warszawie. Wszyscy w liczbie 25 Polaków i jego kolegów osądzili i wyrzekli słowo: że kapłan - asceta, lubiony przez kolegów, dobry Polak, ale niedoświadczony i nie zna natury i polityki Moskali, uwierzył im za wiele i dlatego cierpi w Warszawie. Ale jak się opamięta, to zrzuci z siebie tę obłudę. Zobaczycie koroniarze! a więc niech żyje Arcyb. Feliński, wszyscy zgodnie powstali i wychyliliśmy puhar wina. Sierakowski dał mi kilka listów do oficerów, stojących w zakładzie pod Warszawą.

Uścisnąłem dłoń jego serdecznie. Z całego serca podziękowaliśmy Pijarom za trudy i ich dobre serca. Rektor zawołał mię do swego sypialnego pokoju i dał 25 Rs. i 10 dukatów z Matką Boską na drogę, za ten dar publicznie podziękowałem mu, ucałował mię staruszek i rzekł: „Pijarze trzymaj zawsze ze szlachtą uczciwą, mieszczanami i ludem kochanym, a nigdy nie splamisz tradycyj zakonu naszego“. Zachowałem ten testament do dnia dzisiejszego. Dałem pytanie: „Jakim sposobem Feliński objął Arcyb. warszawskie?“ „Oto rzecz tak się miała: Mgrb. Wielopolski będąc w Petersburgu, żądał od cara, aby stolica arcybiskupia w Warszawie była obsadzona. Car dał Wielopolskiemu prawo wyboru. Ks. Konstanty Łubieński będąc na herbacie u Wielopolskiego, miał ofiarowaną sobie tę katedrę, ale z wielu powodów zrezygnował z niej i polecił Felińskiego, Wielopolskiemu. Ten satrapa kazał Łubińskiemu przyprowadzić do siebie Felińskiego. Łubieński poszedł do ks. Felińskiego i powiedział mu, że jest Arcybisk. warszawskim; ten się przeżegnał i mówiąc: „Nie kpij z bliźniego — mówi 11-te Boże przykazanie“. Łubieński zawiózł Felińskiego do Wielopolskiego i zaprezentował mu go. Po przemówieniu kilku słów, podobał się Fel.: „A więc jutro zarekomenduję Cię Naj. Panu i przedstawię jako przyszłego Arcyb. Warszawy. Co też potem nastąpiło.

Po serdecznem pożegnaniu się, pojechaliśmy na kolej; — kilku śmielszych odprowadziło nas, bo inni znając policyę i sy-

stem moskiewski, zostali w mieście. Siedliśmy na nową kolej i ruszyliśmy z Petersburga.

Przybyliśmy do kochanego Wilna naszego. Mieliśmy z kolegami mszę św. przy ołtarzu MB. ostrobramskiej. Wielka jest cześć i pobożność między ludźmi do tej M. Boskiej. Zwiedziliśmy muzeum Tyszkiewiczów, kościół katedralny, gdzie za ołtarzem wielkim znajduje się ołtarzyk pogański, na którym palono zwierzęta dla bogów litewskich. Góra, na której stoją trzy krzyże, przypomina pierwszych Missyonarzy chrześciańskich; piękny widok i dający wiele do myślenia. Wilenka między małym laskiem płynąca, jest uroczem miejscem. Nie dziwię się, że nasi uczeni i prorocy narodowi tam czerpali ducha do swych myśli. Piękna struktura, małego w stylu gotyckim kościółka św. Anny zachwyca zwiedzających. Napoleon I. będąc w Wilnie chciał koniecznie przenieść tę strukturę, a raczej kościół do Paryża, gotów był za to oddać i przenieść kościółek pod wezwaniem S-te Chapelle.

Nie robiliśmy wizyty Biskupowi Krasińskiemu, bo nam mówiono w Petersburgu, że Biskup wileński, jako wielce rządowy, z generałami żyje i w konsystorzu urzęduje po rosyjsku [1]).

---

[1]) Prawdziwa biografia Biskupa Krasińskiego, nie według gazet krakowskich, lwowskich i mówców pogrzebowych, jest następująca:

Ks. Adam Stanisław Krasiński urodził się w r. 1810 we wsi Wełnicze z rodziców biednych. Był w szkole pijarskiej w Międzyrzeczu wołyńskim, stał na stancyi u matki Arcyb. Hołowińskiego, w nowicyacie pijarskim w Lubieszowie. Na wyższe studya wysłany do Wilna, a że posiadał wielkie zdolności, już jako kleryk był nauczycielem swoich i w dworach hr. Czackich i Stadnickich. Następnie był proboszczem w Gedrojcach pod Wilnem, kaznodzieją katedry wileńskiej. Otrzymał stopień magistra teologii i wezwany został przez arcybiskupa Mohylowskiego na assesora Collegium katolickiego w Petersburgu! Tam dał się poznać przez swe wykształcenie partyi rządzącej rządowej, a przez swe stosunki został biskupem w Wilnie. Z początku bardzo bojaźliwego ducha robił to, co mu rząd moskiewski polecił. W Wilnie był więc zimno traktowany. Skoro mieszkańcy Wilna owiani duchem narodowym zaczęli śpiewać: „Boże coś Polskę“ w jego katedrze, on polecił swemu organiście, aby co innego zaczął śpiewać i grać. Stąd chaos i zamieszanie w kościele i oburzenie na biskupa za urządzenie tej kociej muzyki. Obywatele poważni, widząc, że z tego złe skutki dla religii, kościoła i Polski wyniknąć mogą, złożyli oso-

Dowiedziałem się, że w Wilnie przebywał Syrokomla, a więc starałem się przez jego znajomych o złożenie wizyty poecie. Pamiętam to wrażenie, jakiegom doznał na widok owego człowieka, leżącego w łóżku. Chałupka miejska, izba niska, okienko

---

biście raport z dotychczasowej czynności Bisk. Krasińskiego Piusowi IX i Antonellemu. Wkrótce odebrał Biskup z Rzymu od Antonellego pismo (rano, będąc jeszcze w łóżku), zawierające silne braterskie napomnienie, co tak wpłynęło na Krasińskiego, że otrząsł się z bojaźni zdarł rozporządzenia w języku rossyjskim, wywieszone na drzwiach konsystorskich, oddalił dwóch Moskali, pisarzy konsystorskich, i zaczął energicznie zaprowadzać w swej dyecezyi: „Bractwo wstrzemięźliwości". Po przybyciu do Wilna Murawiewa, skoro ks. Biskup Krasiński śmiało i energicznie na publicznej audyencyi u tego satrapy, odparł jego niegodne żądanie, bo Murawiew chciał, aby kapłani z polecenia biskupiego, zostali szpiegami gubernialnymi, rzekł tenże Biskup: „Excellencyo, jeśli Polska jest od Boga ustanowioną i ma swą missyę do spełnienia, to ani Excellencya, ani nikt Polski nie wygubi — inne są środki i drogi, aby lud kochał Cesarza i szanował władzę. Murawiew oburzony taką odpowiedzią, polecił Biskupowi, aby wyjechał za granicę. Ks. Biskup Krasiński wyrobiwszy sobie paszport w Petersburgu do wód krajowych i wyjechawszy z Wilna, stanął na odpoczynek w Dynaburgu. Wtem pułkownik żandarmeryi, z wyjętym pałaszem, oświadcza mu nie miłą nowinę, że jest aresztowany i Wiatka mu na pobyt przeznaczona. Tak dostał się ten Biskup na wygnanie. Od kapelana jego i od Litwinów, którzy mieszkali w Wiatce na wygnaniu, dowiedziałem się, że ten Biskup po zamachu Berczowskiego na Alexandra II. w Paryżu w r. 1867, pisał adres gratulacyjny w imieniu Polaków tam zamieszkałych, bez ich wiedzy, co wszystkich oburzyło. Dwukrotnie prosił Krasiński Cara o powrót do Wilna, ale na próżno. Przez 14 lat brał całą pensyę biskupią aż do nominacyi nowego biskupa, przez co przyszedł do kapitału dość sporego. Z ust samego Krasińskiego to słyszałem (który u mnie mieszkał przez 4 lata), że Moskale sztucznym sposobem pozbawili życia w Wiatce ks. nominata-biskupa unickiego Kalińskiego dyec. chełmskiej i że sam go pochował. Rząd rosyjski chciał się pozbyć, tego energicznego obrońcy unii chełmsko-podlaskiej. Ile dobrego robili ks. Biskupi Pijarscy w Krakowie, to niech Czytelnik przejrzy kronikę domu pijarskiego od 1883—1885 incl. Ks. Biskup Krasiński umarł w Krakowie na ul. Wiślnej w pałacu biskupim d. 9/5 1891. Miał pogrzeb z wielką pompą. Byli Biskupi ze Lwowa, Przemyśla i Tarnowa, kleru więcej jak wiernych. Kard. Dunajewski exportował jego zwłoki na cmentarz krakowski. Wszystkie gazety w Krakowie i Lwowie podniosły jego żywot do ideału, ale nim nie był. Miał zdolności i pamięć wielką, miał ogólną wiedzę, ale nie miał serca kapłana dla bliźnich; Polska go nie wiele obchodziła. Nie lubił słu-

małe, łóżko w nieporządku i nieczyste, a na niem ów Syrokomla, spity jak bela! horrendum! ani słowa nie mógł do mnie przemówić. Zadałem sobie pytanie, czy to możliwe, aby to był Syrokomla (Kondratowicz). Tak niestety! Nieszczęście chce, że ten mąż zapijał sprawę już od kilku lat. Smutno mi zrobiło się.

W Wilnie dopiero owionęło nas powietrze polskie! Dziwne to miasto, każda ulica, kątek, dom każe człowiekowi poważnemu myśleć o przeszłości. Takiego ja doznałem wrażenia w Wilnie. Po 3-dniowym odpoczynku, ruszyliśmy do Grodna, gdzie zatrzymaliśmy się parę godzin; to miasto stare przykre robi przypomnienie i oburza wielce Polaków; z jednej strony na nieprzyjaciół — z drugiej strony — pozostaje nienawiść na zaprzedajnych posłów, którzy zezwolili na podział Polski. Rejten Tadeusz nie doczekał się nawet na grobie swoim pomnika za swą odwagę obywatelską [1]).

Z Grodna jechaliśmy wprost do naszej kochanej Warszawy. Kolej dochodziła tylko do Pragi, więc wysiadłszy z wagonu, pożegnaliśmy się z ks. Smoleńskim, Krynickim i każdy do swoich się udał, ale daliśmy sobie rendez-vous u kapelana armii rosyjskiej N., do którego mieliśmy listy z Petersburga. Przybywszy do Pijarów, zameldowałem się ks. Kasterskiemu, pro-

---

chać kwestyi żywotnych obecnego stanu Unii podlasko-chełmskiej. Zostawił gotówką 100000 Rs., dom we Wiatce i precyozów przeszło kwartę. Brał pensyę do samej śmierci od rządu moskiewskiego. Notar. Gutowski spisał akt majątku; testamentu Krasiński nie zostawił tylko notatki do tego; jakby na ironię, przeznaczył po tysiąc złr. na wieczystą mszę, OO. Jezuitom, Pijarom i Kapucynom. Miał dwie siostry w Chersonie za Moskalami i siostrzeńca w Krakowie p. Turskiego przy Tow. Wzaj. Ub. w Krakowie. Godne uwagi, że wszyscy kapelani, których miał aż 5-ciu, uciekło od niego, z powodu, że ich głodem morzył i żadnego im na starość nie zapewnił utrzymania, płacił miesięcznie 15 Rs. Za życia swego przetłumaczył „Igora“, napisał Gramatykę polską, Prawo kanoniczne, zastósowane do potrzeb miejscowych i w Wiatce napisał 2 tomy Synonimów, które mu wielką sławę zrobiły.

[1]) Rząd moskiewski nie pozwolił rodzinie postawić pomnika Tedeuszowi na cmentarzu w Nowogrodku. Gotowy więc pomnik rodzina nadesłała Radzie miejskiej w Krakowie i tu postawiła go w zakątku na placu przy hotelu krakowskim, aby nie raził krakowskich Magnatów.

wincyałowi naszemu. Ten mię powitał dość obojętnie (był takim dla wszystkich), kazał mi dać mieszkanie. Co miałem robić w kraju, to zależało od władzy krajowej; również i miejsce pobytu, ponieważ każdy przybywający z Syberyi lub głębokiej Rossyi, podpada pod dozór policyjny i udaje się tam na zamieszkanie, gdzie się urodził. Po przywitaniu serdecznem z Pijarami, rozpytywali mię oni o kolegów, Rektorów o sprawę narodową i t. p.

Byłem bardzo znękany podróżą i życiem, aż nadto urozmaiconem, udałem się więc do Dra Chałubińskiego na poradę, ten polecił mi rano, w południe i w wieczór pić 5—6 jajek kurzych surowych.

Po dwóch dniach odpoczynku zrobiliśmy wizytę owemu kapelanowi wojskowemu, który był bardzo szanowanym przez duchowieństwo i Polaków. Celował swem postępowaniem między oficerami, był kolegą ks. Arcyb. Felińskiego. Przyjął nas ochoczo, zadowolony, że od jego petersburgskich kolegów przywozimy uściśnienie. Mówiliśmy mu, że mamy listy do oficerów, stojących za Powązkami w namiotach. „A prawda dziś“, rzekł kapelan, „Lüders, namiestnik Królestwa odbywa wielką rewią wojskową, jedźmy razem, to rozerwiecie się i załatwicie swe interesa“. Zgoda. Bierzemy dwu-konną dorożkę i jedziemy na tę sławną rewię. Po rewii odszukaliśmy adressatów. Przyjęli nas jako sybiraków serdecznie, winem i kurczakami. Wesoło spędziliśmy wieczór w namiocie wojskowym. Opowiada każdy z nas, co widział i słyszał w Moskwie, Petersburgu, Wilnie i Grodnie. Godzina 9 wieczorem, skoro capstrzyk zrobił apel na spoczynek, opuściliśmy namioty wojskowe, dziękując kapelanowi za zrobioną nam przyjemność. Przy rozejściu się daliśmy sobie nazajutrz schadzkę w ogrodzie Saskim o godzinie 8-mej rano, abyśmy mogli razem zgłosić się do Wielopolskiego i prosić o zasiłek na drogę do miejsc urodzenia. O godzinie 8-mej rano, każdy z nas stanął w oznaczonem miejscu. Skorośmy byli na wychodnem, usłyszeliśmy donośny strzał w ogrodzie. Dał się słyszeć krzyk. Zabili Lüdersa! My, jakby jedną myślą przejęci, cofnęliśmy się z ogrodu na ulicę, a wtem zaczęto zamykać bramy ogrodu i wszystkich wewnątrz aresztować. Udali-

śmy się przerażeni do gubernialnego gmachu, gdzie Wielopolski urzędował. Nic o tem między sobą nie mówiąc, tylko jeden spoglądając na drugiego, mniemał: to traf, to wypadek!

Prosiliśmy Boga w duchu, aby można czemprędzej opuścić Warszawę, bo w niej już za gorąco i niebezpiecznie. Wielop. przeznaczył każdego z nas do swej gubernii i tam gubernator wojskowy miał nam wyznaczyć punkt zamieszkania. Polecił dać nam po 15 rubli na drogę. Po otrzymaniu tej zapomogi, uścisnęliśmy się nawzajem i każdy spieszył opuścić Warszawę. Noc była niespokojna — myślałem, że policya zauważyła sukienki duchowne na rewii i w namiotach wojskowych i że nas aresztować będzie. Dowiedziałem się z gazet, że winowajców nie złapano i że Lüders miał przestrzeloną szczękę i brodę. Pożegnałem się z ks. Prowincyałem i wyjechałem dyliżansem do Lublina. Pasażerowie o niczem nierozmawiali, jak o tym strzale w ogrodzie Saskim, ja ani słowa nie mówiłem, że tam byłem. Przybywszy do Lublina w niedzielę, zajechałem do hotelu angielskiego. Odwiedziłem niektórych znajomych, jak ks. Baltazara Paśnikowskiego. O 4 godzinie zrobiłem oficyalną wizytę w koszarach lubelskich generałowi Chruszczewowi. Przyjął mnie bardzo grzecznie, wypytywał o mojej podróży i powrocie, a nareszcie rzekł do mnie: „Jam prosił rządu, abyś ksiądz mógł wrócić z Syberyi, bo masz matkę staruszkę. Dowiedziałem się od wielu poważnych ludzi, żeś Pan pracował, budował, a nie burzył i spiskował w Chełmie. Kazałem przejrzeć różne akta, tyczące się sprawy pańskiej; pokazało się, że osobista złość ks. Wójcickiego zrobiła to, że Pana zasłano na posielenie do głębokiej Rossyi“. Podziękowałem mu za dobre serce i spytałem go, gdzie będę mógł mieszkać. „Ani w Opolu, ani w Chełmie, ale w Łukowie u Pijarów“, odrzekł. Zaprezentował mnie Chruszczew swego adjutanta Witkowskiego, sławnego inkwizytora w chełmskiem, którego za zasługi mianował potem rząd prezydentem Warszawy. Spytałem jeszcze, czy będę miał jakie rozporządzenie do Łukowa. Nie! Czy mogę odwiedzić Chełm, Bełżyce i Opole? „Można, tylko niedługo bawić w tych miastach“.

Gdy wychodziłem po 2-ch godzinach z koszar, spacerujący widząc księdza-Polaka z brodą i wąsami, różni różnie mówili, głównie, że to przekupiony i przebrany szpieg. Wyruszyłem z Lublina do Bełżyc, aby odwiedzić rodzinę. Matka moja staruszka, zdziwiona nie chciała wierzyć, abym ja to był i mógł tak prędko wrócić. Miłe wspomnienie ogniska rodzinnego, siostry, proboszcz Antulski, Brzezińscy byli bardzo radzi. Obejrzałem budynki rodzinne, bardzo już nadwerężone, dałem Antoniemu bratu starszemu, będącemu na gospodarstwie 50 Rs. na gonty, aby powstał dach nowy, obiecałem mu więcej, jeśli będzie budował i pamiętał o ojcowiźnie, bo pragnę, aby dom nasz był w dobrym stanie i pięknie wyglądał. Przywiozłem trzem siostrom kołnierze futrzane, a futro dla Matki. Bardzo były siostry i matka zadowolone.

Mieszczanie z Bełżyc dowiedziawszy się o mojem przybyciu, składali mi życzenia, a równocześnie obrali swym obrońcą i obiecali złożyć tyle grosza, ile będzie potrzeba na poprowadzenie sprawy t. j., aby byli uwolnieni od pracowania na przyszłość podczas żniw, we dworze Brzezińskich, dwa dni tygodniowo, wywożenia zboża do Kazimierza i od osypu. Zabrałem ich dowody, przeczytałem uważnie i przekonałem się, że dwór wyzyskiwał nieprawnie przez tyle lat mieszczan, którzy byli odłączeni od dworu. Napisałem mieszczanom list otwarty, zapewniający, że ich z adwokatem uwolnię od tego ciężaru, hańbę przynoszącego miastom. Poleciłem, aby ten list Brzezińscy przeczytali i wiedzieli o mojem postanowieniu. Po naradzie z ks. Proboszczem Antulskim, zdecydowali się oni dobrowolnie nic nie żądać na przyszłość od mieszczan, a ja otrzymałem piśmienne podziękowanie za moje wstawiennictwo.

Udałem się na jeden dzień do Opola, aby przekonać ks. Gutowskiego, rektora, że z nędzy w Syberyi nie zginąłem... Byłem z wizytą u Pijarów, burmistrza i niektórych mieszczan. Wróciwszy do Bełżyc, przenocowawszy, i ucałowawszy ręce matki, jakbym przeczuwał, że ją więcej na ziemi nie zobaczę, udałem się do Joachima, rodzonego mego brata, będącego proboszczem pod Lublinem. Przegawędziliśmy noc całą, poczem pojechałem do Chełmu z podziękowaniem dawnym parafianom

za ich dobre serce i pamięć w przesłaniu mi na miejsce wygnania 100 Rs. Odwiedziłem ks. rektora Grudzińskiego, ks. Euzebiego, znajomych w mieście, a szczególniej pisarza sądu Ettingera, który był moim przyjacielem. Mieszkańcy dowiedziawszy się o tem, gromadnie przybyli na me przywitanie. Dowiedziałem się dopiero w Chełmie, że rozliczne były tam aresztowania, z powodu, że w okolicy zabito szpiega. Wielu skarżyło się na brak taktu i rozumu ks. Leszczyńskiego. Lecz nie moja rzecz tu sądzić, ponieważ w mojej nieobecności to stało się, że aresztowano w Krasnymstawie wielu, w Chełmie i Niemirowskich z jego przyczyny. Smutno mi było, gdym się dowiedział o takiej katastrofie. Ks. Wójcicki, unita (schizmatyk), dowiedziawszy się o mojem przybyciu, raportował, że do 5000 chłopów i mieszczan w lesie pod Chełmem przemawiałem i zachęcałem do buntów! W Lublinie z powrotem, dowiedziałem się o tem od adjutanta Chruszczewa, a wyjeżdżając już do Łukowa, objaśniłem Chruszczewa o mojej bytności w Chełmie, Bełżycach i Opolu.

Drugi pobyt w Łukowie.

Z wielkiem zadowoleniem przybyłem do Łukowa z polecenia Chruszczewa. Przywitałem się z ks. Chrempińskim, rektorem Pijarów, który otrzymał od prowincyała polecenie i obedyencyą moją, zaliczającą mnie in familiam Collegii Lucoviensis. Wszyscy moi znajomi i znajome witają mię serdecznie i z pewną powagą. Jeden tylko gwardyan Bernardynów niezadowolony z tego, bo musiał publicznie odwołać swój zarzut podczas mej nieobecności zrobiony t. j.: „że ks. Słotwiński jest rządowym człowiekiem, bo bardzo był wesołym w przejeździe przez Białę“. Zapytałem go przy świadkach, a nie mogąc nic dowieść musiał prawie w każdym domu odwołać. Proboszcz Jakób Roszkowski, sędzia, Krzeczkowski, cały powiat, panie, panny, szlachta drobna witali i pozdrawiali mię serdecznie. Po przybyciu do Łukowa poznałem ks. wikarego Stanisława Brzózkę, bardzo kochanego, prawego, odważnego człowieka i kapłana, który miał w sobie karną: korną wiarę żołnierza Chrystusowego; a wcho-

dził w ślady Maurycych, Wiktorów i Eustachych wojowników chrześciańskich, przybył on przed tygodniem z więzienia, z fortecy Zamość. Poznaliśmy się i odrazu pokochali serdecznie, obrał mię on za swego spowiednika. Przekonałem się, że poczciwy Staś musiał żyć wiele między oficerami, którzy zmuszali go do picia i do fajki.

Często bardzo całe wieczory przepędzał na modlitwie i medytacyi. Często opowiadaliśmy sobie nasze przeszłe wypadki. Proboszcz mię znów namawiał, abym pełnił obowiązki wikarego, lecz ja zmęczony, a przez tyle czasu zaniedbawszy literaturę polską, nie przyjąłem obowiązku, tylko z ochoty dopomagałem w parafii i poprzestałem na pensyi prostego Pijara. Po 3-ech tygodniach odpoczynku w Łukowie, ks. Prowincyał wezwał mnie na miesiąc do Collegium warszawskiego na zastępstwo ks. Krupińskiego, który towarzyszył ks. Pienkowskiemu, Biskupowi Lubelskiemu poza granicę Polski. Posłuszny zawsze mej władzy, zaraz udałem się do Warszawy. W Collegium poznałem ks. Pyzalskiego, katechetę szkolnego, który wrócił także z głębokiej Rossyi; poznałem także Pijara Pawłowicza, rektora z Krakowa, wypędzonego za noszenie konfederatki i za pas z orłem polskim. Miłe było towarzystwo. Wieczorem ks. Pyzalski objaśniał mię o czynnościach ks. Felińskiego, który sprowadzał z różnych stron kapłanów na ucywilizowanie i pouczenie duchowieństwa warszawskiego, co drażniło miejscowych starych i młodych kapłanów. Objaśniał mię bardzo dobrze, że owe intruzy i ułożeni grzesznemi intrygami, sieją między Arcybiskupem a kapitułą niezgody. Feliński przerzucał młodych księży z Warszawy na prowincyę — a sprowadzał z Petersburga, Krakowa, Kielc i Sandomierza innych na ich miejsca. Przybył do Warszawy sławny ks. Golian, na profesora akademii duchownej, odzywał się namiętnie na ambonie i rozpalał namiętności w słuchaczach, co źle oddziaływało na stanowisko ks. Felińskiego. Ksiądz Domagalski został naznaczonym na kaznodzieja katedralnego, a ksiądz Albin Dunajewski na regensa seminaryum; ofiarował się on Arcybiskupowi Felińskiemu za kapelana na wygnanie, lecz Arcybiskup nie przyjął tej ofiary, tylko oddał mu w zupełnem zaufaniu kierunek Alumnów.

Namiestnik Berg, wezwawszy ks. Albina Dunajewskiego do siebie, żądał od niego przysięgi wierności, stósownie do formy rządu moskiewskiego. Lecz ks. Dunajewski uważając ten czyn za niegodny zacnego Polaka i Kapłana katolickiego, przysięgi wykonać nie chciał i zmuszony był opuścić pod okiem żandarma Warszawę i Królestwo kongresowe.

Duchowieństwo stałe Warszawskie nie przyjęło owych reformatorów narzuconych i oburzało się! W takim duchu zaczął ks. N. N. pisać i wydawać „Głos kapłana polskiego". Ks. K. Mikoszewski, wikary od św. Aleksandra, podjął się wyszukać drukarni na ten organ. To pismo umiejętne artykuły umieszczało lecz obrażało sprowadzonych duchownych arcybiskupa Felińskiego. Teologiczno-historyczne wywody dawało na jego czynności fałszywe. W Warszawie był już Komitet centralny i „Głos Kapłana" popierał, dlatego rozchodził się tysiącami numerów na prowincyą. Redaktor główny był ukryty, a opinia przyznawała redakcyą tego organu ks. Karolowi Mikoszewskiemu, z czego się ogromnie chełpił i był brany do rady przez członków Komitetu centralnego w zastępstwie ks. Kaspra Kotkowskiego. Konsystorz warszawski niezmordowanie śledził autora tego pisma — ale nadaremnie.

Przekonałem się, że podczas ruchu narodowego najbezpieczniej mieszkać w wielkim mieście; byleby tylko nie włóczyć się po knajpach i po zebraniach częstych, to można śmiało dobrze konspirować. Koniec miesiąca września i dziesięć dni października przebyłem w Warszawie i obznajomiłem się z całym ruchem narodowym partyą Wielop.... i działaniem nowoprzybyłych kultywatorów duchownych.

Skoro ks. Krupiński powrócił z podróży, powróciłem i ja do Łukowa. W Collegium naszem było mieszkanie pułkownika i straż nocna, bo to był czas oblężenia wojennego. Ja miałem mieszkanie na pierwszem piętrze obok rektora i mieszkania inżyniera powiatowego Bohdana, wdowca z dwiema córkami już dorosłemi urody pięknej a jeszcze piękniejszego wykształcenia i śmiałego patryotyzmu. Rzecz dziwna; ojciec tchórz, jakiego świat nie widział, a córki śmiałe Polki, były dla mnie wielką podporą w pracy narodowej.

W miesiącu listopadzie 1862 roku, o godzinie wpół do ósmej wszedłszy do mego mieszkania sędzia Krzeczkowski Stanisław, dobry Polak, dość długo przez rząd moskiewski prześladowany za rok 1848, błagał i prosił, abyśmy księża wzięli udział w organizacyi narodowej, bo on za stary a ma polecenie z Warszawy zorganizowania powiatu Łukowskiego. Mówił dalej, że jest w jego mieszkaniu komisarz Komitetu centralnego Leon Frankowski i nie wyjedzie z Łukowa, aż będą rozebrane urzędy, że wszystkie inne powiaty i województwa przeprowadzają organizacyę z dość dobrym skutkiem, jeden tylko powiat łukowski niezorganizowany. Wymawiałem się że, nie znam obywateli i mieszkańców miasta i okolicy, że my z ks. Brzózką jesteśmy pod dozorem wojennym i t. d. lecz wszelkie moje przedstawienia były daremne. Błagał płakał stary, bo widział potrzebę tej organizacyi a on sam wydołać nie mógł, raz, że w sądzie był zajęty, drugi raz, że mu wiek nie pozwalał. Wezwałem więc do narady nad tą kwestyą ks. Brzózkę. Sędzia jeszcze więcej nas atakował. Brzózka zdecydował się przyjąć naczelnikowstwo Łukowa, a mnie zrobiono naczelnikiem powiatu Łukowskiego — bardzo rozległego. Przyjąłem ten urząd, ale pod tym warunkiem, że sędzia jako poważana osoba w mieście i w okolicy poleci nas ludziom prawym, a urzędnicy wszystkich dykasteryi uznają ten nasz urząd, złożą przed nami przysięgę i będą nam dopomagać, ja zaś złożę także przysięgę przed sędzią i komisarzem Komitetu centralnego na ścisłe utrzymanie w tajemnicy osób należących do organizacyi. „Zgoda“, odpowiedział na to, „zaraz dziś o godzinie dziesiątej sproszę cały skład powiatu, sądu i niektórych obywateli, abyśmy wspólnie w waszej obecności złożyli przysięgę. Czekajcie więc księża u siebie, bo tu przyjdziemy“. Gdy dziesiąta godzina wybiła, weszło więcej jak 26 urzędników i ów młody komisarz z sędzią. Sędzia objaśnił cel zebrania i korzyści organizacyi narodowej, oświadczył, że intelligencya będzie miała ster w ręku, że będziemy wiedzieli, co się dzieje w kraju, i wszelkie niesnaski osobiste znikną w mieście. Wszyscy ogłosili ks. Brzózkę prezydentem miasta Łukowa a naczelnikiem powiatu ks. Słotwińskiego. My w komży przyrzekliśmy obecnym tajemnicę i wszelki takt w postępowaniu, a ks. Brzózka przed

krzyżem odebrał przysięgę od wszystkich obecnych. Nastąpiło uściśnięcie dłoni. Ja odezwałem się do obecnych: „Panowie! jeżeli będę potrzebował waszej pomocy, rady lub raportów rządowych, abyście mi natychmiast dostarczali. Każdy z was, panowie ma w przeciągu miesiąca dostarczyć po 10 dojrzałych mężów, nie odmawiać pomocy pieniężnej na organizacyę na prowincyi, trzymać ścisłą tajemnicę w domach rodzinnych, dawać wzór pobożności i moralności, aby lud i mieszczanie mocno o tem byli przekonani, że my mamy tę samą religię, co i oni. Wszyscy jednogłośnie krzyknęli: „Przyrzekamy wszystkie te warunki wypełniać o ile czas i możność pozwoli“.

Gdy wyszli odemnie, Frankowski Leon rzucił się na kolana ku mnie i całując w ręce dziękował, że mogłem wkrótce zdobyć tylu mężów do pracy narodowej.

Od tej chwili bardzo często znosiliśmy się z Brzózką. Dawałem mu instrukcyę, jak ma rozpocząć pracę w mieście, jak ma trzymać ostro młodych kancelistów i inną młodzież, ostrzegałem, że mieszczan trzeba dobrze przesortować. Zaczęła się więc praca na seryo. Po dziesięciu dniach odebraliśmy ogromne pochwały z komitetu centralnego i instrukcye dalszego działania. W kilka dni znów później przybyli do nas Teodor Jasieński, Gustaw Zakrzewski i Bronisław Deskur, energiczni obywatele i zaprezentowali się jako urzędnicy województwa siedleckiego. Mówili mi, że zmiana na dobre zaszła w Warszawie. Łuków w 15 dni zorganizowany, w każdym domu miał przysięgłych.

Przy pomocy sędziego zjednaliśmy proboszcza, co ważnem było, gdyż u niego odbywały się posiedzenia, złożone z kilku obywateli, księży z prowincyi i wielu dzierżawców i oficyalistów. Jak wiadomo, były już w kraju dwa komitety: komitet centralny miał na celu oczynszowanie chłopów, zaprowadzenie szkółek i zrobienie powstania siłami bogatemi — ale czasu nieokreślono. Komitet białych, t. j. konserwatystów, nie miał wydatnego celu, tylko, aby robić czcze protestacye na papierze przeciw rządowi. Owe komitety były także i po prowincyach, gdzie tylko powstawała organizacya komitetu centralnego, tam zaraz organizowali komitet białych.

Na początku Listopada, w późnej nocy, będąc w pewnym domu rodzinnym na wiście, zostałem wywołany. Posłaniec mi mówił, że trzech extra-pocztą z Warszawy przybyło i pragną się ze mną widzieć. Spieszę więc zaciekawiony. Wchodząc do Collegium naszego, widzę kogoś w ciemności, pytam więc kto tam stoi. Usłyszałem głos: „to my“. „Co za my“ zapytałem. „My z Siedlic od ks. Prefekta rozmówić się chcemy z ks. Słotwińskim.“ Odpowiadam im, że niema ks. Słotwińskiego i że się go nie doczekają a co chcieli od niego, to mu powiem. Weszli do mego pomieszkania i ci trzej oddali mi karteczkę pisaną ołówkiem: „Zróbcie w Łukowie koniec ze szpiegiem, bo niebezpieczny w powiecie siedleckim.“ Zdziwiło mię to wielce, że takie głupie rozporządzenia wychodzą z obcego powiatu. Oddałem tę kartkę owym stróżom i kazałem im wyjść z mego pokoju; wtem jeden z nich okropny głos wydawszy z siebie, upadł omdlały na kuferek. Ów szpieg, 21-letni młodzieniec, z zimną krwią zapalił sobie fajkę. Byłem sam — godzina wpół do 12-tej w nocy. Polałem wodą owego omdlałego stróża. Skoro nieco przyszedł do siebie, kazałem mu wynieść się z mieszkania; w przeciwnym razie groziłem, że wezwę wojsko, stojące w Collegium, aby ich na odwach wzięło. Nareszcie wszyscy trzej wyszli a ja zamknąłem drzwi i słuchałem co mówili na korytarzu. Słucham: „Ach my nieszczęśliwi, co poczniemy teraz? Na to szpieg: „Zawieźcie mnie do wojewódzkiego lub do naczelnika powiatu.“ „A niech cię djabli wezmą“ odpowiedzieli „siadaj na wóz, pojedziemy napowrót do Siedlec“.

Niech sobie czytelnik wyobrazi w jakim byłem kłopocie. Doniosłem potem o tem wojewódzkiemu, że jeśli tak będą postępować cofnę się natychmiast i zażądałem silnej nagany dla naczelnika powiatu siedleckiego, co też komitet uczynił i zrzucił go z urzędu.

Panie urzędniczki i panny bardzo zaciekawione co mężczyźni tak często schodzą się do proboszcza, złe były, że nie były proszone na wieczorki. Raz po południu idąc z plebanii pukają na mnie panie, abym do nich na chwilkę wstąpił. Wszystkie (było ich aż 5!) tak mię opanowały i mordowały, abym im koniecznie opowiedział co my mężczyźni robimy teraz w mieście,

a szczególniej na plebanii. Nie mogąc się wykręcić tym natrętnym Polkom, rzekłem dobrze, ale że każdej w szczególności powiem i to pod największym sekretem. Ucieszone panny i panie dziękują mi a nawet pozwoliły się ucałować. A więc biorę jednę już niemłodą panienkę do drugiego pokoju, biorę od niej słowo na sekret i mówię: „Zadecydowaliśmy wspólnie, że ani teologia, ani filozofia a tem bardziej polityka kobieca nie złapią mężczyzny na lep ale raczej ulega takowy czarom ich wdzięków a dobrą kuchnią, czystym stołem da się przykuć do domowego ogniska. Mężczyzna nie lubi polityki niewiast, bo źle na tem wychodzi — jak historya krajów nam mówi. Odeszła rozgniewana i zachmurzona. Nie chciała tego powtórzyć koleżankom — ale nie pożegnała się ze mną. Okropny atak miała od swych sąsiadek. Tym sposobem uwolniłem się raz na zawsze od pytań i patryotyzmu kobiet.

Zjazdy dyecezyalne.

Dyecezya sandomierska dała początek do zjazdów duchowieństwa w sprawie narodowej. Zjazd duchowieństwa dyecezyi podlaskiej był 12-go Października w Kłoczowie. Na wezwanie pewnych i mających zaufanie kolegów, duchowieństwo stanęło na oznaczony termin. Proboszczowie, wikaryusze, przełożeni klasztorów i kanonicy zjawili się na plebanię. Przybył także reprezentant komitetu centralnego Jan Mańkowski. Również przybyli członkowie innych dyecezyj i członkowie województwa. O godzinie 11-tej przed południem zaproszono nas do kościoła. Wezwaliśmy pomocy ducha św. Proboszcz wydostał N. Sakrament z tabernaculum i przeniósł go do zakrystyi. Zagaił posiedzenie proboszcz. Miał przemowę ks. Seweryn Paszkowski, proboszcz z Maciejowic, mający wielkie poważanie za swe ascetyczne życie i gorące serce. Pytanie było czy duchowieństwo katolickie bez nadwerężenia sumienia i praw kościoła może i czy powinno należeć do pracy narodowej i czy do komitetu centralnego, czy też do komitetu białych ma się przechylić. Różne były dyskusye. Proboszczowie doświadczeni rokiem 1830 i 1848 i jego wypadkami — bardzo wielka część duchowień-

stwa, bo w liczbie 75 głosowała za komitetem centralnym, 8 wstrzymało się od głosowania — trzech tylko było za komitetem białych. Sekretarz Beniamina X. Prefekt szkół siedleckich wezwał obecnych do złożenia przysięgi. Ułożono formę i dodano w tej formie: *„Salvis juribus ecclesiae“* obowiązuję się pod sumieniem uznawać komitet centralny za głos narodu i temu komitetowi dopomagać ze stanowiska duchownego t. j. zachęcać do zakładania szkółek, oczynszowania poddanych, dawać przykład miłości czynnej ludowi, zaprowadzać wstrzemięźliwość, pouczać sprawy narodowej swych parafian, starać się oświecać lud, aby nie słuchał ajentów moskiewskiego rządu zachęcających do rzezi galicyjskiej. Postanowiono wybrać jednego z dyecezyi kapłana „męża zaufania“, dla znoszenia się we wszystkiem z komitetem centralnym, aby przez niego wszelkie polecenia z komitetu dochodziły do duchowieństwa i aby młodzież cywilna nie nachodziła plebanii i wikaryatu. Jednogłośnie obrano mężem zaufania ks. Seweryna Paszkowskiego z Maciejowic Kościuszkowskich. Dyskusya trwała do godz. 6 wieczorem. Reprezentant komitetu centralnego zapewnił duchowieństwo, że komitet centralny na dobrze obrachowanych siłach finansowych, moralnych i skoro mieć będzie tyle broni i ludzi fachowych ogłosi wówczas powstanie przeciw najazdowi moskiewskiemu. Na to wszyscy krzyknęli: „Niech mu dopomaga Bóg“. Byli obecni na tym zjeździe Teodor Jasiński, Bronisław Deskur i Gustaw Zakrzewski jako czynni urzędnicy komitetu centralnego na Podlasiu. Gustaw Zakrzewski, uczeń Lelewela, energicznie przemówił, dziękując duchowieństwu polskiemu, że idzie wspólnie z narodem a adhezya duchowieństwa do komitetu centralnego, to znaczy więcej nawet jak armia stotysięczna żołnierzy.

Po sesyi uroczystej ks. proboszcz miejscowy uczęstował obecnych obiadkiem, podczas którego były bardzo użyteczne rozmowy i rozprawy. Przy toaście dziękczynnym gospodarzowi najstarszy proboszcz rzekł: „Duchowieństwo polskie niech ma taki los, jaki ma naród polski. Dopełniliśmy aktu ważnego, bo musimy wynagrodzić krzywdę zrobioną ludowi naszemu.

Następnie obecni duchowni z dyecezyi lubelskiej zaprosili podlasiaków na zjazd dyecezyalny mający odbyć się 10-go grudnia w Biskupicach. Komitet białych zaczął się oburzać na ten akt duchowieństwa; oskarżali nas, że nami kieruje duch ogólnej rewolucyi. Wówczas dopiero nazwiska Mazzini, Garibaldi, Cavour rozeszły się po chałupach miejskich, wiejskich i plebaniach [1]).

Komitet białych oskarżał proboszczy i wikaryuszów przed biskupem Benjaminem że się bawią w politykę, rewolucyę a nie pilnują kościołów i nauk. Doszła nas wiadomość, że biskup Benjamin dyecezyi podlaskiej chce rozpędzić wikarych na różne inne stacye i wydać surowy list pasterski do księży aby duchowieństwo trzymało się komitetu białych a nie centralnego w sprawie narodowej, czyli mówiąc otwarcie, żeby próżnowało a nie pracowało. Wysłano do biskupa Benjamina mnie i męża zaufania naszego ks. Seweryna Paszkowskiego. Ten kapłan dobrze znany ze swej świątobliwości i pracy pasterskiej w całej dyecezyi podlaskiej, uspokoił biskupa i ostrzegł swego pasterza, aby nie wierzył czczym słowom, że duchowieństwo wierne jest Papieżowi, nauce Chrystusa i zasłania piersiami swemi swego pasterza przed prześladowaniem rządu rosyjskiego, że większa jest pobożność i moralność między narodem i duchowieństwem niż do r. 1861. Uwierzył biskup i zaniechał słuchać zauszników i pieczeniarzy salonowych, których było dosyć już w każdej dyecezyi i takich labusiów w fioletach, przybyłych dla karyery z Rzymu, Belgii i Francyi.

Taki zjazd duchownych unickich dyecezyi chełmsko-podlaskiej odbył się w Lesznie w krótkim potem czasie — przyjęli pracę i program komitetu centralnego.

Gdy byłem w okolicach dla zorganizowania powiatu, zdarzył się następujący wypadek w Łukowie: Mieszczanin, pełen życia, w dobrym humorze, poszedł do koszar wojskowych i na-

---

[1]) Niech autor „otwartego listu do braci grzesznie spiskujących“ ks. Kajsiewicz i jego apologista p. hr. St. Tarnowski zarumienią się, że bezczelnie i tendencyjnie w pismach swych szczerą pracę duchowieństwa polskiego chcieli opaskudzić i sposobem stańczykowskim szkodzić temuż a wynieść na piedestał OO. Zmartwychwstańców mieszkających po za granicami Polski.

mawiał żołnierzy do sprawy narodowej a kiedy był w zapale wyraził się bardzo nieżyczliwie o carze Aleksandrze. Żołnierz obecny raportował dowódcy majorowi o tym wypadku. Ten bez rozwagi kazał bić w bęben i zgromadzić się wojsku na rynku. Wzięli owego mieszczanina, rozłożyli publicznie pana brata jak niesfornego ucznia i dali mu jawnie rózgi. W mieście między zorganizowanymi powstał straszny niepokój i hałas, szukali ks. Brzózkę i mnie, chcieli wyrżnąć wojsko w nocy i podpalić kwaterę wraz z majorem. Wiedzieli niektórzy dokąd wyjechaliśmy. Wracając spotykamy dwóch na koniu po nas biegnących pytali się czy to księża z Łukowa. Odpowiedzieliśmy po ciemku, że to my. „Ach księża drodzy niepokój w Łukowie. Major obraził publicznie religię naszą katolicką, bo rzekł, że nas wszystkich wieszać będzie na krzyżach i figurach. Ukarali jednego z naszych. Co mamy robić, wszyscy nie śpią i czekają księży dla naradzenia się“. Przybywszy do miasta zdecydowaliśmy się z Brzózką, że zaraz rano extrapocztą pojedziemy do Siedlec ze skargą na naczelnika wojsk rosyjskich a skoro tam nie znajdziemy satysfakcyi, to będziemy potem radzić. Uspokojenie nastąpiło. Po mszach świętych wsiedliśmy do extrapoczty i popędziliśmy do Siedlec. Zrobiliśmy wizytę naczelnikowi, temu samemu, który mnie wyprawiał do Permu a Brzózkę do fortecy Zamość. Ochoczo i serdecznie nas przyjął. Brzózka zaczął przedstawiać cały zaszły wypadek w Łukowie i okropne oburzenie w mieście „Prawda“ dodałem „że ów mieszczanin obraził osobę cesarza, winien być aresztowany i wedle prawa sądzony; ów mieszczanin był przytem pijany.“ Generał pyta co ma robić, aby tę burzę rozpędzić „Generale rozumny! zaraz majora suspendować i ukarać go wedle prawa“ odpowiedziałem. A więc woła swego adjutanta i polecił mu jechać do Łukowa odebrać sztandar majorowi a oddać naczalstwo kapitanowi N., major zaś ma za 10 dni stawić się do Siedlec. Brzózka, gorliwy katolik, powiedział jenerałowi, że za obrazę krzyża, tego godła wiary naszej, sam gotów mu w łeb wypalić. Oficerowie i naczelnik znali już z tej gorliwości ks. Brzózkę, który kazał z ambony, rozmawiającym oficerom, wyjść z summy, a jeśli nie wyjdą, to siłą będą wyrzuceni z kościoła. Zabraliśmy adjutanta do

Łukowa. Zajechaliśmy dwoma extrapocztami w biały dzień do owego majora, któremu dowództwo odebrano. Wielkie zadowolenie w mieście i myśmy byli kontenci, że powaga utrzymana.

Pewien obywatel P. H. z prowincyi a należący do komitetu białych przybył do szkoły na wizyty bez wiedzy prefekta i nauczyciela. Dano mi znać o tem. Urzędnicy i rodzice tych uczniów byli niezadowoleni. Otóż z urzędu mego idę do owego nieproszonego wizytatora i kazałem mu wyjść ze szkoły i opuścić miasto, bo inaczej będzie związany i skompromitowany. „A to mi się podoba! bez zezwolenia władzy komitetu centralnego takie nadużycia robić; proszę opuścić szkołę". Cóż miał robić? Zabrał manatki i pod dozorem naszego dziesiętnika opuścił miasto.

W Listopadzie wyszło rozporządzenie owej nieszczęliwej branki do wojska moskiewskiego. W kraju było ogólne oburzenie na Wielopolskiego, że chce najlepszy żywioł polski wyłapać i wymrozić w głębokiej Rosyi. Komitet centralny wydał polecenie. aby tej brance przeszkodzić. Dowiedzieliśmy się, że niektórzy członkowie powiatu przyjęli urzędowanie do tej komisyi w celach rekrutacyjnych. Wydaliśmy surowy rozkaz tym panom, którzy podali się na kandydatów, że jeżeli nie zrzekną się urzędowania w tej lichej komisyi, ucierpią materyalnie i cieleśnie. W dzień biały po kolei dziesiętnik doręczał to polecenie we większych ich domach. Skutek też nastąpił, bo wszyscy przysłali dymissyę swoją do rządu. Wezwałem naczelnika rządowego powiatu, aby natychmiast przysłał mi wykaz naznaczonych do wojska, co też zrobił święcie. Każdy kandydat na rekruta miał wyjść do innego powiatu lub gubernii, aby zbiry rządowe nie znaleźli interesanta w nocy. Tak było urządzone w powiecie Łukowskim.

Ze wszystkie stany słuchały dobrowolnie komitetu centralnego, to znowu następujący wypadek potwierdzi: W Warszawie furgonem rządowym wielkie sumy pieniędzy wywożono do Moskwy i innych gubernij. Starszy expedytor powiadomił komitet centralny, aby skorzystał z okazyi. Wspomniał dzień i godzinę wyjazdu z głównej poczty. Komitet polecił warszawskiej organizacyi, aby zuchów wysłała po ten tak potrzebny

łup. Niepraktycznie wzięli się do egzekucyi. Trzech młodych, niedoświadczonych najęło furkę jednokonną, zabrali żelaza różne na furkę i przybyli do Garwolina miasteczka położonego w powiecie łukowskiem przy szosie. Zajechali do zajazdu, opuścili konia i furę a sami pobiegli do izby w celu rozgrzania się i pożywienia. Faktor żyd, jak zwykle w Polsce zawsze gotowy na usługi przybyszom, wszedł do izby. „Nu panowie, wy się grzejecie a koń ziębnie i nie ma siana! Może każecie mu dać, to ja z ochotą usłużę panom dobrodziejom.“ Pozwolono żydowi tem się zająć — a więc przepatrywał wózek i widział narzędzia zbójów i złodziei. Nic nie mówił żyd tylko poszedł do magistratu i zaraportował, że jacyś rabusie przez Garwolin przejeżdżają. Owi Jazoni, co mieli zdobyć złote runo uciekli i każdy zmykał jak dzieciuch z ogrodu, skoro go arendarz pędzi. Jeden czmychnął a dwóch z łupem odstawiono do Warszawy. Znaleziono przy nich kwity podatkowe i nominacye na dziesiętników i setników. Do tej wyprawy należeli: Abicht emigrant, Maliszewski, Kozłowski i Akademicy ze szkoły głównej. Abicht powieszony w Czerwcu 1863 r., Maliszewski wraz ze Szwarcem jechali na Sybir a Kozłowski do Wołogdy. Oburzyliśmy się — członkowie województwa podlaskiego — że komitet źle traktuje prowincyą i pozwala na kompromitacyę urzędników. Chcieliśmy się podać do dymissyi. Garwolin należy do powiatu Łukowskiego. Owych Jazonów wysłano na Sybir.

Drugi wypadek był koło Biały. Wieziono znów pocztę z Rosyi (pieniądze rządowe do Warszawy). Warszawa wysłała ze swej strony po te pieniądze, bo było tak udecydowane, że skoro da Jan Rogoziński wystrzał, posztylion i expedytor umkną a on przyjdzie i zabierze wielką szkatułę banknotów. Ów Jazon dla pocieszenia się i rozgrzania połknął nieco wódeczki z butelki podróżnej. Jak usiadł pod gruszką tak też zasnął a furgon przejechał trąbiąc dość silnie. Dowiedzieliśmy się o tem z ust expedytora. Oto wielcy konspiratorowie!

Polecono nam z Warszawy, aby wciągnąć oficerów z armii czynnej moskiewskiej do organizacyi narodowej. Urządzam skromny wieczorek, zapraszam znanych mi oficerów i ks. Brzózkę do siebie. Przyjmuję ich serdecznie, zamknąwszy drzwi

na klucz, oznajmiam im cel zaproszenia. Mam polecenie z komitetu zapytać wojskowych o 3 kwestye, a mianowicie: 1° Czy wierzą w powstanie narodowe? 2° Jakie ich działanie będzie w dzień powstania? 3° Czy zechcą należeć do organizacyi? — Daliśmy im słowo honoru, że nikt w mieście o tej tu naszej dyskusyi nie dowie się. „Liczyć możecie Panowie i na słowo kapłańskie!“ dodałem. Zaczęli wypowiadać swe zdania, a najlepsze było doktora wojskowego, który był z duszy Polakiem i rzekł: „Jak wybuchnie powstanie, to zachoruję i do łóżka położę się“. Oto wojak! Po dyskusyi uradzono pod sekretem ścisłym, że: wierzą w powstanie, że w dzień ruchawki narodowej zgromadzą się do jednego z kolegów, a wówczas powstańcy oblegną ten dom i zabiorą ich do swych obozów lub zaaresztują, będą więc nie czynni z początku, a potem rozkaz dowodzącego wypełnią. Do organizacyi ich jednakowoż nie można zmuszać“. Zgodziliśmy się na te wnioski. Zabawa wesoło przeciągnęła się do 12 w nocy. Więc mamy i wojskowych za sobą! Wszystko wiedzieliśmy z bióra żandarmeryi, ponieważ tak urządziliśmy, że w biórze kapitana żandarmów pisał jeden z naszych.

Pewnego razu przychodzi dwóch obywateli do mnie z celem należenia do organizacyi, tylko chcieliby wiedzieć i być przekonanymi i proszą o niektóre objaśnienia. Ja na to: „Moi Panowie, napiszcie swe zapatrywania i swe pytania, to ja was za parę dni powiadomię o rezultacie, skoro tylko nadejdzie odpowiedź z komitetu. Szlachcice ujęci mym planem naradzają się i piszą swe wnioski do objaśnienia. Ja te ich pytania posyłam przez wojewódzkiego do komitetu, za parę dni przychodzi odpowiedź, dość poważna: „że niech obywatele owi te pytania ogłoszą w Dzienniku Warszawskim, to komitet im odpowie. Rząd nie rozmawia z każdą w szczególności osobą“. Doręczono tym Panom odpowiedź. Rozumie się, że obrazili się taką odpowiedzią i że ich więcej nie widziałem. Dzień 10 grudnia zbliża się, więc ja i ks. Brzozka na furkę i wio przez Lublin do Biskupic na zjazd duchownych. Przybył także i ks. Paszkowski. Bardzo liczny był zjazd, bo przeszło 120 księży zjechało się. Byli z sandomierskiej, warszawskiej i płockiej dyecezyi repre-

zentanci. Zagaił sesyą ks. prałat Sosnowski, bardzo energiczną i wesołą mową: „Oddajcie Bogu, co jest Bożego, a Cesarzowi, co jest cesarskiego“, pyta się „cóż mamy cesarskiego, chyba czapkę żołnierską i przysłowia narodowe rosyjskie i cara Alexandra, bo więcej nic nie mamy. Chcemy mu to oddać z całego serca!“ Oklaski wielkie nastały. Rozebrał w krótkich słowach te dobrodziejstwa moskiewskie udzielone narodowi i duchowieństwu. Duchowieństwo z każdym dniem do r. 1861 stawało się zgorszeniem i nic nie pracującem, tylko ubiegało się o zaszczyty u Moskali. Chwała Bogu, że się obudziło z letargu i to tem lepiej, że ogół, bo nie narażają swych biskupów. Jednogłośnie obrano mężem zaufania ks. Sosnowskiego.

Okropny był strach, bo ktoś pogłoskę puścił, że wojsko otoczyło Biskupice i wszystkich obecnych zaaresztuje. Szybko każdy uciekał wózkiem w swoje strony. Na drodze jeszcze swojej spotkaliśmy warszawiaków, księży: Karola Mikoszewskiego i jego towarzysza N., jadących do Biskupic, ale cofnęli się do Lublina. Objaśniłem ich, że już zakończył się zjazd i że Moskale ściągają wojsko dla aresztowania tam obecnych księży z polecenia Chruszczewa. Dnia 10 grudnia, o godzinie 8 wieczorem, stanęliśmy w Lublinie w hotelu angielskim. Miła była pogawędka z Janem Bogdanowiczem, ks. Baltazarem Paśnikowskim, Brzoską i kilką szlachty z okolicy. Bogdanowicz okropnie był oburzony na komisarzy komitetu centralnego. Opowiadał nam, jak im prawdę strofując, wypowiada i tych młodych zapaleńców uczy mówić prawdy. Umówiliśmy się stanowczo nie posyłać grosza uzbieranego do Warszawy, ale mając już pewną sumę znaczną, jechać incognito do Krakowa, zamówić pewnych i sumiennych ludzi do skupowania broni, porobić stacye i drogi do sprowadzania w różne strony kraju broni. Napisał mi list do Wojewódzkiego w Podlasiu, aby wykonał to, co ja ustnie powiem, a szczególniej, aby pieniędzy nie posyłał do Warszawy, gdyż tam nieład zakradł się, ponieważ 2 komitety powstały: komitet centralny i rewolucyjny, każdy z nich ciągnie na swą stronę. Pyta mnie Bogdanowicz, ile mamy broni na Podlasiu. „Dopiero wyznaczone są magazyny na broń różną, toż samo i w Lubelskiem“, odpowiedziałem. Przyszedł na gawędkę i ks.

Karol Mikoszewski, wikary koscioła św. Alexandra jako delegat komitetu centralnego na zebraniu duchowieństwa. Opowiada Bogdanowicz, jak się kłócą z sobą w Warszawie. Komisarze, ludzie młodzi, biorą górę nawet w Warszawie. Przedstawiają rzeczy bardzo jaskrawo i pochlebnie na sesyach Mikoszewski bronił powagi swego komitetu, ale pobity przez nas umilkł. O 12-tej godzinie rozeszliśmy się. Mnie Bogdanowicz chce zostawić u siebie na dłuższą gawędkę i proponuje spoczynek na kanapie, bo nie może spać. Nie przyjmuję propozycyi, ponieważ zmordowany byłem podróżą i mówieniem. Służący o godzinie 7 nazajutrz powiada mi, że wielkie aresztowania w Lublinie. Z hotelu wzięli żandarmi obywatela: Jana Bogdanowicza, ks. Baltazara Paśnikowskiego i aptekarza N. Za co? „Za organizacyą i za wypadki chełmskie", odrzekł garçon hotelowy. „Za jaką organizacyę", spytałem. „Oj ks. dobrodziej kpi sobie ze mnie", odrzekł, „bo dobrodziej musi należeć do tej organizacyi, bo u nas w Lublinie wszyscy należą wojskowi i kobiety. Okropnie odgrażają w Lublinie wszyscy na adjutanta Chruszczewa". Wstałem i obudziłem Brzóskę i na gwałt opuściliśmy Lublin.

Ten dzień 10-go grudnia dla mnie wielce pouczający i ważny w życiu. Dwóch ludzi energicznych, rozumnych kraj stracił, bo gdyby byli na wolności Bogdanowicz i Paśnikowski rozpędziliby członków komitetowych i sami objęliby ster, bo taki już plan był ułożony. Mieli jechać do Warszawy, znieść się ze setnikami, przedstawić stan obecny i realny prowincyi, dać dymissyę komisarzom, a członków rewolucyjnego i centralnego komitetu zaaresztować na parę tygodni i trzymać ich na prowincyi. Bóg świadkiem, że ci ludzie dobrze sądzili i przewidywali szybki wybuch nieszczęśliwego powstania. Stało się! Po przybyciu do Łukowa zdałem sprawę wojewódzkiemu Deskurowi, polecenie od Bogdanowicza i zachęcałem, aby zwracał uwagę Warszawie przy każdej sposobności. Moje sekretarki wypełniały sumiennie wszelkie polecenia, żadnego papieru przysłanego nie odpieczętowały i tak umiały zachować powagę wobec ojca, ze się nigdy nie spodziewał inżynier, że są w jego pomieszkaniu pieczątki i papiery. Dnia 15 grudnia zwożą z War-

szawy drukarnię, bo nie mają miejsca dla niej, tak ostro w Warszawie. Przez kilka dni pochowały przeszło 2 korce tych czcionek do swej piwnicy, jako narzędzia inżynierskie. Widziałem po twarzy, że były niespokojne o ojca swego, a więc uprzątnąłem je na prowincyę, gdzie kazał wojewódzki ulokować. Wielce się ucieszyły i przyznały się, że bardzo niespokojne były, nawet ojciec ich pytał się, dlaczego tak smutne na twarzy?

Gustaw Zakrzewski i Teodor Jasieński zaprosili mnie i to z urzędu, abym w Stoczku obudził ducha narodowego między ludem. Nie mogłem im odmówić z powodu, że Stoczek był w powiecie łukowskim, drugi raz że im wstyd, że są sami czynni w organizacyi, a pracy narodowej koło ich posiadłości nie ma jeszcze. Zakrzewscy mieszkali w Ciechominie, a więc z wiedzą ks. Rektora udałem się z nimi do Ciechomina, miły bardzo domek szlachecki, a szczególniej pożycie tej rodziny. Łagodność, wesołość, skromność, a naturalność pociągały gościa. Po odpoczynku 2 dniowym jedziemy z Gustawem Zakrzewskim do Stoczku na plebanią. Był tam proboszcz ks. Nowacki, zdolny człowiek, ale nałogowy pijak. Jakoś był trzeźwy w chwili przybycia naszego. Polecają mnie i proszą go, aby mi pozwolił przez dwie niedziel adwentowych przemawiać do ludu. „A i owszem, odpowiedział. Więc pozostałem na plebanii. Okropne moje położenie, o godz. 9-tej rano już pleban chrapie i przewraca się po łóżku, kurz i nieporządek wielki w pokoikach plebańskich. Życie nędzne, jak zwykle u nałogowców. W miasteczku burmistrz, nauczyciel i pocztmistrz, to cała inteligencya — okropnie do tego byli ograniczeni. Miałem w 3-cią i 4-tą niedzielę na rorotach kazania, ale z bardzo wielką korzyścią, bo był wielki połów ryb. Po jednem kazaniu ze 300 chłopów przysięgało na wstrzemięźliwość, a po drugiem gromadami przysięgę składali na obronę ojczyzny. Podczas kazań gospodarze doświadczeni odzywali się w tych słowach: „Pójdziemy na Moskala, ale cóż stanie się z naszemi żonami i dziećmi? Czy będzie broń? Czy panowie znów rejterady nie zrobią, jak to zwykle czynią“. Musiałem wobec N. Sakramentu odpowiadać im prawdę. Kraj będzie pamiętał o wdowach i sierotach. Komisarz komit. centr. w Kłoczewie przyrzekł, że wtenczas naród pójdzie na wroga

religii i ojczyzny, skoro dobrze obliczy swe odpowiednie środki! Że niezawiedzie narodu. Że dziś nie panowie tylko wypędzają Moskali, ale mieszczanie z chłopami. Mieszczanie odbiorą bierzmowanie, a chłopi się ochrzczą wobec praw równych i wolności prawdziwej. Odezwał się znowu głos: „A co dobrodziej rozumie pod wolnością“. Oto, mój bracie widać, że jesteś rozumny i myślący ojciec-katolik. Odpowiem ci na to, że wolność prawdziwa, wedle nauki Chrystusa, zależy na dobrym stosunku w wypełnianiu obowiązków wszystkich stanów, będących w narodzie t. j. jak każdy stan wedle sumienia zrobi dobrze swe obowiązki i powinności, to będziemy wolni. Że Chrystus Pan nauczył nas, że synami jesteśmy wszyscy wobec Boga Ojca i że rowolucya francuska zrównała wszystkich wobec praw światowych i przywileje zniosła. Wtem robi się hałas w kościele i lud woła, że szpieg w kościele, trzeba go zatrzymać, zdradzi księdza i nas... Schodzę z ambony i pytam w zakrystyi, co za jeden. Jestto żołnierz z Adamowa, przychodzi do swej kochanki i szpieguje swemu pułkownikowi wszystko, była odpowiedź. Kazałem go puścić. We wtorek posłaniec z Łukowa wpada do Stoczka z poleceniem do mnie, abym się strzegł, bo wyszedł rozkaz zaaresztowania mnie i dostarczenia żywcem do Warszawy. W sobotę, jak dziś pamiętam wpada organista do plebanii i mówi: „30 kozaków jedzie do Stoczka po księdza dobrodzieja. Schowaj się ksiądz zaraz, ale gdzie, do dołu kartoflanego najbezpieczniej“. Zabieram więc futro moje reniferowe na siebie, bardzo ciepłe i oryginalne, bo mające włosy na obie strony i wchodzę do owego dołu o godz. 11-tej przedpołudniem. Przez 15 godzin nikt nie zajrzał do mnie. Aż nareszcie przynoszą mi posiłek z dworu, sam dzierżawca M... przychodzi i opowiada, że kozacy całą plebanią, organistówkę, szpital i kilka domów mieszczańskich zrewidowali, a nic nie znalazłszy i zrobiwszy protokół z napół pijanym ks. Proboszczem, który tłómaczył się, że mię nie znał, żem mówił dwa razy kazanie i pojechał, dokąd i po co, tego nie wie — odjechali. Skoro byłem przekonany, że niema w bliskości Stoczka kozaków, wyszedłem wieczorem, siadłem na wóz i popędziłem manowcami do Siedlec. Na pół drogi od Łukowa, zatrzymuję

się u poczciwego leśnika G..., wzywam do siebie ks. Brzózkę, opowiadam, że więcej do Łukowa wrócić nie mogę. Zdałem raport z całej czynności — podałem miejsce pieczątek i papierów moich osobistych i krajowych, poleciłem następcę i tak 24-go grudnia powiat łukowski opuścić musiałem. Przybywam do Siedlec i wprost idę do naczelnika powiatu D. ze strony moskiewskiej, polecam mu, aby mi wydał świadectwo (paszport, jako guwernerowi od trzech gubernij. Wyjeżdżam z polecenia organizacyi do Sokołowa, stamtąd organizacya nasza miała mię przeprawić do samej Warszawy. U sędziego w Sokołowie dwa dni świąt Bożego Narodzenia przepędzam, opowiadając inteligencyi obojga płci o pobycie mym w Rosyi, Chełmie i t. d. Układamy plan przejazdu przez rogatkę warszawską. Stanęło na tem, że futro syberyjskie zostawić muszę wikaremu, a wikarego barany czarne, tołub mieszczański wziąć muszę i jako handlarz świń przejadę rogatkę i to jako handlarz i mieszczanin z Sokołowa, co też rzeczywiście wybornie udało się. Zostawiwszy piękny a dobry rewolwer i album z fotografiami u sędziego, a futro oryginalne u wikarego i podziękowawszy za gościnność, z chłopakiem małym opuściłem Sokołów wieczorem, tegoż samego dnia przejechałem nie pytany o paszport, ponieważ strażnicy znali już konie z Sokołowa, szczęśliwie więc dostałem się na Krakowskie Przedmieście, przed pomnikiem Zygmunta, zawołałem w duchu sposobem Podlasiaków: królu Zygmuncie udziel mi kwatereczkę kaszy, puściłem w trąbę wózek na powrót. Sam zajechałem doróżką do hotelu angielskiego, wówczas miejsce dla bardzo bogatych ludzi. Wziąwszy pokój i klucz od niego z sobą, wyszedłem do sklepu, od głowy do stóp ubrałem się po cywilnemu, więc znowu jako szlachcic ze wsi przebywałem w Warszawie. Wpadam do ks. Prowincyała, oznajmując mu, że musiałem Łuków opuścić, na co stary Kasterski: „Zobaczysz, że na stryczku skończysz“. Jedź, gdzie ci się podoba, a skoro się gdzie ulokujesz, to mi dasz znak. Na drugi dzień widzę się z ks. Mikoszewskim, proszę go, aby mnie zaprowadził do komitetowych, abym się dowiedział, jaki stan organizacyi i czy wkrótce będzie powstanie, czy też nie i żeby mi co dali na życie. Mikoszewski ze mną idzie, na Krakow-

skiem przedmieściu o godzinie 10 rano prezentuje mnie trzem członkom komitetu centralnego, ci byli: Zygmunt Padlewski, Jan Makowski, a nazwiska trzeciego nie pamiętam. Serdecznie mnie witają, a kontenci, żem umknął rąk moskiewskich, bo wiedzieli, że surowy nakaz Chruszczew otrzymał dostarczenia mnie żywcem do cytadeli. Pytam się ich pod słowem Polaka, kiedy będzie wybuch, a oni odrzekli na przyszły dopiero rok 1864 lub najwcześniej w sierpniu r. 1863. „Więc nie mogę być ciężarem nikomu, jadę do Krakowa", odrzekłem. „A dobrze", odrzekli, „bo mamy przesłać memoryał Arcybiskupowi poznańskiemu, aby on potwierdził to swym podpisem i odesłał to memorandum Piusowi IX., upoważniamy więc ciebie do przemówienia do Arcybiskupa". Dali mi paszport do samej granicy, dali mi 75 Rs. na podróż i list żelazny do naszej organizacyi pogranicznej. Uścisnąwszy się nawzajem, opuściłem Warszawę. Na kolei przerżnąwszy się przez żandarmów, kupiłem bilet I. klasy, siadłem i wyglądam oknem na peron, wtem spotykam przechadzającego się pobitego w Chełmie komisarza policyi. Patrzymy na siebie, okropnie to na mnie oddziałało, bo byłem pewien, że mnie poznał i na jakiejkolwiek stacyi zatrzymają mnie i wsadzą do cytadeli. Prosiłem Boga, aby pociąg jak najprędzej ruszył. Każda stacya kolei wiele mnie zdrowia kosztowała, aż skoro za Piotrkowem trybunalskim porzuciłem kolej, ochłodłem nieco. Wyperswadowałem sobie, że mnie nie poznał ów szpieg na peronie. Przybyłem z Dąbrowy wspólnie z naczelnikiem organizacyi do Olkusza. On naczelnik poleca mię z urzędu doktorowi medycyny, aby mnie całego i zdrowego przeprowadził do Krakowa. Drapię się w głowę, rad nie rad decyduje się jechać ze mną przez Michałowice do Krakowa. Za jego chęci i oświadczenia dziękuję i rad jestem, że sam nie wjadę do Krakowa. Przyjeżdżamy do Michałowic, zostaję na bryczce, a doktor idzie do naczelnika komory. Prosi go na wszystko, aby tą osobistość ważną, za którą komitet centralny głowę za głowę zagroził przewieść pozwolił do Krakowa. Ciekawy naczelnik nazwiska tej kontrabandy politycznej. Doktor pod sekretem powiedział mu moje imię i nazwisko prawdziwe. Czy ten Słotwiński jest bratem opata u Bożego ciała. Potwier-

dził to doktor, a naczelnik był z tego bardzo uradowany, że może Opatowi odwdzięczać się za jego trudy w wyrobieniu mu dyspensy ślubnej z Rzymu. Sam naczelnik przychodzi do bryczki i mnie zaprasza do siebie, częstuje winem i sam przyrzeka mnie odwieść do opata. Bez żadnego kłopotu przejechałem granicę austryacką wraz z naczelnikiem komory Michałowice. Przybywamy wieczorem o godz. 7 do Krakowa i wprost idziemy do teatru krakowskiego. Następnie nocujemy w hotelu „pod różą“ na ulicy Floryańskiej. Posyłam expresa do Bożego Ciała, dowiaduję się, czy brat Stanisław jest w klasztorze. Expres przyniósł wiadomość, że w niedzielę popołudniu wyjechał do Kamienia. Podziękowałem naczelnikowi za trudy. Zniosłem się zaraz ze Szczepańskim Alfredem akademikiem, gdyż do niego dano mi adres w Warszawie. Ów akademik delegował kolegę, aby mi dano kwaterę na ulicy Szpitalnej „pod Rakiem“. Tam mieszkało 4 akademików, poznałem się z nimi i dyskusya wieczorem długo trwała. Zdziwiło mnie bardzo mocno, że akademicy krakowscy obskuranci w sprawie narodowej. Nic o organizacyi nie wiedzieli i nic ich ten ruch pracy narodowej nie obchodził, piwo, dziewczyna, urząd jakiś, to ich cel jedyny. Jadałem w restauracyi Ziembińskiego, będącej w Rynku nad Fiszera sklepem. Kraków nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Obejrzałem pijarskie Collegium i kościół zniszczony. Nająwszy furkę na Kazimierzu, ruszyłem do Kamienia, do brata mego Stanisława. W Opolu, z którym widziałem się w r. 1856 witał mnie dość obojętnie. Opowiadam mu moje przejścia, stan zdrowia matki i całej naszej rodziny. Nic nie mówi, tylko głową kiwa. Pytam, gdzie się obraca Paweł, brat nasz, emigrant z r. 1848. Opat odpowiedział, że w Belgradzie, Serbii, kto zarządza Collegium Pijarskim? czy zostanę w Krakowie aż mi Prowincyał z Warszawy nadeśle obedyencyę zakonną i zaliczy mię in familian Collegium Cracovensis? — odpowiada mi ani mowy o tem — ks. Biskup Gałecki wielki austryak, nie cierpi Polaków księży z Królestwa, a Collegium z jego ramienia rządzi Piątkowski dziekan chciwy grosza. Policya krakowska aresztuje Polaków i oddaje Moskalom. Przenocowałem u niego na wsi. Rano mówi do mnie: „Ha, trzeba pojechać do Rzymu

i tam się uczyć, doktorat zdać i jechać na misye do Ameryki". Patrzałem na niego, jak na waryata i myślałem sobie: on ma w głowie Amerykę, a o pracy w swym kraju słyszeć nawet nie chce i obojętnie słucha o ruchu narodowym i rodzinie Słotwińskich, pomyślałem sobie, o to wychowanie zakonne po za granicą polski. Kosmopolitą został już Stach. Pojechaliśmy do Krakowa, zawiózł mię nie do siebie, ale na ulicę Poselską do Rudawskich, z któremi dobrze żył... Zaprezentował mię jako chłopca i niedoświadczonego studenta. Bieda była u tych Rudawskich, ale serca dobre. Kazimierz witał mnie jako swego krewnego (bo on ze Słotwińskich pochodzi), zaprezentował Felixowi Słotwińskiemu, profesorowi w tej samej własnej kamienicy zamieszkałemu. Dowiedziałem się, że Felix Słotwiński był rektorem uniwersytetu i profesorem prawa. Zapytali mnie o herb i o rozmaitych Słotwińskich w Galicyi zamieszkałych. Co to za kraj? gdzie jestem? pomyślałem sobie! Rudawska, szlachcianka brzydka, tabakę zażywała, dbała o herby i bawiła się antenatami. Staruszka Słotwińska, żona mecenasa, w łóżku leżała i grała w karty z córką swą, panią Hubicką Tadeuszową. Hubicki Tadeusz z Wiktorem Słotwińskim przebywał w mieście. Cały skład tego domu dziwny i znać było nieporządek. Kazimierz Rudawski, wyrobiony patryota z r. 1848 był ranny i używając powagi, lubiał piwko spijać i włóczyć się po piwiarniach. Zauważyłem, że był on mentorem opata i wodził go na rzemyczku. Pani Rudawska nie znając mego charakteru, zaczęła głosić o wszelkich kłopotach mego brata Opata w Krakowie w zakonie Bożego Ciała. Żeby nie Rudawscy, toby już opata wykurzyli z Krakowa. Pomyślałem sobie: oj niedoświadczony wychowaniec rzymski, a gadatliwa niewiastka! Opat mię zabrał już na drugi dzień z Krakowa i odprowadził na kolej do Wiednia.

Przez Wiedeń przejeżdżając dnia 6-go stycznia 1863 roku, widziałem jeszcze owe fosy, jakie oddzielały centrum miasta od przedmieść. Wówczas Wiedeń nie zrobił na mnie żadnego wrażenia, miasto czesko-niemieckie; psy ciągnęły wózki naładowane towarami, a Niemki i Czeszki popychały. Katedra św. Stefana zewnątrz cudowna, wspaniała budowa, wewnątrz nic zajmującego. Bez ducha owa świątynia. Wiedeń dla myślą-

cego człowieka, wiele ma niemiłych wspomnień. Owe nieszczęśliwe wyprawy i zwycięstwo Sobieskiego, ów kongres r. 1815, owa rzeź w r. 1848 jako też owe systematycznie prowadzone prześladowania w Galicyi. Zdawało się, że Wiedeń żadnej myśli, ni literatury, ani wynalazków swych nie mając, korzysta tylko z innych narodów, więc rzecz dziwna, że sztucznie tak długo zajmuje stanowisko wybitne w historyi! Takie myśli miałem, będąc po raz pierwszy w Wiedniu. A skorom się przekonał, że tylu Czechów, żydów, próżniaków Polaków, zajmuje urzędy i są zabójcami swego własnego narodu, wzdrygnęła się moja dusza.

Ks. opat w hotelu „pod królem węgierskim“, napisał mi listy polecające, a mianowicie: do ks. Dąbrowskiego, prowincyała Bazylianów polskich, emigranta, do Wład. Kulczyckiego, szambelana watykańskiego i księżnej Odescalchi. Po trzech dniach pobytu w Wiedniu — uścisnąłem dłoń brata i udałem się w dalszą podróż do Włoch, a mianowicie do Rzymu.

Podróż do Rzymu i krótki tam pobyt.

Rok 1863 od 6/1 do 11/3 1864.

Uścisnąwszy dłoń Stanisława na kolei południowej w Wiedniu, ruszyłem w świat mi nie znany! Nie umiejąc języka niemieckiego, ani włoskiego, a mało po francusku, nie mogłem prowadzić rozmowy z podróżnymi towarzyszami. Sam milcząco przebiegałem piękne i urocze okolice i miejscowości! Porównywałem klimat z północnym. Skorom przejeżdżał ową cudowną Illiryą i bardzo kosztowną koleją z wielce pięknemi widokami Semmeringu byłem zachwycony. Wskazali mi drogę na Ferrarę, Bolonię, Ankonę koleją, a z Ankony dyliżansem na Loretto, pamiętne szczególniej dla Polaków, tejże więc marszruty ślepo się trzymałem. Miałem list do ks. Franciszkanina, Polaka w Padwie zamieszkałego. Przejechałem z wielkiem wrażeniem przez lombardzko-weneckie państwo. Uderzyły mię piękne urodzajne okolice i widziałem pierwszy raz jak to ludzie korzystają z dobrej ziemi i żyznej: rośnie zboże, kukurudza i drzewa owocowe wspólnie, już wszystko zielone w styczniu!

Zwiedziłem Padwę i to, co w niej godnego widzenia. Kościół św. Antoniego bardzo bogaty i pięknie utrzymany. Widziałem 2 psy z góry św. Gottarda. Te psy mają swe mieszkania przy zakrystyi, jeden tylko braciszek ma przystęp do nich; dowiedziałem się, że są one nocnymi stróżami bogactw, znajdujących się w kościele. Przełożony tego klasztoru mile mnie przyjął i opowiadał po łacinie, wypadek jaki niedawno wówczas zdarzył się: Zakradli się złodzieje na noc do kościoła, te psy złapały ich na gorącym uczynku, kiedy obdzierali suknię srebrną ze świętego Antoniego i trzymały tak do godziny 4-tej rano, to jest aż zakonnicy przyszli na matutinum (modlitwy poranne). Zwiedziłem ów sławny starożytny uniwersytet, do którego wiele a wiele szlachty naszej uczęszczało i owe portyki przy budynkach i pałacach starej struktury z karyatydami. Karyatydy są to postacie wielkich kobiet kamiennych, nagich z biodrami owiniętemi drapeyrą, podtrzymujących sztukateryą pałaców. Wieczorem wielki strach przejmuje człowieka przechodzącego, bo ulice nie oświetlone, można być co krok napadniętym, zrabowanym lub sztyletem przebitym. Miasto to wielkie na mnie zrobiło wrażenie. Widać było, że wojsko austryackie trzyma rygor i Włochy w niewoli.

Po odprawieniu mszy św. przed ołtarzem św. Antoniego, tak serdecznie w Polsce czczonego, udałem się do Bolonii.

Tam krótko pociąg stał; pojechałem doróżką na cmentarz, najpiękniejszy w Europie i po drodze widziałem katedrę bogatą. Piękne i starożytne pałace zwiedziwszy, powróciłem zaraz na kolej. Szyny kolei, prowadzącej do Ankony, tak nad brzegiem morskim ułożone, że podróżującemu zdaje się jakby o mało co, nie wpadały do morza. Ankona miasto już w państwie papieskiem i także starożytne. Zatrzymałem się w niem parę dni, aby przypatrzyć się zwyczajom i obyczajom Włochów, jakoteż systemowi rządu papieskiego. Ankona jest dość oddalona od morza, położona na górze. Ulice wąskie i brudne, place nie wielkie. Włochy namiętnie grają w tombolę, przypatrywałem się tej loteryi; smutne na mnie zrobiła wrażenie i pomyślałem sobie, że wielka odpowiedzialność ciąży na rządach papieskich, za tolerancyą wady takiej, ponieważ loterya ta rozpalała na-

miętności i niszczyła rodziny. Patrząc na twarze grających, straszna boleść wzrastała w duszy. Nie radząc się, ani nikogo o nic nie pytając, bo nie znałem języka, sam sobie o wszystkiem sąd wydawałem. Najrozmaitsze prelekcye, kuglarstwo i blagi odbywają się po ulicach. Wypytałem się, jaka odległość jest do Loretto. Udałem się tam; miejsce to położone w wielkich górach (Appeniny), drogi są bite i oparkanione. Pod górę zaprzęgają silne woły do dyliżansu pocztowego i wloką pod górę podróżnego noga za nogą. Wielka liczba biednych obdartusów leci za dyliżansem, przypominając bandy cygańskie w Polsce. Prześliczne okolice, liczne wodospady i strumyki dają miłe oku zajęcie. Klimat dość ostry w górach, szczególniej rankami, gdzie promienia słoneczne nie dochodzą. Po 48-godzinnej podróży przybyliśmy do Loretto. Z wielkiem namaszczeniem wszedłem do owej bazyliki Najświętszej Maryi Panny. Znalazłem wielką liczbę zwiedzających. Za ołtarzem stoi owa kapliczka czyli Domek Matki Boskiej przeniesiony z Nazaretu, do którego to Domku ściągają się pielgrzymi z katolików chrześciańskich całego świata od najdawniejszych czasów; ten Domek Aniołowie przenieśli z Dalmacyi do Loretto, jak podanie mówi; ma on 31 stóp i 9 cali długości, 13 stóp i 18 cali wysokości. Wiele jest darów szlachty polskiej, a szczególniej Stanisława Sobieskiego. Pomodliłem się szczerze i dalej ruszyłem w podróż do Civita Vechia. Od Civita Vechia prowadziła już kolej do Rzymu. Okolice nadmorskie smutne i ponure, równina i bagna nie zdrowe (Campagna), nie wzięte w rachubę, aby zostały użyte dla dobra społeczności. Co kilka minut wyglądałem z wagonu z wielkiem upragnieniem, aby zobaczyć ten stary gród, który wielką rolę społeczno-naukową w świecie starym średniowiecznym i nowożytnym odegrał i który za cesarzów rzymskich krocie Słowian więził i zabijał przy budowie swojej, gdzie tysiące tysięcy poniosło śmierć za wiarę Chrystusa. Szkoda wielka, że Teofil Lenartowicz nie drukuje do dziś dnia swego poematu historycznego: „Dacya“, wieleby na tem Słowianie zachodni skorzystali i zamiłowaliby się w swojej przeszłości! Wedle mego zdania najsilniejszy to poemat Teofila naszego.

Aż nareszcie zaczyna się pokazywać wspaniała wieża bazyliki św. Piotra. Watykan i ogrody murami staroświeckiemi opasane. Kolej stanęła i konduktor zawołał: „Roma!“ Podróżni przedstawiali swe paszporta straży papieskiej i ja swój u nuncyusza papieskiego w Wiedniu Fallcinellego wyrobiony, dałem także do wizy. Straż zrewidowała mój kuferek, a ja wsiadłszy do doróżki, rzekłem: „Via Dei monti chiesa Madonna del Pascolo“. Doróżkarz mnie zrozumiał i stanąłem szczęśliwie u ks. Dąbrowskiego, Bazylianina, który tam mieszkał w Rzymie. Przedstawiłem się ks. prowincyałowi Dąbrowskiemu, że jestem ks. Słotwiński, Pijar, z Królestwa przybyły, brat ks. Stanisława, którego list mu doręczyłem. Prosiłem go o gościnność. Stary zaczął się krzywić, bo go Polacy ustawicznie nagabują. Ale skorom mu powiedział, że mam pewną sumę złota do doręczenia Ojcu Strozz'emu, generałowi kanoników lateraneńskich od mego brata, Opata, na utrzymanie kleryka-Polaka, Bazylianin ucieszył się, zajął się mną serdecznie i zapytał, ile mam sztuk napoleondorów, bo chce mi je wymienić na scudi włoskie. Zgodziłem się na to i oddałem mu je. Zostawił mnie w pierwszym pokoiku, sam zamknął się w drugim, a przysunąwszy stolik do pieca, stanął na nim i wyjął długą pończochę, pełną pieniędzy. Ja widząc to wszystko przez dziurkę od klucza, śmiałem się w duchu, że stary zakonnik tak się w monecie kocha. Zapomniał, że św. Paweł, mając być ściętym w Rzymie, posłał swego przyjaciela do Grecyi po płaszcz, księgi i skrypta swoje, a nie po kapitały i złoto. Sługa Chrystusa prawy nie powinien się troszczyć o monetę, jak zwykle dzisiejsi duchowni czynią. Rozgościłem się i zaczęliśmy gawędkę na seryo. Opowiedziałem moje curiculum vitae i dlaczego przybyłem do Rzymu. Stary Dąbrowski, pytał mnie, czy mam pozwolenie od generała Pijarów przybycia do Rzymu. „Nie“, odpowiedziałem. „A dlaczego? wszak prawo zakonne poleca pod exkomuniką pozwolenie na to“.

Na drugi dzień poszedł ze mną do klasztoru S-ti Petri in vinculis to jest do kanoników lateraneńskich i przedstawiał generałowi Strozzemu, który mnie serdecznie uściskał, bo kochał Stanisława, którego był magistrem. Doręczyłem mu te

brata pieniądze. Dąbrowski przemówił słów kilka za mną do generała Pijarów O. Perrando, aby mnie przyjął do Collegium pijarskiego, opowiadał, żem umknął z Syberyi i schronienia u swoich szukam. Strozzi, światły ksiądz i z bardzo starożytnej rodziny, wszedł w potrzebę bliźniego, dając mi bilet do generała naszego. Zwiedziłem piękny klasztór i kajdany ś-go Piotra. Poznałem się z p. Władysławem Kulczyckim, szambelanem dworu papieskiego, światłym polakiem z Gabryelem Łuniewskim, kuzynem Józefa Kraszewskiego i z Bronisławem Zaleskim. Stary Dąbrowski opowiadał mi szczegóły o Zmartwychwstańcach, o Matce Makrynie i o klasztorach polskich byłych w Rzymie, Maryanach, Paulinach i Bazylianach, jako też o przykrościach od Zmartwychwstańców. Ten klasztór i kościółek jest własnością Bazylianów prowincyi polskiej, przez obywateli wielkopolskich, założony w celu reprezentowania Unii w Rzymie. Zmartwychwstańcy pragną cały dom przez „Propaganda de fide“ zabrać dla siebie, wyrugować i pozbawić dachu nawet zakonnika starego. Pokazywał mi prośby do Piusa IX. i jego dekret, aby propaganda oddała cały fundusz na rzecz Bazylianów polskich. Kilka razy deputacya Polaków z Poznańskiego była u Piusa IX. w tym interesie. Ale kardynał Barnaba znosił się z ks. Kajsiewiczem więc nie dopuszczali Dąbr. do własności, ale chcieli nawet tego starca wyrzucić z pod dachu. Dąbrowski był to człowiek wielkiej odwagi i wygnaniec z klasztoru chełmskiego za to, że nie pozwolił uroczyście w szatach kościelnych przyjmować Muchanowa w Chełmie. Pragnął w Rzymie założyć nowicyat dla Bazylianów polskich, aby młodzi byli pikietatami dla Unii podlaskiej i Galicyi. Opowiadał mi nieraz o matce Makrynie, Bazyliance z Połocka, wszystkie szczegóły; co z nią Zmartwychwstańcy t. j. ks. Alexander Jełowicki, Semeneńko i Kajsiewicz wyrabiali „wioząc ją z południowej Francyi do Rzymu!“ Może kiedyś inny kapłan Polak szczegóły podać w tej kwestyi!

Po ulokowaniu się u Pijarów w Collegium apud St. Panthaleonem, w którem nasz patryarcha S. Józef Kalasanty mieszkał, wytłumaczyłem się mej władzy z powodu mego nadzwyczajnego przybycia do Rzymu. Za karę musiałem się spowiadać, i pokutę moralną przyjąć, poczem asystent generała zdjął ze

mnie exkomunikę, w kilka dni potem wraz z ks. Dąbrowskim zrobiłem wizytę księżnej Odescalchi, oddając list mego brata, polecający mnie jej sercu. Przyjęła mnie serdecznie i poleciła, abym często u niej bywał; znała bowiem dwóch moich braci Pawła i Stanisława i pomagała im. Nie znałem jeszcze osobiście żadnego z owych założycieli nowoczesnego polskiego zakonu. Ciekawy więc byłem poznać księży Kajsiewicza i Semeneńkę. Pospieszyłem z poczciwym Dąbrowskim zobaczyć pierwszego z nich, byłego żołnierza, dobrego kaznodzieję, a dziś przełożonogo nowozałożonego zakonu Zmartwychwstańców. Ojcowie Semeneńko i Kajsiewicz kilkakrotnie zaprzeczali temu, że ich zakon nie jest zakonem polskim, tylko tej samej reguły co Jezuici; więc zwolennicy tego zakonu mylą się w swych pismach, pragnąc wmówić w publiczność, czytającą fałsz przezco szkodę przynoszą temu zakonowi. O Semeńko często mawiał przed kapłanami i cywilnymi rodakami, że Jezuici się zużyli, a oni ich miejsca zajmą w Polsce. Z najlepszej strony znałem ks. Hieronima z jego kazań. Weszliśmy do jego mieszkania t. j. do biblioteki, bo tam cały dzień przepędzał i gości przyjmował. Ks. Dąbrowski mię zarekomendował, ks. Kajsiewicz powitał dość oziębie, zwyczajem włoskim i wszczął dyskusyę o wypadkach w kraju. Ów mentor, z powagą gromił duchowieństwo polskie, że jest rewolucyjne; że są to Karbonary, Garybaldczycy i masony, pokazując mi swą pracę, ów list znany: „Do Braci grzesznie spiskujących“, rzekł, że już się drukuje w Poznaniu, żeśmy odpadli od kościoła i t. p. Ja mu na to wobec ks. Dąbrowskiego: „Ojcze unosisz się i masz błędne pojęcie o pracy duchowieństwa polskiego; dzisiaj lepiej Ojciec zrobi, że go wycofa z druku!“ Trzeba było przybyć na granicę Kongresówki i przypatrzyć się dziś duchowieństwu polskiemu, rządzcom dyecezyi i rezultatom pracy ich nad umoralnieniem siebie i parafian. Wy panowie, wmawiacie w naród, że żyjemy maxymami zagranicznemi; tak nie jest, bo my prości, młodzi kapłani na prowincyi, gdzie z jednej strony tylko ambona, szkoła i biblioteka, są naszemi przewodnikami, a z drugiej strony nędza ludu, lenistwo szlachty i zbytki u niektórych prałatów, pobudzają nas do nauki Chrystusa Pana, naszego mistrza, możemy sercem

i krwią błądzić (jeśli) jest błędem mówić prawdę, strofującą wszystkim stanom, ale wmawiać złe intencye, przewrotność zdań w duchowieństwo polskie, to się nie godzi. Łatwo z Rzymu krytykować, a po pieniądze jeździć do Poznania i Galicyi, to wolno, bo wygodnie. Przepraszam ojca Hieronima, ja się bronię i bronię duchowieństwo polskie, kiedy mam szczęście osobiście się obronić! Byłem w kraju wychowany, byłem na stanowisku i w zimnych krajach na wygnaniu, więc z przekonania stawiam pewnik, że Ojca źle poinformowano, tak jak źle usposabialiście w Rzymie i Warszawie Arcyb. Felińskiego do duchowieństwa polskiego". Rozmowa przeszło godzinę trwała. Pytał mnie dalej: „Co pan myślisz w Rzymie robić?" „Ja mieszkam u swoich. Jeśli mi Bóg pozwoli zdrowia i wypadki w kraju mnie nie powołają, to będę uczęszczał do Sapiencyi, aby otrzymać stopień naukowy", odrzekłem i na tem skończyła się nasza rozmowa. Wyszedłszy od Ojca Kajsiewicza, ks. Dąbr. niezmiernie się dziwił, żem tyle śmiał prawdy wypowiedzieć mentorowi. „Zobaczysz", powiedział mi w końcu, „że Cię okrzyczą Zmartwychwstańcy, rewolucyonistą, masonem i t. p. Sprawdziło się co ksiądz Dąbrowski przepowiedział. Czytelnik kiedyś w kronice domu Pijarskiego przeczyta jak mię OO. Kajsiewicz, Semeńko szkalowali w Galicyi i Krakowie u władz; w salonach i przed Ojcem Casanova, generałem Pijarów. Są dowody na to jak chcieli przy pomocy przyjaciół swoich w Collegium, kościół i kapituły pijarskie mieć dla siebie. Ale wszędzie zdołałem zbić te niegodne kapłana postępowanie. Memorandum moje o nieprzyjaciołach zgromadzenia Pijarów i moich znajduje się w archiwum generalskiem w Rzymie. Memorandum z roku 1888, przez ręce ks. Krzemińskiego z Morawicy, ks. Wróbla z Niepołomic, złożone przy mej rezygnacyi z rektoratu, biskupowi krak. jako delegatowi generalskiemu, niech świadczą o prawdzie mych słów. Dowiedziałem się, że księżna Odescalchi raz na tydzień przyjmowała Polonię; otóż chcąc być na tej recepcyi, byłem u niej z wizytą o 11 rano, ale nie przyjęła mnie. Odszedłem spokojnie, ale od obecnych mam relacyę, że publicznie moje nazwisko nie miłe zrobiło wrażenie na salonach polskich i dostałem pierwszy tytuł: „Rewolucyonista", a to z raportu zrobionego ks.

Odeschalki przez ks. Kajsiewicza. Zacząłem dopiero rozważać, co to jest rewolucya i rewolucyonista.

Więcej nie widziałem na oczy Ojców Resurrekcyonistów. Zwiedzałem przy pomocy braciszka, danego mi przez Rektora Collegium, wszystko co tylko było warte widzenia w Rzymie, wszystkie bazyliki intra et extra muros urbis. Zwiedziłem katakomby, gdzie sobie uszy odmroziłem, na Syberyi nieodmrożone, a w Rzymie to się zdarza, ponieważ wielka operacya słońca na zewnątrz katakumb. Zwiedziłem Collosseum, Panteon, w Watykanie pałac, jakoteż i Bazylikę św. Piotra, Cyrk starożytny i ogród Monte-Pincio, z którego śliczny widok. Najwięcej w Rzymie uderzają podróżnego sławne, stare wodotryski. Widziałem karnawał rzymski czyli włoski, przygotowania do niego i wjazd tryumfalny z placu di Popolo na Corso, wyścigi konne, hałasy i rzucania z okien domów kulki wapienne na przechodzących. Lud bardzo lubi te zabawy, cudzoziemca to gniewa. W Rzymie ogromnie grają w loteryą rządową, bardzo złe moralne skutki wynikają z tej instytucyi: nienawiść, zazdrość, kradzież z domu i marnowanie czasu. Poznałem w Rzymie między penitencyaryuszami z Bazyliki ś-go Piotra jednego Polaka, Franciszkanina, nazwiskiem Poluchowskiego, u którego spowiadałem się z całego życia, sądząc, że spowiednik światły, praktyczny i łagodny. Otóż mając wątpliwość, czy ksiądz-Polak grzeszy, lub nie, przyjmując od rodaków przysięgę na wypędzenie Moskali z kraju, pytam się o to owego spowiednika przy konfesyonale uprzywilejowanym. Spowiednik z góry na mnie, jak ów dawny ekonom lub karbowy na wsi polskiej, krzyknął: „w piekle jesteś! heretykiem! bo nastajesz na legalną władzę, Mikołaj bowiem był królem polskim, więc i jego syn Aleksander jest jego prawym następcą i królem polskim!!“ „A tyle przecież krwi się przelało i najezdzcą jest, jak mówi historya“, odpowiedziałem. A on na to: „Głupi jesteś, w piekle siedzisz po uszy; zły uczynek zrobiłeś, żałuj za ten występek. Cóż miałem robić? ale pomyślałem sobie, co za ludzi ma Watykan; ten jednak winien, który takich ograniczonych nieuków robi spowiednikami w Bazylice ś-go Piotra! Dostałem rozgrzeszenie i komunią św., którą przy-

jąłem na intencyą bytności mej w Rzymie u grobu świętego Piotra.

W parę tygodni udałem się do profesora historyi w „Sapiencyi“ ks. Ticciniego, którego radziłem się w powyższej kwestyi. Ów biskup i profesor Sapiencyi napisał mi wytłumaczenie jej, że Polacy mają słuszność i prawo do niepodległości swego kraju, że rząd dzisiejszy jest uzurpatorem i nieprzyjacielem jawnym i według ś-go Tomasza użyć można wszelkich środków roztropnych na zrzucenie jarzma nieprzyjacielskiego. Kopię tej odpowiedzi przesłałem ignorantowi penitencyaryuszowi u świętego Piotra, a rozmowa z owym światłym profesorem historyi dodała mi odwagi do dalszych moich prac na gruncie narodowym. Poznałem w Rzymie p. Sosnowskiego, rzeźbiarza, który miał dwie piękne pracownie. Widziałem u niego piękne rzeźby i przekonałem się, że był z powołania rzeźbiarzem; był to bardzo bogaty obywatel z Wołynia, całe swe mienie na to obracał, aby pracować na tem polu dla Polski. Dzieła jego są u św. Piotra, na Wawelu w Krakowie i u św. Krzyża w Warszawie. Poznałem różnych malarzy, rozmaitego gatunku ludzi: fantastyków, dziwaków i cicho pracujących robotników chełmskich.

Poznałem także w Rzymie trzech młodych unitów, którzy mieli być wysłani do Kijowa przez moskali do akademii schizmatyckiej, ale emigrować woleli niż poddać się woli Moskwy. Takimi byli Mosiewicz, Krypiakiewicz i Malczewski. Dwaj pierwsi źle wyszli a trzeci poddał się propagandzie Zmartwychwstańców i został biskupem na Węgrzech. Dziwnego charakteru ludzie! Nie było zgody między nimi. Godni zawsze politowania! Nie wiem dla jakich powodów Kulczycki Władysław i Gabryel Łuniewski wszędzie mi towarzyszyli i bardzo byli mi radzi. Kulczycki zawsze w ubiorze szambelana przychodził do mnie z wizytą. Ja byłem niezależny w Collegium — za życie odprawiałem msze święte na intencye Collegium i dopłacałem 12 skudów miesięcznie. Przypatrzyłem się życiu Pijarów: asceci i wzorowi profesorowie w szkole miejscowej (elementarka). Czterech assystentów skromnych starców i generał regularnie pierwsi byli na medytacyi.

Generalicya nasza codzień brała mnie na rekreacye południowe i wieczorne; wypytywali się o zwyczaje narodu i Pijarów polskich. Przy dobrem winie włoskiem nieraz starzy docinali mnie, że my się modlimy do Kościuszki i Dąbrowskiego, że mamy ich ołtarze. Ja na to im odpowiedziałem, że ich ołtarze są w naszych sercach i że łączymy męczenników narodowych z męczennikami wiary, ponieważ u nas w Polsce wiara katolicka z narodowością połączona. Niektórzy mi to potwierdzali a niektórzy uśmiechali się gdy im o tem mówiłem. Miałem prawo do pitancyj [1]) dodatkowej potrawy patrów. Kilka razy miałem mszę świętą w kaplicy św. Józefa, patryarchy naszego (celka gdzie mieszkał za życia w Rzymie). W tej kaplicy znajdują się szaty, garderoba i łóżko na którem sypiał. Pijarzy w Rzymie mają konwikt „Nazareno". Na wzór tego Stanisław Konarski założył na Zoliborzu; dla młodzieży szlacheckiej urządzony pięknie; i ja takowy później w Krakowie pragnąłem rozwinąć! Zwiedzałem nieraz ten konwikt w assystencyi protektora kardynała. Wszędzie Pijarzy byli przeciwni systemowi Jezuitów; umyślnie wszczynałem rozmowę o tych zakonnikach. Generał i asystenci uśmiechali się i potwierdzali me zdania. Przekonałem się, że taka sama walka we Włoszech co i u nas w systemie naukowym i wychowaniu. Rektor zawsze mnie ostrzegał, abym braciszka nie częstował w restauracyach, bo na Pijarów wiele ócz jest zwróconych.

Poznałem w Rzymie urządzenia i systemy nauk i wychowania różnych narodowości całego świata tzw. Collegia. Miałem szczęście poznać Konrada Piramowicza b. prowincyała OO. Reformatów prowincyi Małej Polski. Kapłan ten oczytany i wymowny pragnął zaprowadzić potrzebne nauki dla młodych Reformatów, t. j. w nowicyacie historyę Polski, powszechną literaturę polską, naturalną i niektóre żywe języki, ale starzy i zacofani patres ścigali go i oskarżali w Rzymie o jakieś niebezpieczne reformacye w zakonie; był więc zmuszony opuścić

[1]) Potrawa dodatkowa w zakonach.

kraj[1]). Zwiedziłem w Rzymie biblioteki publiczne: watykańską i dominikanów. Zachwycałem się galeryą znakomitych malarzy różnych wieków i jej obszarem. Zwiedziłem z wielką pobożnością wszystkie bazyliki i kościoły godne uwagi dla każdego podróżującego a tem bardziej dla katolika-kapłana. Prosiłem ks. Strozzego, krewnego rodziny Mastajów, aby mi wyrobił audyencyę u Piusa IX. Zgodził się i przyrzekł, że pójdzie ze mną dnia 23 Stycznia do Watykanu. Nie potrzebował on specyalnego pozwolenia przybycia do osoby Piusa IX. jako krewny i jako generał zakonu.

Napisałem w celi mojej pijarskiej 6 arkuszy memorandum stanu prawdziwego kościoła katolickiego w głębokiej Rosyi, nasz generał O. Perrando tę pracę moją poprawiał w języku łacińskim. Dnia 23-go stycznia 1863 r. o godzinie 4-tej po południu przybył do Collegium naszego O. generał Strozzi i zawiózł mnie do Watykanu. Ubrany byłem jako Pijar rzymski w fariolę, trzymając memorandum w ręku; weszliśmy przez salę audyencyonalną wielce obszerną, do małego pięknie, ale ubogo umeblowanego pokoju sypialnego Piusa IX. Był on wówczas słaby i miał rękę zawieszoną. Przedstawił mię O. Strozzi jako Polaka a Pius IX. serdecznie nas przyjął. Ukląkłem i ucałowałem rękę starca przyjaciela Polski. Kazał mi usiąść a dygnitarze rozmawiali po włosku. Po pięciu minutach odezwał się do mnie po łacinie Pius IX. „*Apud vos est revolutio hodie!*“ Nie mogłem się zoryentować na odpowiedź, ale na twarzy jego widziałem boleść i zmartwienie. Zamilkłem sądząc w duchu, że najwyższy kapłan bierze naszą pracę narodową za rewolucyę ogólną. Wtem poszedł do stolika swego i dał generałowi telegramy do czytania; głośno czytali je obydwa, że bandy Langiewicza, Kurowskiego i Padlewskiego pojawiły się dziś w lasach. Zrozumiałem teraz, że wybuchło na prawdę powstanie w Polsce. Ojciec św. udzielił mi błogosławieństwa pasterskiego a ja zosta-

---

[1]) Z tym ojcem Konradem r. 1864 w Czerwcu odbyłem podróż z Konstantynopola do Rzymu, z wielką bardzo korzyścią naukową, bo znał dobrze wszystkie miejscowości godne uwagi w całej tej przestrzeni geograficznej; dziś przemieszkuje w Wiedniu u OO. Reformatów.

wiłem moje memorandum na stole w jego pokoju. Czy to memorandum kto w Watykanie czytał lub nie, tego nie wiem i na tem skończyła się moja audyencya. Osoba Piusa IX. wielce mi się podobała i widziałem łagodność i ducha prawdziwego pasterza chrześcijaństwa w całem tego wyrazu znaczeniu. Wyszedłszy z tej biesiady duchowej podziękowałem ks. Strozzemu na wspaniałych schodach Watykanu za tak wielką przyjemność i szczęście, jakie mnie ta audyencya zrobiła. Poczem poszedłem do rodaków znajomych: Bronisława Zaleskiego, Gabryela Łuniewskiego i Władysława Kulczyckiego i rzekłem: „Powstanie w Polsce wybuchło, tak mi przed chwilą Ojciec św. powiedział na audyencyi o godzinie wpół do piątej po południu. Nikt z obecnych nie chciał wierzyć. Czekaliśmy z wielką niecierpliwością gazet wieczornych, aż wreszcie przekonaliśmy się, że depesze głoszą z Krakowa, z Warszawy, z Paryża, że bandy Kurowskiego, Langiewicza, Padlewskiego, pojawiły się w lasach. Każdy z nas spuścił nos na kwintę i rzekł głośno: „Nieszczęście! organizacya nie dojrzała — szkoda tej pracy narodowej.“

Każdy dzień dla mnie stawał się nieznośnym, cały obraz poświęceń tylu znajomych, przyjaciół, podwładnych, co noc i dzień przedstawiały się mi bardzo smutno. Polonia co dzień zgromadzała się w kawiarni na Corso. Co robić? i co się dzieje? oto były pytania każdego w szczególności. Spieszyłem się zwiedzić o ile mogłem wszystko wznioślejsze w Rzymie t. j. stary, chrześciański i nowożytny Rzym, bo już myślą moją była chęć wyrwania się z Rzymu do kraju. Wyraźnie oświadczyłem O. generałowi Perroudo i OO. asystentom jego, że nie mogę sypiać nocami, nie widzę nic w Rzymie i że muszę jechać do Krakowa, aby być czynnym dla braci moich. Z początku odradzali mnie, ale nic nie pomogło; szczęście, że miałem jeszcze tyle grosza, iż mogłem liczyć na własną kieszeń. Po usposobieniu dobrem ks. generała dostałem obedyencyę do Collegium krakowskiego i paszport papieski do Krakowa. Nic mnie już nie obchodziły wielkie pomniki ani bazyliki i dnia 11-go marca opuściłem Rzym nie wyrzekając się swoich. „Skoro mnie Austryacy lub Moskale ścigać będą znów przybędę do was“ rzekłem. „*Bene*

Patre Adame" rzekł generał i rektor. Pożegnałem się z braćmi i braciszkami i znowu tąż samą znaną drogą puściłem się do Krakowa naszego kochanego.

Pobyt mój w Krakowie.

od dnia 14 Marca 1863 r. do Kwietnia 1864 r.

O ile Kraków w pierwszych dniach Stycznia 1863 był pustem i obojętnem miejscem dla Polski przebudzonej, (jak zwykle wszystkie miasta z pod zaboru austryackiego), to po wybuchu powstania w Królestwie Polskiem ożywił się wielce i ubrał się w szaty i w ducha polskiego.

Skorom o godzinie 10-tej rano 14-go Marca b. r. przybył z Rzymu do Krakowa, prezentując komisarzowi austryackiemu p. Mayerowi paszport papieski, wypuszczony zostałem z wagonu. Przeczytałem na ulicy Lubicz plakat pogrzebowy donoszący o śmierci i pogrzebie byłego rektora uniwersytetu, Feliksa Słotwińskiego. Zostawiwszy me manatki w hotelu polskim, udałem się wprost na exportę. Na tej exporcie zobaczyłem się z opatem Słotwińskim i naszym krewnym Rudawskim Kazimierzem, którzy zobaczywszy mię zdradzili się niezadowoleniem z przybycia mego. Złożyłem nazajutrz moją obedyencyę generalską w konsystorzu krakowskim, który tę obedyencyę zaraz przesłał do naszego prowincyała ks. Kasterskiego w Warszawie dla jego wiadomości i użytku. Władza moja warszawska dostawszy to odwrotną pocztą, zaliczyła mnie *im familiam Collegii Cracoviensis* naznaczywszy obowiązki Pijara, a przeznaczywszy mi pensyę i życie. Ks. Górnicki, b. nowicyusz pijarski a proboszcz w Pleszowie, był administratorem naszego Collegium z polecenia konsystorza krakowskiego i prowincyała naszego. Ów administrator, z natury przebiegły i chciwy grosza, przeznaczył mi dwa pokoje w Collegium i życie w restauracyi hotelu drezdeńskiego; westyarza zaś czyli pensyi żadnej nie dał. Odprawiałem msze w kościele pijarskim, śpiewałem sumy w niedzielę na intencyę Collegium a o 12-tej godzinie miewałem w Pleszowie, w jego własnej parafii, kazania.

W kilka dni zdałem examin na aprobatę z polecenia biskupa Adama Gałeckiego przed ks. dr. Wilczkiem, prostego ducha góralem karpackim, prof. akad. krak. a z usposobienia zwolennikiem systemu Józefińskiego.

Kraków pod względem klimatu, był nieznośny; wówczas powietrze węgla kamiennego i wyziewy kanałów kamienicznych były zabijające, gdyż jeszcze nawet nie myślano o kanalizacyi w mieście. Po załatwieniu się z władzą konsyst. dyec. krak. i po ulokowaniu się legalnem w naznaczonem mi mieszkaniu w Collegium Piarskiem, wyszedłem dopiero swobodnie na rynek krakowski. Pierwsze spotkanie moje ze znajomymi, było z Gustawem Zakrzewskim i Teodorem Jasińskim, prawymi i energicznymi obywatelami z Podlasia a ci przedstawili mnie Teodorowi Cieszkowskiemu (Ćwiekowi). Przywitanie było serdeczne i przyjacielskie. „Gdzie mieszkasz?“ pytali mnie. „U Pijarów na ul. św. Jana“ odpowiedziałem. „A więc jutro przybędziemy do ciebie o godzinie 10-tej rano“ rzekli. „Dobrze wiarusy“ odrzekłem.

Na czas przeznaczony przybyli owi obywatele, nie tylko sami, ale z nimi przyszedł Aleksandrowicz aptekarz, burmistrz ze strony Rządu Narodowego dla Krakowa, komisarz Rządu Narodowego Jan Mańkowski (ten sam, którego poznałem na zjeździe duchowieństwa polskiego dyecezyi Podlaskiej), była i strona oskarżona. Ja wyszedłem jako ignorus nie chcąc być świadkiem nieznanej mi sprawy. Dowiedziałem się po kilku godzinach od tych moich znajomych, że było to śledztwo o pieniądze, które wziął na broń dla Województwa Podlaskiego, dla oddziału Ćwieka a nie dostarczył takowej. Źle się tłómaczył i były wielkie poszlaki, że wysyłka broni nie została złapaną przez Austryaków, bo wówczas rząd austryacki nie przeszkadzał uzbrajać się publicznie na placach i błoniu przeciw Moskalom. Ten kupiec wiedząc, że mnie o tym sądzie opowiadano, bo odbył się w mem mieszkaniu, głosił po mieście, policyi krakowskiej i ks. Gałeckiemu biskupowi, że u mnie odbywają się sądy rewolucyjne.

Przez trzy miesiące w Krakowie t. j. przez Styczeń, Luty i Marzec r. 1863 było bardzo wesoło. Młodzież z całej Polski i z za granicy przybywała, roiła się i uzbrajała. Ćwiczyła się pieszo i konno po placach i na błoniach. Rząd austryacki

zezwalał na organizacyę powstańczą więc nic nie było skrytego. Wszyscy dziwowaliśmy się, że Wiedeń nie trzyma z Petersburgiem. Polska dyplomacya z Paryża bardzo pocieszające głosiła raporta. Ale trzeba było nie zapominać o tym pewniku historycznym, że trójca polityczna od wieku w Polsce zgodnie postępowała i ze zgubą dla Polski.

Ciekawy byłem bardzo widzieć obóz polski i miałem listy z Rzymu do komitetu centralnego od panów Łuniewskiego i Kulczyckiego w sprawie kanonizacyi błogosławionego Jozafata. Otóż udałem się do obozu Langiewicza, bo w jego obozie był członek rządu tymczasowego p. Tomnicki, który odbierał raporta od przybywających. Kapelanem był ks. Kamiński; robię tu o nim wzmiankę. Ks. Paweł Kamiński, ex Zmartwychwstaniec, ex Missyonarz warszawski zmiennego charakteru i lekkiego życia, narobił wszędzie podłości i plamił godność polskiego kapłana. W roku 1862 będąc aresztowanym we Włocławku dał słowo kapłańskie żandarmom w drodze, że nie ucieknie, a jednak w nocy umknął i ci byli odpowiedzialni i karani przez rząd moskiewski. W obozie wichrzył i podburzał jednych przeciwko drugim. Sprowadzał demimonde do obozu z Krakowa. We Francyi bawił się w handlarza obrazów i zbierał składki na dom mający być instytucyą narodową. Narobiwszy długów umknął z Francyi do Londynu. Skoro powstała walka kulturkampfu w całych Niemczech, zapisał się do partyi rządowej pruskiej, do Staro-Katolików; był proboszczem ich w Katowicach i agentem Bismarka. Opuszczony przez Ślązaków poczciwych, miał być bitym; umknął więc z Katowic i w nędzy życie zakończył — gdzie już nie pamiętam. Zawsze taki koniec czeka szpiegów i ludzi bez charakteru.

Serce się cieszyło, że czyn nastał, ale przychodziła natychmiast myśl, że wczesne powstanie nie przyniesie dobrego skutku. Pobywszy w obozie 48 godzin przybyłem do Krakowa. Z każdym dniem wielu znajomych z różnych stron Polski przybywało do Krakowa. Gazeta „Czas“ „Chwila“ rozbudziły ducha wojowniczego, dawały biuletyny wojenne o rozmaitych oddziałach powstańczych na całym obszarze Polski i śmiałych zwycięstwach opisanych w raportach naczelników wojskowych, że ten ruch jest powstaniem narodowem. Szlachta słabsza z pod moskiew-

skiego zaboru zmykała tchórzliwie ze stanowisk swoich; rodziny prawe, żyjące tradycyą dziadów swoich, nie lękały się prześladowań rządu najezdniczego i pozostały w kraju, ale tych było bardzo mało. Żaden arystokrata polski nie poszedł za dobrym przykładem Andrzeja Zamojskiego. Jedni uważali, że to krwawa opozycya przeciw brance wywołanej przez Wielopolskiego, drudzy, że ogólne powstanie polskie. Członkowie komitetu rozjechali się z Warszawy do obozów, chaos był wielki. W Lutym niektórzy ze szlachty w Krakowie, na ich czele Leon Chrzanowski, Skorupka, Grabowski ogłosili Langiewicza Dyktatorem i wręczyli mu w imieniu komitetu centralnego nominacyę. Porucznik pruski przyjął tę godność, do której nie dojrzał. Członkowie komitetu centralnego dowiedziawszy się o tem przysłali do Krakowa członka Rządu Narodowego Stefana Bobrowskiego. Mąż ten postępował dwulicowo. Protestował publicznemi plakatami przeciw dyktaturze Langiewicza, której przedtem był zwolennikiem [1]; dawniejszych sprzymierzeńców w proteście nazwał zdrajcami i pod sąd publiczny ich wezwał. Czytałem taki plakat przylepiony na hotelu saskim.

Demoralizacya wielka z tego powodu powstała w Krakowie. Młodzież podzieliła się na dwa obozy — krzyk się

---

[1]) Z ust ks. Mikoszewskiego i z jego pamiętników dowiedziałem się, że Agaton Giller i Bobrowski, którzy przy decyzyi ogłoszenia powstania byli przeciwnikami Mierosławskiego, tajemnie postanowili ogłosić dyktatorem Langiewicza. Bobrowski wydał pieczątkę Rządu Narodowego, wygotowano akt przyznający dyktaturę Langiewiczowi, a Mierosławski mając w ręku legalną nominacyą na dyktatora, nie chciał ogłaszać się aż na placu boju wobec wojska polskiego.

W Krakowie w skład sądu narodowego mającego zbadać sprawę fałszywego ogłoszenia dyktatury Langiewicza wchodzili obywatele: Kruszewski generał, Rogawski Karol i Wolniewicz Włodzimierz. Stanęli przed tym sądem oskarżeni o ten występek i nadużycie władzy Rządu Narodowego: Grabowski, Kołaczewski i Siemiński w r. 1863. Jaki wynik tego sądu — nie wiem i od nikogo nie mogłem się dowiedzieć.

W organizacyi narodowej w Krakowskiem i Galicyi Zachodniej wielce czynni byli obywatele: Mieczysław Chwalibóg, syberyjczyk, i Noskowski, szwagier Mieczysława i Szymona Darowskich, ale wobec ogólnej apatyi i wskutek wichrzeń partyi wsteczników nie mogli rozwinąć swej działalności i organizować mieszkańców Galicyi i Krakowa.

podniósł okropny na tych panów, którzy radzili w hotelu Saskim, aby wyzwać na pojedynek Bobrowskiego; był to człowiek wzroku krótkiego i znękany. Pomimo zakazu Rządu Narodowego pojechał na miejsce wyznaczone i został zabity przez Grabowskiego pod Dreznem — Grabowski bowiem los wyciągnął, że ma wyzwać Bobrowskiego. Wówczas to zawiązała się organizacya w Krakowie, bo przedtem nie było żadnej. Poznałem się z Żulińskimi Józefem i Tadeuszem, autorami organizacyi miejskiej krakowskiej, — doświadczonymi, skończonymi akademikami z Kijowa: aresztowani przez Austryaków, wydaleni zostali z Krakowa. Poznałem się również z Bochenkiem, ś. p. profesorem akademii, Józefem Szujskim, ukończonym akademikiem krakowskim, Gebhardem Zygmuntem i Filippim, rzeźbiarzem, który łączył wszystkich dobrych patryotów u siebie. Pragnęliśmy całą organizacyę oddać w ręce miejscowe.

Wielu szlachetnych młodzieńców pospieszyło do obozu Kurowskiego, który przysposabiał napad na Miechów. Kwiat młodzieży zginął w tej bitwie bez żadnego rezultatu. Wielu znów przybyło z kraju po broń — słowem straszny był chaos; trzeba było podzielić czynności odpowiednie, czemu też nieco zaradzono, ale młodzież nie przyzwyczajona do wojskowości zaczęła pod różnemi pozorami przybywać na odpoczynek do Krakowa. Działy się nadużycia. Niektórzy woleli bawić się w organizacyę, niżeli stać na pikietach obozowych. Trzeba było zmuszać młodzież do obozu tak, że przekupki w dzień biały na linii A—B chodniki zamiatając, wołały do spacerujących: „A do obozu polskiego!“

W Czerwcu 1863 przyszło polecenie z Warszawy, aby wypędzić ks. Goliana z Krakowa za jego burzliwe kazania. Radzili się mnie, co mają zrobić, bo Golian mieszkał u brata mego opata. Ja poradziłem napisać rozkaz do opata, aby Goliana ostrzegł i zakazał mu mówić kazań. To polecenie sam Golian przeczytał i wyjechał do Kamienia, rezydencyi Opata Słotwińskiego, kanonika Lateraneńskiego.

Po ukończeniu walki krwawej z Moskalami wrócił ks. Golian do Krakowa i był jedynym mężem, który budził ducha narodowego. Broszura jego p. t. „Moderanci nasi“ znakomita, bo przeciw Stańczykom i szlachcie próżniaczej naszej powsta-

wała śmiało. Ks. Zygmunt był dobrym profesorem w akademii krakowskiej i dobrym pasterzem w Wieliczce, umiejącym przebaczać urazy drugim, wspomagać radą i groszem biedne wdowy. Wszędzie odnawiał kościoły. — Nie umiał froterować salonów. Mógł on powiedzieć o sobie: „*Omnia mea mecum porto*“ t. j. serce szlachetne, odwaga obywatelska i wiedza teologiczna — oto jedyne jego bogactwo! W życiu całem miał straszny „pech“ (jak w Galicyi mówią).

Przyszło drugie polecenie, aby skompromitować biskupa Gałeckiego za jego nieprzychylne dążności wobec sprawy narodowej i pozbyć się go z Krakowa; był on bowiem na to mianowany, aby z duchowieństwa krakowskiego porobić Austryaków według szablonu Józefińskiego. Chciano go obić na ulicy. Ja to polecenie w hotelu saskim podarłem, zabroniłem powstawać przeciw biskupowi a całą odpowiedzialność wziąłem na siebie.

Austryacy zaczęli w Kwietniu łapać i aresztować powstańców; po kilku dniach aresztu na zamku lub w kryminale wysyłali ich po kilkunastu na internę do Ołomuńca, Igławy, do Königgrätz i lokowali w kazamatach. Zapanowała wielka nędza między internowanymi; zaczęły przychodzić listy od nich do Krakowa przedstawiające straszny stan ubóstwa; żądali i błagali o odzież i obuwie, bo tam Austrya nic na internowanych nie dawała. Adolf Aleksandrowicz, burmistrz Krakowa [1]) ze strony Ławy polskiej, upoważnił mię do złożenia komitetu Polek w celu zbierania bielizny, obuwia i grosza na internowanych i na biedne wdowy. Zaprosiłem panie Wilkoszewską, Ostrowską, Wodzicką Franciszkową, Żebrawską i Karolinę Krynicką, aby raczyły zająć się ukonstytuowaniem komitetu przez przybranie sobie więcej rodaczek. Komitet ten w krótkim czasie świetnie rozwinął się i wysłał mnie za wiedzą komisarza Rządu Narodowego do Ołomuńca w celu przekonania się naocznie o położeniu naszych i zaprowadzeniu stałej korespondencyi między temi miejscowościami a Krakowem. Na miejscu nędzę i biedę znalazłem i pełnomocnika do tej korespondencyi naznaczyłem

[1]) Burmistrzem zaś ze strony rządu austryackiego w Krakowie był p. Seidler mianowany przez ministra.

a raport złożyłem komitetowi obywatelek, burmistrzowi i komisarzowi Rządu Narodowego. Do organizacyi miejskiej narodowej w Krakowie a urządzonej na sposób warszawski należeli: Józef Szujski, Ludwik Kubala, Tadeusz i Józef Żulińscy, Darowski Szymon, Szczepański Alfred, Cyfrowicz i Gajczyc. Miasto podzielone zostało na okręgi. W każdym okręgu był naczelnik wybieralny a potwierdzony przez Ławę krakowską i komisarza Rządu Narodowego, a tym był już Zaboklicki (Majewski Władysław, brat Karola z Warszawy). Celem organizacyi miejskiej było wyszukanie mieszkań dla powstańców, opodatkowanie każdego właściciela kamienicy i czuwanie nad moralnością i rygorem wojskowym, aby mieszkańcy i powstańcy ani słowem ani czynem nie obrażali rządu austryackiego. Wydział był osobny dla chorych i dla rannych. Kasyerem głównym organizacyi narodowej w Krakowie był Zakaszewski, a kontrolorem Józef Opieński, syberyjczyk. Ja byłem mianowany naczelnikiem jednego z okręgów.

Na jednej z sesyi zebranej pan Józef Szujski, w czamarze i palonych butach, należący do redakcyi pisma tajemnego „Naprzód", wniósł projekt, aby forytować na króla polskiego brata cesarza, Arcyksięcia Maksymiliana. Obecny Darowski, konspirator czynny z r. 1848, zawołał: „O hola panie Józefie! wprzód wypędźmy Moskali za Dniepr a nie o królu myślmy teraz, widzę, że pragniesz zostać docentem w uniwersytecie krakowskim". Pan Józef oburzony ścisnął wargi lecz dosiedział do końca sesyi. Na tem posiedzeniu rozdawał obecnym Józef Szujski swe czasopismo „Naprzód" [1]) z wielkiem ciepłem i rewolucyjnie napisane jeszcze w początku ruchu narodowego r. 1861. Na dalszych sesyach naszych nie zjawiał się p. Józef ani brał udziału w sprawach narodowych. Żywioł miejscowy w Krakowie nie chciał zajmować się organizacyą, musiano więc z Kongresówki przyjmować młodych i rozdawać im różne urzęda administracyjne.

---

[1]) Czytelnik znajdzie je w Bibliotece Jagiellońskiej, jeżeli go nie wydobyli ztamtąd stańczycy, bo oni później wraz z p. Józefem wszelkich sposobów używali, aby je z rąk rodzin wydobywać, wykupywać i palić, aby ani śladu po niem nie zostało. — Bałucki z Anczycem wydawali „Kosyniera".

W Lipcu 1863 r. wezwany zostałem przez komisarza Rządu Narodowego do mieszkania ks. Laurysiewicza, Bazylianina z Chełmu, znakomitego kaznodziei i organizatora zjazdu Horodelskiego, znanego mi z Chełmu, który pełnił obowiązki proboszcza u Św. Norberta przez Nuncyusza wiedeńskiego przeznaczone mu w Krakowie. Tam znalazłem deputacyą Rusinów Wschodniej Galicyi pod przewodnictwem poważnego obywatela Ławrowskiego i kilku Rusinów, których nazwisk nie pamiętam. Byli także obywatele z Królestwa Polskiego zaproszeni przez pana Majewskiego Władysława, komisarza Rządu Narodowego. Po przedstawieniu się wzajemnem nastąpiła wymiana zdań między Rusinami a Lachami. Wymogi Rusinów były przedwczesne i do niczego nie prowadzące. Ja choć najmłodszy z obecnych zabrałem głos. „Jakto moi panowie“ rzekłem „żądacie od Rządu Narodowego ziemi ruskiej dla siebie, języka, szkół i praw gminnych? To wszystko zawczesne. Rząd Narodowy dziś nie ma piędzi ziemi wolnej i oczyszczonej z Moskali. Cóż wam może dać ten, co sam nic nie ma? Prawa narodowe nie tak łatwo się zdobywa! Historya nam mówi, że krwią, mieniem i poświęceniem całych pokoleń, a nie językiem przy zielonym stoliku. Formujcie pułki ruskie ze sztandarami św. Michała, brońcie Podlasia, Brześcia litewskiego, Żytomierza, i waszej rzeki Bugu etc., obrządku i religii waszej, którą Moskale chcą zniszczyć a schizmę zaprowadzić, wypędźcie wraz z Lachami Moskala, wspólnego nam wroga, a skoro sami zostaniemy, krzywdy brat bratu nie zrobi. Skoro będzie język ruski lepszy od polskiego, poezya wznioślejsza w waszym języku, to wszyscy kształcić się będziemy na nich. Obrządku i ogniska waszego domowego Lachy nie naruszają, ale łączą się w małżeństwa wzajemne i stanowią jedno ogniwo wspólnego łańcucha. Byłem w sercu Rusinów, bo w Chełmie proboszczem; wzajem wypełnialiśmy obrządki religijne i wspólnie radziliśmy o wypędzeniu schizmatyków moskiewskich z ziemi polskiej — to niech gospodarz ks. Laurysiewicz potwierdzi.“ Komisarz Rządu Narodowego był bardzo kontent z tego mego przemówienia i sesyą zakończył.

Otrzymałem z Warszawy, z Rządu Narodowego, adres do Piusa IX jako głowy kościoła katolickiego zapewniający Go, że Polacy jak dawniej tak i dziś są wiernemi dziećmi kościoła katolickiego. Z tym adresem udałem się natychmiast w myśl instrukcyi danej mi przez Rząd Narodowy do Poznania, abym osobiście u ks. Arcybiskupa Przyłuskiego, Prymasa polskiego wyprosił potwierdzenie, że ten adres pochodzi od Rządu Narodowego w Warszawie. Namówiłem Opata Słotwińskiego znającego język włoski, aby go zawiózł i doręczył w Watykanie osobiście Piusowi IX, który był bardzo ucieszony tym aktem, ale rzekł do wręczającego, że jego nieprzyjaciele Garybaldczycy walczą w obozach polskich. A opat odpowiedział dość dowcipnie Ojcu św.: „*Unus Nullo tantum.*“ Pius roześmiał się i rzekł: „*Boni Poloni*“. Nullo był w obozie ze strony Garibaldiego.

Zbierałem składkę osobiście u duchownych w Krakowie na więźniów w Ołomuńcu i rannych będących w szpitalach w Krakowie a to w tym celu, aby cywilni nie nachodzili kanoników i proboszczów bojaźliwych. Do tego byłem upoważniony przez komisarza Rządu Narodowego i przez komitet pań. Osobiście przekonałem się, jak wielkie skąpstwo i obojętność panuje między duchownymi w Krakowie. Jeden tylko biskup tarnowski mieszkający w plebanii parafii Floryańskiej na Kleparzu ks. Wojtarowicz — który za swoją cywilną odwagę, że sprawców rzezi galicyjskiej wyklął publicznie z ambony, pozbawiony został swej dyecezyi i był jakby internowany w Krakowie — zachwycił mnie swoją szczerą gotowością i datkiem; rzekł do mnie: „Biedna Polska rozdrapana potrzebuje pomocy, przyjdź księże jutro, sprzedam niektóre rzerzy a dam na sprawę 300 florenów“ [1]). Wszelki grosz zebrany składałem

---

[1]) Ks. kan. Scipio nietylko, że nic nie dał, ale poszedł i denuncyował policyi austryackiej, że młody Słotwiński Pijar niepokoi kanoników. Chełpił się tym czynem wielkiej odwagi w zakrystyi katedralnej; ten sam ks. Scipio w mojej nieobecności w Krakowie w domu Janów hr. Tarnowskich przy ulicy Karmelickiej zamieszkałych dowodził, że ks. Słotwiński pijar, zabrawszy kapitały narodowe z Krakowa, hula w Paryżu po Polach Elizejskich w towarzystwie płci pięknej, i że kupił sobie kamienicę. Dowiedziawszy się o tem od ks. kan. Górnickiego i ks. Pobud-

na ręce kassyera p. Opieńskiego i Aleksandrowicza burmistrza narodowego w Krakowie.

Skoro Austryacy zaaresztowali Aleksandrowicza, dnia 1-go marca 1864 r. w dzień ogłoszenia stanu oblężenia, udaliśmy się do Ferdynanda Weigla będącego sekretarzem w uniwersytecie i ofiarowaliśmy mu urząd burmistrza organizacyi krajowej, ale ten obywatel wymówił się i mnie organizacyi polecił. Ja przyjąłem pieczątki i urząd ten na pewien czas, to jest, dopóki organizacya kogoś odpowiedniejszego by nie znalazła, boć przecież musiał być ktoś, co dzierżył pieczęć i akta rządu Narodowego. Do pomocy wziąłem akademika Leona Cyfrowicza chcąc wciągnąć miejscowy żywioł akademicki i rzemieślniczy do organizacyi. Aby zaś odsunąć oko policyi austryackiej i uniknąć języka malkontentów i wsteczników, ogłosiłem plakatami kazania po francusku w kościele Pijarów.

Księża Lazaryści francuscy (XX. Missyonarze na Kleparzu), wraz z zacnym b. kanonikiem katedralnym dyecezyi Żytomirskiej Ożarowskim [1]), członkiem Zgromadzenia Śgo Wincentego à Paulo przybyłym z Paryża w celu założenia tego Zgromadzenia na Kleparzu — zamieszkali w Collegium Pijarskiem i byli sąsiadami mymi, zachowując wszystkie reguły swego Zgromadzenia; mówili kazania z wielką korzyścią po francusku.

Wielka liczba języków trąbiła w mieście z tego powodu, że Słotwiński Pijar przeszedł do partyi arystokratycznej i sprowadza cudzoziemczyznę do Polski. Ja byłem z tego zadowolony, mogłem rozwinąć działanie moje energicznie tem bardziej,

---

kiewicza i panów Wasiutyńskiego i Ruszkowskiego (mentora młodego Tarnowskiego) jako obecnych, wezwałem listem ks. Scipiona, aby odwołał potwarze i plotki na mnie rzucane. — Wielce mnie unikał na ulicy do samej śmierci. Jak żyłem i czem się zajmowałem w Paryżu przez lat 7, to niech konsystorz Paryski, mój proboszcz z Paryża i koledzy obecni w Krakowie zaświadczą — a grosz zbierany, nie jako uzurpator ale upoważniony, na rannych i więźniów politycznych złożyłem do kasy narodowej, byli tego świadkami dziś żyjący p. Op. i ś. p. Zakaszewski rachunki zresztą miasta Krakowa w Paryżu komisyi weryfikacyjnej dowieść mogą, że nie byłem uzurpatorem.

[1]) Ks. Ożarowski został Kamedułą na Bielanach krakowskich i tam zakończył żywot w stanie świątobliwym. Był wzorem Kapłana-Polaka.

że już był stan oblężenia; już zaczęło wchodzić w praktykę szufladkowanie (ten wniosek postawił L. C. na sesyi reakcyonistów w domu Jawornickiego kupca na linii A—B) polegające na tem, że wykazywano policyi krakowskiej pocztą miejską gorętszych i energicznych rodaków.

Do Collegium naszego sprowadził się ks. Kacper Kotkowski, kanonik sandomierski, proboszcz z Ćmielowa, wielce szanowany przez wszystkich, czynny w sprawie narod.; od r. 1861 był wojewodą sandomierskim. Przez duchowieństwo obrany mężem zaufania dla dyec. sandom., stały powiernik w obozie Bossaka (Hauke). Skompromitowany wobec rządu i ścigany przez Moskali, zmęczony niezmiernie życiem obozowem, przybył do Krakowa; w kilka dni z klasztoru OO. Reformatów wzięty został przez Austryaków i osadzony w kryminale wraz z Ojcem Gwardyanem Cybulskim. Bossak dowiedziawszy się o tem nieszczęściu, zaklął rząd narodowy, aby natychmiast jego przyjaciela, ks. kanonika, uwolnił z więzienia.

Organizacya krakowska dowiedziawszy się, że ks. Prałat Teliga jest kolegą seminaryjskim ks. Kotkowskiego, wzięła od tegoż Prałata 12000 złr. wal. a. kaucyi na opłatę wypuszczenia na wolną stopę ks. Kotkowskiego. Rząd austryacki zgodził się na to. Wyszedłszy więc z kryminału a nie chcąc narażać OO. Reformatów, wynajął sobie pokój duży w Collegium naszem od ks. Górnickiego, administratora.

Rząd moskiewski dowiedziawszy się przez swych szpiegów, że ks. Kotkowski jest na wolnej stopie, i że może znów przybyć do województwa sandomierskiego w celu organizowania nowych oddziałów, wyjednał u rządu austryackiego powtórne aresztowanie go, ale organizacya krakowska powiadomiła o tem interesenta. Ks. Kotkowski porozumiewał się ze mną i komisarzem Rządu Nar. co ma uczynić, czy opuścić Kraków, i czy powiadomić o tem ks. Teligę? Komisarz R. N. zniósłszy się z Warszawą telegrafem, dał w kilka godzin odpowiedź, która brzmiała: „Zaręczyć ks. Teligę, że mu kaucya będzie zwrócona, a mąż zasłużony narodowi niech jedzie za granicę“. Oświadczyłem to ks. Telidze wobec ks. Kotkowskiego; zgodził się na to; pieniądze zwró-

cone zostały ks. Telidze przez Rząd Narodowy, a ks. Kotkowski wyjechał do Paryża.

Rząd moskiewski rozgniewany, że nie dostał go w swe szpony, polecił oddziałowi wojskowemu, wkroczyć na plebanią jego, spalić ją wraz z biblioteką, wszystkiemi remamentami i pięknemi obrazami. Cała organizacya województwa sandomierskiego i kieleckiego miała u niego swoje bióro. Ks. Górnicki, administrator naszego gmachu, oskarżył mnie przed biskupem Gałeckim, jakobym ja z Collegium zrobił centrum dla powstańców i rewolucyonistów, chociaż Collegium było wynajmowane ludziom cywilnym przez niego samego. Wszyscy prawie dowódzcy oddziałów rozbitych przybywszy na kilka dni na odpoczynek do Krakowa odbywali sesye w naszem Collegium. Generał Kruk (Heydenreich) złożył u mnie całą kasę zabraną Moskalom pod Żyrzynem. Musiałem z paniami suszyć papiery 25-rublowe i prasować każdy z osobna, ponieważ te 50000 rs. były przez jakiś czas w worku — w rzece skryte; w porządku przy świadkach oddałem takowe wobec generała Kruka komisarzowi Rządu Narod. na organizacyę wojenną województwa lubelskiego.

W Krakowie powstało wzburzenie umysłów i wielkie zaniepokojenie w duszach polskich. Wiadomość nadeszła do Krakowa, że Langiewicz jako dyktator potajemnie opuszcza swój obóz, że jest aresztowany z panną Pustowojtów na granicy galicyjskiej i pod eskortą przywieziony do Tarnowa a z Tarnowa w powozie wspólnie z panną Pustowojtów odstawiony na zamek krakowski. Pani hr. Franciszkowa Wodzicka z Wilkoszewską i Ostrowską rano znalazły się przy ich powozie w celu przyniesienia pomocy; z drugiej strony powozu zjawił się Leon Chrzanowski, dający kartkę i ołówek Langiewiczowi, aby ten zdał władzę dyktatorską na jego osobę. Langiewicz tyle jednak miał odwagi cywilnej, że mu rzekł: „Dyktaturę przyjmuje się lub bierze się w obozie a nie z powozu; przepraszam Pana, tego nie mogę uczynić“. Powyższą rozmowę słyszały wyż wspomniane obywatelki i nam o tem raport na sesyi złożyły. Rząd austryacki na ulicach Krakowa strzelał do bezbronnych przy rogu ulicy Szpitalnej i Małego

Rynku. Patrole wraz z policyą biły kolbami niewiasty i powstańców pytając o „pass“, rewizya nieustanna bywała po domach; kryminał, areszt pod telegrafem i zamek był zapełniony powstańcami i członkami organizacyi. Przybycie Mierosławskiego do Krakowa wraz ze sztabem i zwolennikami jego wzniecił wielką panikę w organizacyi miejskiej i u urzędników rządu narodowego. Partya białych opierając się na relacyach z hotelu Lambert głosiła na pewno interwencyę rządów francuskiego i angielskiego. Partya ruchu narodowego na mocy rozmowy Mierosławskiego z księciem Napoleonem miała wiadomość, że żadnej interwencyi nie będzie, że na własne tylko siły trzeba liczyć! Co dzień w domu Wiktora Słotwińskiego parę godzin wieczorem przy herbacie (na ul. Poselskiej) z Mierosławskim przepędzałem. Wyrobiłem sobie osobiste me przekonanie o tym mężu; był on człowiekiem jakby stworzony do propagandy, zawsze prawdy rzecznikiem i umiał sobie zdobywać serca młodych rodaków, ale był czystym polskim szlachcicem t. j. miał wychowanie kobiece, nie mężczyzny silnego charakteru, a tem mniej żołnierza. Więc też podobnymi sobie zwykle otaczał się. Jeden tylko Kurzyna nie podzielał postępowania swego naczelnika. Komitet białych chcąc się pozbyć partyi Mierosławskiego, po sklepach, ulicach i restauracyach tak głośno rozmawiał o Kurzynie, że policya austryacka weszła na trop jego pomieszkania, zaaresztowała i uwięziła go na zamku. Z polecenia Rządu Narod. tworzono oddział dla Mierosławskiego, który przy samem wyjściu na plac boju przez Austryaków rozproszonym został. Mierosławski więc opuścił Kraków, i na tem skończyła się jego dyktatura. W parę tygodni potem udało nam się wyrwać Kurzynę z zamku, dostarczywszy mu odpowiednich funduszów na wyjazd do Paryża. Niektórzy z organizacyi miejskiej raportowali mnie do rządu narodowego, jako nieprzychylnego i niebezpiecznego obecnemu działaniu. Rząd narodowy polecił organom swoim wziąść mnie i moje mieszkanie pod ścisły dozór, a gdyby Pijar robił spisek przeciw rządowi narodowemu, surowo go ukarać. Rudawski Kazimierz w sklepie korzennym Fuchsa słysząc, jak ci z organizacyi publicznie o mej osobie odzywali się, chciał ich kijem jako szpiegów moskiewskich walić i już zaczął swą

sztukę, bo to była dusza gorąca, ale obecni wstrzymali go siłą, a owi, którzy mieli nademną czuwać, dali drapaka ze sklepu. Obecni tam obywatele Alexandrowicz aptekarz, Ćwiek (Cieszkowski Kajetan) i Jasiński Teodor opowiadali mi zaraz tę awanturę. Z Warszawy przybyli Sokalski z Biernackim, aby odciągać młodych od organizacyi; byli to z partyi Wielopolskiego i rządu moskiewskiego wysłańcy, a sądzę, że ich wysłał Karol Majewski, żeby wszędzie wpajali obojętność ducha.

W kościele pijarskim często bardzo odbywały się nabożeństwa żałobne wśród wielkiego udziału kolegów i przyjaciół zmarłych w szpitalach krakowskich lub poległych na placu boju. Te nabożeństwa zamawiane były przez naczelników oddziałów i kapelanów. Urządzeniem katafalku i dostarczeniem światła zajmował się komitet Polek złożony z pań: Franciszkowej hr. Zofii Wodzickiej, Wilkoszowej krawcowej i Ostrowskiej obywatelki.

Na cmentarzu krakowskim wypisane były na mogiłach tymczasowe imiona, nazwiska nieboszczyków, dat, miejsc urodzenia i bitew, w których polegli, a to czyniono w celu objaśnienia rodzin rozrzuconych po całym obszarze Polski. Te chorągiewki nie podobały się policyi austryackiej, która żądała od bis. Gałeckiego, aby z urzędu swego polecił dziekanowi Piątkowskiemu takowe zniszczyć, co też ci Józefiniści posłuszni rozkazowi spełnili. Wielkie stąd powstało oburzenie na władze duchowne w mieście, i chciano ich za to dotkliwie ukarać. Udało mi się tę burzę zażegnać, a ks. Piątkowski polecił swemu zakrystyanowi i zarządzcy cmentarza niezniszczone jeszcze chorągiewki napowrót powtykać. W gmachu pijarskim odbywały się częste narady wodzów, złożone z Kruka, Traugutta, członka Rz. Nar. i ministra wojny Bossaka, dalej Jordana, Czachowskiego starego i t. d. — i sądy wojenne. Z polecenia Kruka, jako naczelnika wojennego województwa podlasko-lubelskiego, wzywałem z urzędu ks. St. Brzózkę rannego, aby przybył na odpoczynek i na leczenie się do Krakowa, i żeby go Moskale z oczu stracili, bo ustawicznie go ścigali, a ja miałem go zastąpić. Ksiądz Stanisław Brzózka odpisał mi, że żadną miarą sumienie mu nie pozwala złamać przysięgi danej wśród pola

bitwy, że dopóki Moskale nie będą z Polski wypędzeni, raczej zginie niż z placu boju ustąpi. To pismo oddałem Krukowi [1]).

Nieraz policya austryacka wpadała rano do mego mieszkania, chcąc aresztować powstańców u mnie nocujących, ale nie udawało się jej nigdy, ponieważ stolarz Tabulski, mój sąsiad lub jego czeladnicy prawie za każdą razą dostarczali drabiny, a nocujący w ten sposób zmykali. Stróż kolegijny „stary Józef“ był wielkim patryotą, dzień i noc czuwał i zawiadamiał mnie, jeśli jaki szpicel przyszedł do niego z zapytaniem o moich czynnościach i zajęciach. Jakby Opatrzność zesłała do mnie księży warszawskich, którzy zmuszeni byli opuścić Królestwo ścigani przez policyą i rząd moskiewski, a tymi byli księża: Kazimierz Żuliński i Tadeusz Stodulski, wikaryusze parafii świętego Alexandra w Warszawie. Zacni koledzy, pełni ducha katolickiego i narodowego, pomagali mi w nabożeństwie w kościele pijarskim. Ksiądz Stodulski, mając wszystkie dokumenta i najlepsze świadectwa ze strony swej władzy duchownej warszawskiej, a nie mogąc otrzymać przyjęcia w dyec. krak., udał się z tem do biskupa Pukalskiego w Tarnowie.

---

[1]) Dnia 19/10 1864 wykryto schronienie księdza Stanisława Brzózki w lasach Łukowskich; wyprawiono więc obławę na mały jego obóz, towarzyszów schwytano, ale ks. Stanisława nigdzie nie znaleziono. Porucznik pułku Rewelskiego Tołmasów za pomocą szpiegów żydów wszedł na ślad jego. Ksiądz Stanisław nocował we wsi Przewóski, ale i tam ów Tołmasów pochwycić go nie mógł. W marcu 1865 ksiądz Brzózka ze swym adjutantem Franciszkiem Wilczyńskim ukrywał się za podwójną ścianą w domu kowala a wójta gminy w Sypiszkach pod Sokołowem. Odkryto to schronienie za pomocą badań i rózg. Dnia 29 kwietnia 1865 roku z 12 żołnierzami Czygiryn sztabs-kapitan żandarmski udał się na łowy do Sypisk, tam ksiądz Brzózko położył kilku moskali trupem, aż sam raniony i omdlały padł na ziemię; ale się nie poddał! Dnia 24 maja 1865 obu bohaterów powieszono w Sokołowie!

P. D. H. naoczny świadek tej exekucyi mówił mi w Krakowie, że Moskale szubienicę, na której wisiał ks. Stan. Brzózko spalili, aby Podlasianie nie rozbierali części jako relikwie narodowe do domów swoich. Ciało zaś włożyli do trumny i pod wielką eskortą zawieźli do Brześcia litewskiego, gdzie pod murami fortecy pochowanem zostało.

Młody, skromny i świątobliwy kapłan prosił i błagał ks. biskupa Pukalskiego, aby przejrzał jego świadectwa i przyjął go do swej dyecezyi, chcąc być użytecznym kapłanem.

Ks. Pukalski zapytał petenta, czy należał do powstania? Odpowiedział, że należał do organizacyi narodowej w Warszawie. Ks. biskup mu na to: „Mój bracie, gdybyś miał sześcioro dzieci i kochankę, tobym cię przyjął, a że należałeś do powstania, to bądź zdrów". Niech czytelnik sobie wyobrazi położenie młodego kapłana i stan jego wewnętrzny. Przyjechawszy z wycieczki tej oświadczył wobec kilku mych znajomych, że stracił szacunek dla hierarchii duchownej w Galicyi, bo to są Józefiniści, urzędnicy wiedeńscy, a który ksiądz nie był Józefinistą, niczego się niedosłużył i bywał więziony. — W r. 1867 po ogłoszeniu konstytucyi zmieniło się duchowieństwo, a sejm lwowski odebrał kierunek szkoły duchowieństwu dlatego, że nie było polskiem.

Policya austryacka dała rozkaz zacnej obywatelce pani Ostrowskiej z Piotrkowskiego, aby opuściła swą kamienicę na ulicy Gołębiej i wyjechała natychmiast za granicę, w przeciwnym bowiem razie będzie eskortowaną do granicy i oddaną w ręce rządu moskiewskiego. Pani Ostrowska żądała w myśl rozporządzenia Rz. Narod. zaświadczenia, że zmuszona opuścić Kraków i wyjechać za granicę. Znając dobrze pracę i poświęcenie tej obywatelki, napisałem jej świadectwo własną ręką i przyłożyłem pieczątkę Rz. Narod. Na nieszczęście moje przed samym jej wyjazdem syn jej pokłócił się z kucharzem, a ten mszcząc się oskarżył cały dom w policyi i zdradził, że w krynolinie u guwernantki p. Ostrowskiej znajdują się wszystkie ważne narodowe papiery; o czem policya przekonawszy się przez rewizyę zabrała je. Pan Englisch, dyrektor policyi, poznawszy moje pismo, oburzył się na mnie, żem umiał tak długo ukrywać się w Krakowie i uchodził za lojalnego. Kilka razy odbywała się rewizya policyjna u mnie, w kościele i w grobach pod kościołem, tak szczęśliwie jednak, że nic nigdy nie znaleziono.

W r. 1864 w Wielki Czwartek rano, kiedy chowałem N. Sakrament z wielkiego ołtarza do bocznego, przykląkł przy mnie L. Cyfrowicz, akademik, i oświadczył, że 4-ch inspekto-

rów i kilku żołnierzy policyjnych czeka na mnie w sieni w celu zaaresztowania.

Skończywszy „Miserere“, psalm przepisany do jednej z ceremonii Wielkiego Tygodnia, przyszedłem do zakrystyi. Zdjąwszy z siebie szaty kościelne, wziąłem czapkę kościelnego, przez kościół pobiegłem na ulicę Floryańską, gdzie wsiadłszy do fiakra pojechałem na ulicę Kanonną do siostry ks. kan. Matzkego, do panny Anny, wiedząc o tem, że ona dobrze i w wielkiej zażyłości żyje z domem dyrektora Englischa, a szczególnie z żoną jego. Ks. kan. Matzke z siostrą swą byli w kłopocie wielkim, by mnie w ich pomieszkaniu nie zaaresztowano, wyrobili mi więc paszport w policyi do wyjazdu.

Przy tej sposobności powiedział pan Englisch: „Dla kanonika i dla ciebie, panno Anno, to zrobię, że go nie zaaresztuję u was i wydam paszport, ale zaręczam, że prędzej mi włosy na dłoni porosną, aniżeli ks. Adam będzie kiedyś znów z powrotem w Krakowie“.

Po śniadaniu postnem uścisnąłem dłoń ks. kan. Matzkego i wsiadłem z panną Anną do powozu krytego; wstąpiliśmy do mego pomieszkania, poprosiłem ks. Żulińskiego i Stodulskiego do siebie, opowiedziałem im, co zrana zaszło, i poprosiłem ich, aby nie opuszczali nabożeństwa w kościele pijarskim i powiadomili o mym wyjeździe ks. kan. Górnickiego. Panna Matzke była na tyle łaskawą, że odwiozła mnie do rogatki Zwierzynieckiej; w myśl instrukcyi udałem się do Opata, bawiącego podówczas w Kamieniu; i tak opuściwszy Kraków — uniknąłem więzienia austryackiego.

Wyjazd mój przymusowy z Krakowa w roku 1864 i udanie się przez Wiedeń, Peszt, Belgrad, Konstantynopol, Rzym, do Paryża.

Z Kamienia odwiózł mnie Opat na kolejową stacyę w Krzeszowicach, zkąd udałem się do Wiednia. Podziękowałem nareszcie Panu Bogu, żem umknął kozy austryackiej. W Wiedniu nająłem sobie umeblowany pokój u poczciwej, wykształconej wdowy,

oczekując uspokojenia się w Krakowie i myśląc, że będę mógł w tym razie powrócić do Krakowa.

W kilka dni potem, kiedy wracałem do siebie od znajomych bawiących w Wiedniu t. j. Gustawa Zakrzewskiego, Teodora Jasińskiego i Włodzimierza Milowicza — niemka, u której na ul. Singer mieszkałem, oświadczyła mi w języku francuskim, że był komisarz policyi ze szpiclami, zrobili rewizyę w mieszkaniu i pytali ją, gdzie jestem. W tej chwili zabrałem kuferek z rzeczami i pojechałem do Zakrzewskiego, a wytłumaczywszy mu me położenie i niebezpieczeństwo, prosiłem, by mi wyrobił paszport. Naradziwszy się poszedłem z nim do Ambasady francuskiej, prosząc o pomoc i paszport. Ambasador zrozumiał me położenie szybko i dał mi paszport na imię swego kucharza. W dwie godziny potem pożegnawszy się ze znajomymi udałem się koleją do Pesztu, skąd telegrafowałem do mego brata Pawła brzebywającego w Belgradzie, że za dwa dni przybędę do Zemlinu. Wypocząwszy trochę wsiadłem na statek parowy w Peszcie i pojechałem Dunajem do Zemlinu. Zachwycałem się piękną i bogatą okolicą, którą Dunaj przepływa. Ochłonąłem w drodze! Nareszcie gdy przybył statek do przystani, zobaczyłem mego brata Pawła na brzegu i uściskałem go serdecznie; od roku 1848 nie widziałem go wcale. Przybył on z naczelnikiem komory, i wzięli mnie zaraz na śniadanie. Skoro czas wyjazdu nastąpił, uścisnęliśmy serdecznie dłoń gospodarza a wsiadłszy na statek w godzinę potem byliśmy w Belgradzie, stolicy Serbii tureckiej. Przywitałem raz jeszcze brata,` żonę jego i córkę, a potem poszliśmy razem do ich pomieszkania. Tu dopiero mogłem powiedzieć, żem wolny i nie siedzę na zamku Wawelskim, pod telegrafem, albo w kryminale u św. Michała w Krakowie. W czasie obiadu o godz. 6 wieczorem otrzymał Paweł kartkę od Naczelnika komory ze Zemlina tej treści: „Masz panie Pawle szczęście, żeście z bratem opuścili Zemlin; w 10 minut po waszym odjeździe otrzymałem telegram: „„Aresztować ks. Adama Słotwińskiego i dostawić go do Wiednia““. Wiele było śmiechu, a ja miałem wewnętrzne zadowolenie, żem tak szybko się uwinął. Serdecznie byłem przyjęty przez braterstwo i bawiłem 24 dni, prawie cały maj,

w Belgradzie. Serbia jęcząca od tak dawna pod jarzmem tureckim, zaniedbana pod względem kultury europejskiej do tego stopnia, że chleb, ziemniaki na targ ze Serbii austryackiej przywożono.

Najwyższa kultura naukowa, jaką zastałem tam, było gimnazyum 4-klasowe. Już zaczęli Turcy i urzędnicy tureccy opuszczać urzędy tureckie, Belgrad i Serbię, a książe Michał Obrenowicz zaczynał rządzić w duchu narodowym. Poznałem u moich braterstwa ministrów serbskich, prostych łyków belgradzkich, poznałem zwyczaje i obyczaje, mieszane turecko-serbskie. Odprawiałem mszę św. codzień w kaplicy konsulatu austryackiego, bo cała Serbia należy do dyzunitów; ich najwyższy Władyka Michał zależy od rządu krajowego.

Poznałem go; był to uczeń wydziału teologicznego w Kijowie, — mówił po polsku i znał wielu Polaków, ale był ducha schizmatyckiego i polityki moskiewskiej. Serbowie możniejsi wysyłali już w r. 1864 swą młodzież na nauki do Petersburga, Moskwy, a niektórzy do Wiednia, nawet i do Paryża.

Bratowa moja mówi greckim, włoskim, tureckim, niemieckim, francuskim i polskim językiem, tym ostatnim najgorzej. W Belgradzie wówczas jeszcze wiele rodzin tureckich przemieszkiwało. Opowiadano mi, jaka była przyczyna walki i wypędzenia Turków z Belgradu. Oto jeden Turek przy studni zabił małoletnie dziecię, i Serbowie dowiedziawszy się o tem urządzili rzeź, a Turcy w nogi. Przypatrzyłem się życiu domowemu i rodzinnemu Serbów. Prostota i szczerość. Opowiadano mi z boleścią, jak księciu Michałowi corocznie dostawiano najpiękniejsze córy serbskie do użycia, pokazywano mi 12 metres wielkiej urody, tegoż księcia własność. Z Węgierką z domu Hunyady ożeniony, nie mieszkał z nią. Ona bardzo ubolewała nad zmysłowem życiem swego męża.

Taniec narodowy tak zw. „Kolo“ jednostajny polega, na tem, aby stąpać w jednem miejscu jakby w deptaku! W cerkwi widuje się same tylko kobiety, bardzo mało mężczyzn. Żadnej moralnej korzyści nie czerpią Serbowie z cerkwi swej i religii. Serbowie nie lubią duchowieństwa swego; jest ciemne, ograniczone, i brudno w mieszkaniach ich. Nauki żadnej w cer-

kwiach nie miewają, zupełnie jak popi schizmatyccy w głęb Rosyi. Pytałem poważnych Serbów, dlaczego nie zakładają rzemiosł i fabryk u siebie. Odpowiedzieli mi, że wolą wszystko nabywać i kupować w Zemlinie i Serbii austryackiej, niż pozwolić, aby je zakładali Niemcy i napływali do kraju. „Pozbyliśmy się“, mówili dalej, „Turka, a natomiast poszlibyśmy pod gorsze jarzmo chytrych i przebiegłych Niemców“. Pomyślałem sobie — naturalny rozum polityczny, dlaczego Polacy tak dawniej nie robili! Miło mi czas schodził, bo wiele korzystałem. Brat mój będąc od wielu lat w Belgradzie urzędnikiem w konsulacie francuskim, nauczycielem i kierownikiem kopalni miedzi w Majdampeku, doskonale znał Serbów i sposób ich życia; wieczorami więc ciągle o ich zwyczajach i nie wyrobionym jeszcze patryotyzmie rozmawialiśmy. Serbki bardzo namiętne, ubierają się w stroje narodowe, czystość turecką zachowują w domu i koło siebie. Serbowie i rząd serbski wielce szanowali braterstwo za ich usługi oddane Serbii, bo brat pakami sprowadzał dla Serbii broń z Anglii i Francyi.

W Belgradzie poznałem kuzynkę żony brata mego, była ona żoną reprezentanta serbskiego w Bukareszcie. Miała swój dobrze urządzony dom; często u niej przebywaliśmy z rodziną moją; była bardzo piękna a dla mnie życzliwa.

Zniósłem się z Krakowem. Zażądałem nieco grosza od Rudawskich, którym wynająłem na 3 lata moje pomieszkanie (dał mi je ks. Górnicki zamiast pensyi, abym z niego miał dochód) wraz z meblami na I piętrze; obiecali mi przysyłać co kwartał 100 złr.

Komisarz Rządu Narodowego z Krakowa nadesłał mi polecenie sprawdzenia w Konstantynopolu sprawy okrętu nabytego na rzecz wyprawy polskiej. Otrzymawszy to polecenie, pożegnałem się z braterstwem i dziarskimi Serbami. Brat polecił mnie komendantowi fortecy Belgradu opuszczającemu właśnie to miasto z całym swym serajem a udającemu się do Konstantynopola — i razem z rodziną odprowadził mię na statek; wkrótce potem pojechałem Dunajem. Piękne, cudne są brzegi tej rzeki! Lasy i skały niebotyczne czarowały moje oko. Ciągle byłem

na pokładzie. Można śmiało porównać brzegi Dunaju od Belgradu do jego ujścia z naszym Dunajcem w Pioninach.

Różne było towarzystwo, a najwięcej żydów handlarzy grających w karty. Zmuszony byłem sprzedać złoty zegarek i łańcuszek, bo nie wystarczyło mi grosza na okręt i dostanie się do bióra narodowego w Konstantynopolu. Któż kupił? spytacie: oto żyd, który był towarzyszem w mej podróży na Dunaju. Poszły i dukaty pamiątkowe, jakie dostałem w Petersburgu od Rektora Pijarów.

Nieraz ów Basza z Belgradu, o którym powyżej wspomniałem, — mówiący po francusku, zapraszał mnie na przekąskę i wódeczkę. Widziałem jego orszak złożony z 12 dziewcząt zawelonowanych, widziałem, z jakim zapałem całowały po przekąsce swego pana i lizały jego malowane paznokcie. Przybyliśmy szczęśliwie do Kustendzi, nowego portu, do którego od ujścia Dunaju dochodzi kolej żelazna. Człowiekowi nie rozumiejącemu języka tureckiego i włoskiego bardzo trudno w podróży. Nadarzył mi się pewien Anglik jadący ze swą panią, bardzo piękną greczynką. Rozmówiłem się z nim po francusku, wyprawił mię on wraz z swą panią do okrętu łódką, a sam zajął się expedycyą pakunków swoich i mego kuferka. Wielkie na mnie wrażenie zrobiło morze, na którem znajdowałem się po raz pierwszy.

Pani bardzo bojaźliwa ustawicznie trzymała się mego ramienia. Po paru godzinach przybył jej towarzysz, i zajęliśmy nasze miejsca na okręcie. Niewymownie mu dziękowałem, że mi był pomocą wielką, a on mnie za to, żem się zaopiekował jego towarzyszką. Przez cały dzień i noc całą byliśmy na pełnem morzu; z porady owego towarzysza często leżałem na pokładzie okrętowym i patrzyłem w niebo, aby uniknąć słabości morskiej. Wpadło nam w oczy przy sposobności, jakeśmy bawili na pokładzie, że część firmamentu nagle zaczerniła się, więc w duchu przygotowaliśmy się na wielką burzę. Pokazało się jednak później, że ta mniemana czarna chmura była gromadą przelatujących jaskółek, skupionych obok siebie tak szczelnie, że tworzyły nieprzerwaną i nieprzejrzystą powierzchnię, a to w celu, jak nam znajdujący się równocześnie na pokładzie przyrodnik tłumaczył, przyniesienia ulgi słabym

i zmęczonym z pośród siebie. Godny naśladowania przykład solidarności: „Wszyscy dla jednego“, — albo: „*Viribus unitis*“.

Ze wschodem słońca okręty ze wszystkich stron morza Śródziemnego i Czarnego wjeżdżały do sławnego „złotego Rogu“. Widok wspaniały, wrażenie pierwsze, jakie odbiło się w mej duszy, pozostanie do śmierci. Świat nowy, ruchliwy na wodzie, — te piękne dacze, rozrzucone kwieciste ogrody, meczety, pałace sułtanów i magnatów całego świata odbijające się w błyszczących falach morskich, jakby w jakiem lustrze olbrzymiem, setki okrętów ze wszech stron świata i roje łódek kupieckich i tureckich — wszystko to zachwyca oko podróżnika. Najróżnorodniejsze dźwięki muzyki wygrywającej na pokładach okrętów, jakie w te strony najodleglejsze państwa świata wysłały — urok podnoszą. Nie wiesz, kiedy do mętnej i nieczystej przystani dojechałeś. Do mającego stanąć okrętu cisną się łodzie przepełnione chciwemi zarobku Turkami, Grekami, Bułgarami, Moskalami, Żydami; władze policyjno-polityczne nie mogą sobie dać rady; jeden wyrywa to, drugi owo z ręki, a w tej samej chwili żąda od ciebie paszportu urzędnik i ajent państwowy. W okropnych podróżny znajduje się tarapatach, przychodzi mu bowiem na myśl, że albo postrada swe rzeczy, albo przez obcych ludzi, bez żadnych odznak i numerów władzy, zawleczony będzie w niebezpieczne miejsca. Wreszcie stanęliśmy na lądzie. Człowiek doznaje w jednej chwili rozczarowania, widząc wielką nieczystość, brudotę, nędzę robotników i ludu tureckiego. Domy drewniane, ściany z desek złożone. Pożegnawszy się z towarzyszami i towarzyszkami okrętu ów Anglik dał mi jeszcze chytrego Greczyna za przewodnika, który znał język rosyjski, i przy jego pomocy dostałem się do ajencyi polskiej. Poznałem tam p. Tadeusza Okszę Orzechowskiego, skończonego medyka uniwersytetu kijowskiego, właściciela posiadłości ziemskich na Podolu. Oksza był pełnomocnikiem Rządu Narod. warszawskiego w Konstantynopolu.

Wkrótce nadesłano mi z Krakowa upoważnienie moje, wylegitymowałem się, i zaraz pokochaliśmy się serdecznie i byliśmy szczerzy dla siebie. Oznajmiłem mu, że mam 10 franków całego majątku, pozwolił pobyć w biórze kilkanaście dni, aż się

zniosę z rodziną i z Krakowem w celu zebrania grosza na dalszą podróż. Pan Tadeusz dał mi mieszkanie i 50 frk. na życie, polecił mnie staremu emigrantowi N. N., który był mym przewodnikiem po Konstantynopolu. Tego samego dnia udałem się do łazienek i o dziwo dla mnie, że kąpiel ta 15 franków kosztowała. Pytam się, dlaczego tak drogo. Woda wiele kosztuje, odpowiedziano. Zwiedzałem codzień z tym zacnym emigrantem miasto i okolice Konstantynopola. Wieczorami zaś przy herbacie z panem Orzechowskim szczegółowo rozmawialiśmy o różnych partyach rodaków w Konstantynopolu zamieszkałych. Stanowisko pana Orzechowskiego było bardzo trudne i uciążliwe wobec p. Jordana, ajenta Zamojskiego i Czartoryskiego, — Sadyka, Czajkowskiego, ambasady moskiewskiej i urzędu tureckiego, ponieważ ci wszyscy z ukosa patrzyli na działalność i organizacyą przez niego zaprowadzoną. Pokazywał mi korespondencye tyczące się owego nieszczęśliwego okrętu, o wyprawie Jeża (Miłkowskiego) i t. p.

Tadeusz Oksza Orzechowski później w r. 1872, kiedy już przebywał w Krakowie, był dla mnie prawdziwym Stróżem-Aniołem; wyrobił mi u biskupa Gałeckiego dobrą opinię i pozwolenie wykładu ewangielii i katechizmu w pensyonatach panien Górskiej, Krynickiej i pani Holskiej; ks. Górnicki Leopold bowiem i p. F... P... tendencyjnie starali się bisk. Gałeckiego nieprzychylnie dla mnie usposobić. P. Oksza był rzecznikiem moim u generała w Rzymie, był dobrodziejem zakonu Pijarów; ofiarował mi swą bibliotekę familijną, ja zaś przekazałem ją *ad usum familiae Collegii;* dał także bardzo tanio materyał z modrzewia ze swych lasów w Radziejowie na budowę Collegium. Propagował wszędzie konwikt przezemnie założony, słowem był prawdziwym przyjacielem Pijarów i moim osobistym. Mąż nader czynny w kraju, lecz niestety nie poznany od swoich Galicyę opuścić musiał. Miał wielkie zaufanie u Piusa IX i Leona XIII. Największej doniosłości była działalność pana Okszy w obronie Unitów podlaskich z czasów organizacyi Jana Frankowskiego i ks. Ad. Słotwińskiego t. j. od r. 1878—1885 [1]).

---

[1]) Na wszystko, co mówię, są dokumenta w aktach znajdujących się u ks. Ad. Słotwińskiego.

Żona Tadeusza rzadkich cnót i urody, pełna wdzięku w oczach i ustach, była córką doktora medycyny Kaczkowskiego mającego rangę generała i dyrektora wszystkich szpitali armii polskiej w r. 1830. Poznałem ją w Krakowie w r. 1873.

W myśl mego mandatu p. Oksza zdał raport szczegółowy do Rz. Narod., a ja drogą mi wiadomą posłałem go do Krakowa. Zwiedziłem meczet św. Zofii, Adamówkę, polską osadę założoną przez ś. p. Adama Czartoryskiego, zwiedziłem bazar i pałac sułtana i byłem na górze Olimpie, z której widok cudny na Bosfor i morze. Za pośrednictwem ks. Piramowicza, pełniącego obowiązki misyonarza, celebrowałem w Konstantynopolu u Szarytek w oktawę Bożego Ciała nieszpory i prowadziłem procesyą z wielką wschodnią ostentacyą po ulicach Konstantynopola przy asystencyi całego pułku wojska tureckiego wraz z muzyką. Zaciekawiony wielce asystencyą milicyi tureckiej przy katolickich nabożeństwach odebrałem objaśnienie, że przed kilku laty w wigilią Bożego Ciała pewien zasłużony Polak będąc z wizytą u głównodowodzącego armii tureckiej oświadczył temuż, że u Polaków wielka uroczystość religijna jutro, i że Polacy będą się modlić za zdrowie sułtana. „Tak“, rzekł głównodowodzący, „to każę wojsku naszemu asystować przy tej uroczystości“. I ten zwyczaj co rok się zachowuje. Często bywałem w celi ks. Piramowicza, i umówiliśmy się, że wspólnie odbędziemy podróż z Konstantynopola do Rzymu. Przeprowadziłem korespondencyą z Rudawskimi o przesyłkę pieniężną i otrzymałem 100 złr. Nieco nadesłał mi także brat Joachim z Królestwa. Przysposabiałem się powoli do wyjazdu. Ów Anglik z towarzyszką swą parę razy na tydzień zapraszał mnie do swej Willi nad Bosforem. Jeździliśmy piękną, wygodną łódką po cieśninie, a po dobrym obiedzie odprowadzili mię do pana Orzechowskiego. Byłem na wyścigach sułtańskich: najpiękniejsze konie z całego świata, a jeźdzcy cudnej urody; warto było widzieć ten liczny, piękny orszak wjeżdżający na arenę wyścigową. Towarzyszyły temu orszakowi najdystyngowańsze domy całego świata i płeć piękna. Całość przedstawiała się uroczo i zachwycająco. Poznałem Sadyka-Paszę (Czajkowskiego); wszyscy Polacy bardzo źle o nim mówili w roku 1864. Widziałem na

głównej ulicy, jak z legionu kozackiego jego podwładny napluł mu w brodę publicznie za jego ściganie i chodzenie po piętach tym żołnierzom, którzy rwali się do powstania. Rząd turecki nie był powstaniu przeciwny, ale Czajkowski miał sympatyą do Moskali, a obawiając się, że swój pułk utraci, prześladował i ścigał każdego kozaka udającego się do obozów powstańczych. Poznałem w orszaku sułtana generała Kisilewskiego; chustką swą buty sułtanowi oczyszczał przy wyścigach; wszyscy Polacy oburzeni byli takiem podleniem się imienia polskiego. Dziwne zabawy ludu tureckiego, bo do najprzyjemniejszych zabaw należy huśtanie się w beczce zaszpuntowanej. Zdaje się, że mózg odrywa się z swego miejsca i że ta beczka robi koło w górze.

Handel w Konstantynopolu odbywa się w sposób przenośny, lektyka zastępuje powozy, a często odbywają się także kursa konno, właściciel pędzi pieszo za koniem lub osłem sporym popychając go knutem.

Zasługuje na uwagę jeszcze urządzenie straży pożarnej. Mężczyźni silni, na pół nadzy co siła pędzą z sikawką na miejsce pożaru, hałas i krzyk wszczynają. Pierwszy oddział dostaje nagrodę a ostatni za spóźnienie łopatą po skórze. Widok tych mężczyzn zupełnie podobny do siepaczy na stacyach męki Chr. Pana. Zauważyłem, że ambasadorowie obcych państw w Konstantynopolu rządzili wedle swych potrzeb i celów; rząd turecki słaby. Wówczas wpływy cesarstwa francuskiego były najsilniejsze, i rząd francuski otworzył Collège dla uczącej się młodzieży, wykładano tam w języku francuskim.

W połowie czerwca zebrawszy grosz na podróż, mając na jazdę okrętem bilet 2 klasy wyrobiony przez szarytkę Izabellę w ambasadzie francuskiej, pożegnałem się serdecznie z Orzechowskim. Wyruszyłem w towarzystwie ks. Piramowicza, panów Michałowskiego i Zaleskiego, obywateli z Podola, okrętem do Rzymu. Podróż po morzu Śródziemnem wielce pouczająca i przyjemna; jedzie się między światem Azyi i Europy, każdy przystanek, każdy port znany w historyi; przychodzą na myśl wojny trojańskie, krzyżowe, wielcy mężowie stanu, poeci, filozofowie greccy i italscy. Towarzystwo bardzo było na okręcie

dobrane i przyjemne. Muzyka, śpiewy, gawędki naukowe z rodakami. Nieraz nastąpiła choroba morska. To burza spędzała nas do kajut, to znów mijanie się z innemi wojskowemi okrętami zajmowało mój umysł. Mimowoli przypominało się zdanie: „Kto się nie umie modlić, to go posłać na morze". I rzeczywiście, skoro człowiek straci z oczu brzegi lądu i ostatnią mewę pędzącą, jakoby poseł lądowy za okrętem, to człowiek staje się nicością — maluczkim prochem wobec wszechświata i tej przestrzeni wodnej... Okręt zajeżdża do Pireos. Zmawiamy się z ks. Piramowiczem, abyśmy na mój koszt ruszyli do Aten, bo pragnę starą republikę ateńską poznać i zobaczyć więzienie Sokratesa. Po zarzuceniu kotwicy setki Greków przybywają do okrętu dla zysku i zarobku, jeden przez drugiego łapią tłumoki podróżnych z pokładu. Majtkowie ich wyrzucają z pokładu i biją, ale i to nic nie pomaga, motłoch chciwy pieniędzy mimo to się ciśnie. Mamy 5 godzin czasu, udajemy się więc do Aten starych. Miasto z małych i niskich domów zbudowane, w dolinie położone; pyłu, liści z ogrodów i kurzu moc, żaluzye zamykają szczelnie okna, bo straszne już upały panują, a od maja ani kropla deszczu nie padła. Uderzyła mię w kawiarni wielka liczba dzienników z całego świata. Spokój na ulicach większy niż w Krakowie. Przebiegliśmy całe Ateny, odszukując miejsc, które słynęły w starożytności; dalej: akademie, forum, pałac królewski; ruszyliśmy wreszcie do więzienia Sokratesa, ale bardzo zgorszyłem się, że wszystko to tak zaniedbane przez Greków dzisiejszych. Mowa ich zupełnie nie podobna do języka starych bohaterów i poetów. Rozczarowani spieszymy do okrętu, bo za 20 minut ma już odjechać, a bilety do dalszej podróży w kieszeni. Zaledwie dopłynęliśmy do okrętu, ostatni raz dzwonek na pasażyerów zadzwonił.

Odpoczęliśmy w Mesynie, zwiedzając miasto piękne. Przejechaliśmy następnie Scillę i Charybdę dawniej tak niebezpieczne miejsca dla każdego podróżującego starej konstrukcyi okrętem, dziś każdy parowiec szybko i bezpiecznie mija te skały ukryte pod powierzchnią morza.

Przed Neapolem silny zapach ziół uzdrawiających orzeźwia wędrowca, każdy mimowoli wytęża pierś, by jak naj-

więcej tego cudownie aromatycznego powietrza zaczerpnąć. W Neapolu zwiedziliśmy wszystko, co godne widzenia, udaliśmy się z ks. Piramowiczem do samego krateru Wezuwiusza, bo nie był wówczas czynny. Zwiedziliśmy Herculaneum i Pompeji, miasta zalane lawą Wezuwiusza; podziwialiśmy piękne ogrody i wille bogaczy całego świata. Nareszcie przybyliśmy do Rzymu, i stanąłem znów w Collegium pijarskiem *apud Stum Pantaleonem.*

Po dobrowolnych rekolekcyach i rozpatrzeniu się w Rzymie — widząc, że pogląd mój na sprawę polską wielce cierpi na suchoty, zrażony wreszcie licznemi dowody niechrześciańskiego postępowania Zmartwychwstańców i ciągłą ich walką z klerem świeckim, postanowiłem prosić ojca generała Perrando o pozwolenie zamieszkania „*extra muros Collegii Schol. Piarum*". Przekonałem się, że młodemu księdzu z emigracyi, mającemu swe własne polityczne zdanie, przystęp do „Collegium" polskiego bardzo utrudniony. Zarząd polskiej tej instytucyi, założonej przez Piusa IX dla tych jedynie Polaków, którzy nie mogą kształcić się we własnym kraju, najsłuszniejszych nieraz próśb o przyjęcie nie uwzględniał.

Może Czytelnik ciekawy początku założenia Colleg. polskiego w Rzymie w roku 1864. Oto w całej osnowie prawdę skreślam, a ciekawy początek. Po upadku powstania polskiego wielu bardzo księży polskich — i duchowieństwa świeckiego i zakonnego — znalazło się w Rzymie. Gazety katolickie, osobliwie francuskie, zaczęły pisać o ich przykrem położeniu. Udano się do ks. kardynała Patricci'ego, prosząc o pomoc tymczasową. Za jego wstawieniem polecił tedy Pius IX kuryi zająć się losem duchowieństwa polskiego przebywającego w Rzymie. Kardynał Patricci ofiarował na mieszkanie szpital *St. Trinita* dla pielgrzymów przeznaczony. I dano oto na strychu jedną salę obszerną na pomieszkanie. Tam zastałem w czerwcu 1864 już blisko 30 księży zamieszkałych. Byli tam: ksiądz Polkowski, dawny członek konsystorza warszawskiego i kapelan arcybiskupa Felińskiego, ksiądz Wincenty Wiśniewski, proboszcz z dyecezyi lubel. a mój kolega szkolny, Łaszkiewicz, Litwin, prob. z Nowogrodka, Podolski i Postawka z dyec. kieleckiej i wielu innych.

Zaczęli robić sobie znajomości wśród kuryi w Watykanie i między profesorami w Sapiencyi. OO. Zmartwychwstańcy Kajsiewicz, Semeneńko i inni obawiając się, aby znaczenia w Rzymie a wpływu w kraju nie stracili, postanowili w Domu św. Klaudyusza na sesyi wspólnej zawezwać telegraficznie z Paryża Ojca Alexandra Jełowickiego. Równocześnie polecono mu pod obedyencyą przywieść z sobą cały kapitał zebrany w kraju na budowę nowego kościoła w Paryżu. Ks. Jełowicki w kilka dni potem przybył na naradę zakonną. Rusin z chełmskiego seminaryum Musiewicz Józef, dyakon rit. gr., niektórym z nas opowiedział poufnie wynik I sesyi tych Ojców i przeznaczenie owych pieniędzy. Zaklęliśmy dyakona na miłość prawdy i miłość Polski, aby nam koniecznie zdał relacyę z II i III sesyi, mającej odbyć się w bibliotece OO. Zmartwychwstańców po przybyciu O. Jełowickiego. Dyakon Musiewicz przyrzekł i dotrzymał nam słowa. Przyszedł do mnie do Pijarów z powyżej wspomnianymi księżmi Podolskim, Postawką, Wiśniewskim i Łaszkiewiczem i pod słowem honoru opowiedział rzecz całą. Mieszkając u św. Klaudyusza właził grubą z korytarza do pieca należącego do bibliteki, czyli tej sali, w której Ojcowie zwykle sesyą odbywali, i narady ich podsłuchał.

Ks. Kajsiewicz przedstawił obecnym Ojcom bardzo przykre położenie zakonu rozwijającego się w Rzymie i że skoro młode duchowieństwo stale w Rzymie osiądzie, to wpływy ich w kraju i w Rzymie zupełnie upadną. Stanowczo tedy radził grosz zebrany przez Ojca Alexandra ofiarować Ojcu św. jako świętopietrze w dowód przywiązania do Stolicy Piotrowej. Ojciec Alexander dłuższy czas sprzeciwiał się temu dowodząc, że obawia się emigracyi, że go może za to oskarżyć przed sądem za zmarnowanie tegoż grosza i samowolną zmianę celu, na jaki zbierał. Ojcowie Semeneńko i inni poparli jednakże przełożonego, a Ojciec Jełowicki zmuszony został wysłać telegram do Paryża, aby 120.000 fr. przysłano na jego ręce do Rzymu. W kilka dni potem z pryncypałem zakonu na czele idzie ich dwóch z tym kapitałem do Piusa IX i z pokorą składają mu ten grosz polski nie mówiąc, jaki ten grosz miał już cel przeznaczony. Pius IX zawsze czuły i szlachetny oburzył

się na Ojców i rzekł im: „Jakto wy możecie mnie wspomagać dziś, gdy tyle wdów, sierót i rannych w Polsce po owych strasznych i krwawych klęskach. Otóż miałbym wielki wyrzut sumienia, gdybym ten grosz wdowi przyjął, obrócę go raczej na Collegium polskie, dam gmach na ten cel, a ten grosz będzie pod opieką propagandy. Ci młodzi księża i Polacy, którzy nie mogą kształcić się u siebie, w swej ojczyźnie, i ci, którzy są na emigracyi, niech mają prawo za to tu kształcić się dla dobra kościoła i narodu waszego pod mem okiem". Wezwał kardynała Barnabę i Patricci'ego i natychmiast kazał swe polecenie wykonać. I to także dyakon Musiewicz słyszał na własne uszy, jak O. Kajsiewicz składał sprawozdanie z audyencyi Ojcom swego zakonu. Ojcowie zniósłszy się z propagandą objęli kierownictwo tego Collegium, i żadnego kapłana z emigracyi nie przyjęto, tylko młodych alumnów z Poznańskiego i Galicyi, takich, którzy i w kraju mogli się kształcić. W ten sposób cel tej instytucyi zwichnięty został.

Przez kilka dni księża polscy narzekali przedemną, że takie wielkie przeszkody OO. Zmartwychwstańcy stawiają w Watykanie; od 3 miesięcy bowiem nie mogli sobie wyrobić audyencyi u Ojca św. Tak przynajmniej ks. Polkowski, Wiśniewski, Łaszkiewicz, Podolski i Postawka utyskiwali przedemną, skorom ich odwiedził. „Otóż czekajcie, ja wam wyrobię audyencyę", powiedziałem. Śmiali się ze mnie, co za wielka figura z Pijara! Udałem się zaraz z prośbą do ks. Strozzego, generała kanoników lateraneńskich, z którym przeszłego roku byłem u Piusa IX. Przedstawiłem mu chęć kolegów moich i szczere pragnienia widzenia Polaków cnego Dobrodzieja. Zaraz popołudniu udałem się z nim do Watykanu. Ojciec Strozzi udał się do Ojca św., a ja zostałem w Bazylice św. Piotra, oglądając sobie tę wspaniałą i olbrzymią budowę. Po godzinie zwiedzania przybył generał do mnie i rzekł: Pius IX z wielką ochotą naznaczył dzień dla księży polskich na audyencyą u Benedyktynów extra muros u ś-go Pawła. Dragon papieski uwiadomi cię o tem urzędowo u ks. Pijarów! W kilka dni potem ów dragon papieski z wielką pompą siedząc na koniu przywozi z urzędu pismo watykańskie, na mocy którego odbieram zezwolenie na tę audyencyą. Zaraz spieszę

z pozwoleniem tem do petentów i to im oddaję. Wielce zdziwieni zapytują mnie, w jaki to sposób stało się? Opowiedziałem im, jak się rzecz miała, i natychmiast otrzymałem serdeczne podziękowania od całej kolonii polskiej. Więc rada w radę, kto duchowieństwo polskie na audyencyi reprezentować będzie. Wybierają księdza Polkowskiego do napisania przemowy i adresu do Papieża. Ksiądz Polkowski sekretnie bez wiedzy kolegów idzie do Semeneńki i prosi o napisanie przemowy do Papieża — zdradza więc kolegów, bo postanowili w tajemnicy utrzymać tą audyencyą, aby Zmartwychwstańcy nie przeszkadzali. Wyszło na jaw wszystko, bo Ojciec Semeneńko trąbił z wielką radością wszędzie między Polonią, jakoby księża polscy tak byli ograniczeni, że nie są zdolni napisać nawet kilka zdań po łacinie! Z tego powodu wielkie oburzenie na Polkowskiego. Księża w wigilią audyencyi wysyłają mnie wraz z ks. Polkowskim do Jałmużnika papieskiego arcyb. Hohenlohego, aby się dowiedzieć o instrukcyi tej audyencyi. Arcyb. Hohenlohe daje nam w zakrystyi u św. Piotra posłuchanie. Polkowski klęka na kolana, z głową schyloną czołga się przed młodzieniaszkiem! Ja oburzony stojąc łaję go po polsku i mówię: „Co ty robisz Ignacy — po co tak bardzo się uniżasz?“ Hohenlohe kazał nam być na mszy papieskiej u św Pawła *extra muros* w klasztorze ks. Benedyktynów o godzinie 9-tej rano dnia 30 czerwca. Ojciec św. przybył w orszaku gwardyi szlacheckiej do św. Pawła. Po mszy papieskiej byliśmy proszeni na śniadanie wspólne w klasztorze: tymczasem zjeżdża się arystokracya całego świata bawiąca w Rzymie tudzież kardynałowie, i wszystko gromadzi się w klasztornej sali. Przychodzi chwila audyencyi, przystępujemy do ucałowania rąk i nóg Piusa IX, nasz orszak prowadzi ks. Polkowski, zaczyna mówić — jąka się... i przestaje!!

Całe grono siedzących naokoło tronu papieskiego zdziwione oczy na nas zwraca, a my jak zbłąkane owce klęczymy, aż Papież zawołał: *„Osculate pedes meas!“* — i na tem skończyła się audyencya polska.

Opuściliśmy klasztor i bazylikę skonfundowani. Powstał krzyk i oburzenie. Ten sam ks. Polkowski naszą kolekcyjną pracę mozolną, jako swoją, drukiem ogłosił w Dreźnie pod ty-

tułem: „Groby i Pamiątki polskie w Rzymie“; każdy bowiem z nas przez kilka tygodni chodził w Rzymie po kościołach i spisywał wszystkie rzeczy pamiątkowe, które miały styczność z Ojczyzną Polską naszą. — Ów ks. Ignacy zabrał mi w Krakowie kronikę starą pijarską, znajduje się obecnie w bibliotece w Suchy. Wielkim był zwolennikiem białych kruków, ale nabywać lubił tanio i łatwym sposobem.

Wkrótce potem opuściłem Rzym — własnym kosztem, gdyż dostałem od Rudawskiego Kazimierza kwartalne pieniądze i 100 rs. od brata mego Joachima z Królestwa Polskiego. Otrzymawszy pozwolenie Generała *habitare extra muros Collegii* i list rekomendujący mię Nuncyuszowi Papieskiemu w Paryżu, udałem się okrętem do Marsylii. To miasto zrobiło na mnie nadzwyczajne wrażenie. Port bardzo ruchliwy, piękne i szerokie ulice i place, wspaniałe gmachy olśniły mnie, a z miastami wschodniemi i włoskiemi, które widziałem i zwiedzałem, ani porównywać Marsylii się nie ośmielę. Nie mając wiele do stracenia prosiłem ks. Sobańskiego, kapelana będącego od dawna przy Szarytkach, dobrego Polaka i kapłana ale dziwaka, o miejsce przy którymkolwiek z kościołów. Z ochotą wziął mnie na drugi dzień do konsystorza dyecezyalnego i przemawiał gorąco za mną. Otrzymałem też natychmiast miejsce przy kościele parafialnym a zarazem prosiłem o 2-tygodniowy urlop, chcąc poznać Paryż i odwiedzić mych bawiących tam kolegów i przyjaciół. Jechałem tedy do owego wielkiego i ruchliwego Paryża z wielkim zapałem i żądzą widzenia tych miejsc, co się przyczyniły do przewrotu ludzkości. Widzieć znakomitych ludzi i wielkość armii Napoleona III, miasto, w którem tyle majątku szlachta polska traci, dalej opodal ów Wersal osławiony zbytkami królewskimi, było już dawno mem pragnieniem.

Po przybyciu mojem do Paryża koledzy bez wiedzy mej wyszukali mi zajęcie, byłem przeto zmuszony donieść konsystorzowi Marsylii, że nie mogę przyjąć ofiarowanego mi miejsca. Wdzięczność dozgonna pozostanie w mem sercu dla ks. Sobańskiego i władzy duchownej w Marsylii za ich gotowość dla mej osoby.

Siedmioletni pobyt w Paryżu.

We Wrześniu 1884 r. objąłem w Paryżu jakie takie miejsce przy kościele St. Germain des Prés na ulicy Bonaparte i tam też zamieszkałem, bo zaledwie 60 fr. miesięcznie miałem dochodu. Zetknąłem się z ks. Kotkowskim, Żulińskim i Mikoszewskim Karolem. Przywitałem generała Ludwika Mierosławskiego, poznałem Jana Nep. Janowskiego, Karola Różyckiego, Rettela, Królikowskiego księgarza, Gałęzowskich i innych starych a czynnych emigrantów z lat 1830, 1846 i 1863. Na zimno wszystko brałem, bo zaraz po powstaniu wrzały straszne walki i kłótnie, a każda partya ciągnęła człowieka do siebie. Ja zawsze ceniłem przekonania i nie gorszyłem się z tych kłótni. Skargi rozsiewane po kraju, że emigracya kłóci się a nic nie robi — mojem zdaniem niesłuszne i tchną obłudą.

Każdego dnia byłem zajęty w kościele od godziny 8-mej do 11-tej, bo w różnych godzinach byłem wyznaczany ze mszą świętą. Przywitałem się serdecznie z Janem Kurzyną, kolegą dwuletnim z ławki nowicyackiej pijarskiej w Opolu. Od niego to dowiedziałem się o wszystkich planach i zamiarach różnych partyi. Dziękowałem mu serdecznie za te objaśnienia, cenne nader dla człowieka niezwykłego iść na ślepo. Z każdym dniem ruch emigracyjny w Paryżu wzrastał, biedy i nędzy coraz więcej było między Polonią. Zaradzano biedzie w różny sposób: to przez towarzystwa wzajemnej pomocy, to przez składki publiczne, to przez sukursa, jakich potrzebującym udzielał rząd francuski. Ja brałem przez dwa miesiące bilety na obiady z komitetu ks. Mikoszewskiego, ale przypłaciłem to zdrowiem, bo więcej jak 5 tygodni przeleżałem w łóżku chory na żołądek — przy ulicy Tournau Nr. 6.

Po chorobie zacząłem się uczyć języka francuskiego, abym mógł jaknajprędzej słuchać wykładów w Sorbonie i Collège de France. Nauka ta szła po mału, bo miałem ciągłe stosunki z Polonią. Ks. Kotkowski i Kurzyna przez kilka tygodni mnie ciągnęli do Towarzystwa politycznego. Ks. Mikoszewski ciągle mnie namawiał, abym był z nim czynny, ale ochłodłem,

przypatrzywszy się intrygom na Wschodzie i w Rzymie, i nie przyjąłem żadnej czynnej pracy w Towarzystwach emigracyjnych. Natomiast należałem do Towarzystwa kapłanów polskich na emigracyi wzajemną pomoc mającego na celu, punktualnie pełniąc zarazem obowiązki kościelne w St. Germain des Prés rue Bonaparte. W czasie wizyty konsystorskiej zapytany byłem w zakrystyi, jakie mam utrzymanie. Odpowiedziałem Surrogatowi (Grande-Vicaire), że tylko 60 fr. ze mszami miesięcznie wynosiły moje dochody — skrzywił się i zanotował me nazwisko prałat konsystorski. W trzy tygodnie potem w lutym 1865 r. otrzymałem zawezwanie do konsystorza. Dano mi list polecający na Diacre d'office do kościoła parafialnego św. Bernarda za koleją północną na przedmieściu à la Chapelle. Mocno się ucieszyłem; list mego Generała za mną pisany do nuncyusza papieskiego widocznie pomógł, bo pod jarzmo Zmartwychwstańców, a właściwie pod jarzmo O. Jełowickiego, nie przechodziłem, z czego byłem bardzo dumny, gdyż ten kozak stary, znając dobrze hierarchię francuską, wyrobił sobie to, że każdy z księży polskich, chcąc otrzymać celebrat i miejsce przy kościele, musiał być przedstawionym przez ks. Jełowickiego w ordynaryacie paryskim. Doznawszy już tyle złego od tych Ojców w Rzymie, unikałem ich na każdym kroku. Udałem się więc z tym listem prałata do proboszcza de l'église St. Bernard, zacnego kapłana pochodzącego z zasłużonej rodziny Tellandier. Po przeczytaniu listu z konsystorza przyjął mnie do swego kleru i dał mi urząd diacre d'office z pensyą stałą 150 frk. miesięcznie i dochodami pobocznymi. Razem miałem około 250 frk. miesięcznie. Sprowadziłem się do parafii i nająłem sobie nie odznaczający się wygodnością pokój. Podałem następnie mój adres w zakrystyi.

W kilka dni potem prosił mnie proboszcz, abym zamieszkał u niego, aż się rozpatrzę w parafii. Byłem mu za to bardzo zobowiązany. Cały miesiąc przemieszkiwałem u proboszcza. Potem wyszukałem sobie na Grande rue de la Chapelle Nr. 10 dwa pokoje z kuchnią i przedpokojem. Meble wziąłem na odpłatę za poręczeniem ks. proboszcza i urządziłem się dobrze i tanio.

Pokochali mię wikaryusze i parafianie, a ja ich. Co czwartek były wspólne objady u proboszcza i wikaryuszów.

Siedm lat przemieszkiwałem w Paryżu w tej samej parafii; liczyła 52.000 dusz. Nas księży było 13. Obowiązki moje w kościele były: o godz. 10-tej msza cicha, a przy ślubach, pogrzebach i katechiźmie asystowanie, oprócz tego co niedziela dwie msze (binage) odprawiałem, a po nieszporach chrzciłem do 8-mej godziny wieczorem. Pracy było dość, ale za to dla siebie zostawał cały popołudniowy czas. Wszyscy prawie księża polscy przybywający z kraju mieli schronisko u mnie, dopóki każdy z nich nie wynalazł sobie zajęcia i pomieszkania. Emigracya cywilna znajdywała także pomoc i ulgę na czas pewien.

Poznałem w Paryżu młodego Artura Wołyńskiego, zdolnego młodzieńca. Był wychowankiem zacnej starej francuskiej familii, i ta go wysłała na studya do Rzymu w zamiarze przeznaczenia go do stanu duchownego. Artur Wołyński chlubnie skończył nauki tak teologiczne jak i prawne. Otrzymał stopień doktora i byłby został kapłanem, ale Zmartwychwstańcy przysłużyli się mu tak, iż władza papieska kazała mu opuścić Rzym jako zwolennikowi Wiktora Emanuela. Wybrał sobie Loretto na miejsce pobytu. Tam poznał swą obecną, legalną wedle prawa kanoniczego, żonę[1]). Wziął się do wielkiej pracy i zasłużył się wielce narodowi polskiemu o biedzie i głodzie. Napisał żywot Kopernika i Galileusza. Za to dzieło Włochy wielce go szanują i powierzyli mu kierownictwo Muzeum Kopernika w Rzymie. Dr. Artur Wołyński żył w ścisłej przyjaźni z ks. Seweryném Paszkowskim, z ks. Smoczyńskim i ze mną. Ma bogaty zbiór dokumentów, dotyczących powstania 1863 roku. Warto, by gmina Lwowa nabyła od Wołyńskiego ten zbiór dokumentów.

Duchowieństwo francuskie formuje się zwykle z młodzieży wziętej z Petits Seminaires t. j. chłopców od 10-go

---

[1]) Jeszcze dziś nie dadzą mu spokoju ludzie złej woli, bo przed naszym ojcem generałem Riccim głoszą w Rzymie, że ks. Słotwiński pijar ma stosunki przyjazne z Wołyńskim Arturem, tym, który żyje w konkubinacie, a co gorsza, że Wołyński jest księdzem a udaje cywilnego. Plotki to przeciwko mnie wymierzone, ażeby O. Generał miał złe pojęcie o mnie.

roku życia tamże ulokowanych a wychowywanych kosztem biskupa — idą oni potem wprost do seminaryum wyższego. Młody elew jednostronnie wychowany, mający wstręt do świeckich ludzi i literatury narodowej, oderwany od koleżeństwa i familii, zostaje tam, jak żołnierz zamieszkały w koszarach, przez przełożonych niepraktycznych źle dla społeczeństwa i państwa usposobiony. Skończywszy studya teoretyczne, duchownemu potrzebne, idzie dziki w społeczeństwo i żyje oderwany.

Dobrze przypatrzyłem się silnej wytrwałości robotników wszelkich zawodów, a zwłaszcza księży świeckich i zakonów, i śmiało rzec mogę, że niema wytrwalszego narodu od Francuzów i większego poczucia obowiązku jak we Francyi. W zakonie lub w misyach zagranicznych nie wytrzymałby żaden Polak. Praca około nauki katechizmu żarliwa, w kościele punktualność wzorowa. Proboszcz wszędzie pierwszy a ostatni z kościoła wychodzi. Parafia dobrze urządzona; proboszcz ma do pomocy szarytki i Kongregacyą braci chrześcijańskich. Miłosierdzie odbywa się przez ręce proboszcza. Jałmużny i rądy udziela proboszcz w kancelaryi urządzonej przy zakrystyi. Każdy bogaty Francuz, czy to arystokrata, czy bankier, czy urzędnik, czy też robotnik, jeżeli jest katolikiem, to wszystkie uczynki miłosierdzia, jałmużny daje na ręce proboszcza dla podtrzymania godności hierarchii kościelnej, a nie tak jak w Warszawie lub Krakowie, gdzie biedni wycierają kąty pałaców zamożnych i tam dostają jałmużnę, albo przez instytucye kierowane przez urzędników cywilnych wyzyskujących niekiedy grosz ubogich dla siebie. Wielkie to uchybienie proboszczów w większych miastach polskich, że pozwalają cywilnym zagarnąć najdroższy klejnot t. j. jałmużnę kościoła parafialnego.

W żadnej stolicy innych krajów katolickich w Europie niema tyle nędzy i ubóstwa co we Lwowie a szczególniej w Krakowie — to każdy przyznać musi. Nic dziwnego, bo w parafialnych kościołach wiejskich i miejskich po rozbiorze Polski niema w gminie i parafii dla dobrze zasłużonych starców i kalek szpitali i ochronek, niema szpichlerzy parafialnych. W Galicyi na gminę liczyć nic nie można, bo bardzo rozdrobniona, i złe są jej rządy i administracye, więc cała nędza

i ubóstwo krajowe schodzi się do Krakowa i Lwowa! Sejm krajowy i biskupi dyecezyalni powinni na to zwrócić uwagę i zachęcić proboszczów i parafian do zakładania szpitali i szpichlerzy parafialnych — tych sióstr młodszych kościoła wojującego. Jeżeli jałmużna wypłynęła z kościoła, to niech i tam rozdzielaną bywa. Takie jest moje przekonanie, i dlatego też chwalę Francuzom ich uległość dla hierarchii kościelnej. W Paryżu być proboszczem, to rzecz bardzo zaszczytna; wielkie pole do działania dobrego, i rezultaty po temu.

Przez 7 lat mego pobytu w Paryżu trzy razy proboszcz mój brał mnie za towarzysza w Nowy Rok na audyencyą publiczną do pałacu Tuilleries, gdzie podziwiałem świetność i potęgę dworu cesarskiego i poznałem przepisy dworskiego ceremoniału.

W parafii Śgo Bernarda były dwa wielkie szpitale: Laboisière i Maison de Santé. Proboszcz mój wydelegował mię, abym wszystkich Polaków i Słowian, którzy w tych zakładach byli umieszczeni, wizytował i niósł im pomoc religijną. Oryginalne miałem zdarzenie w Laboisière. Wezwany przez zarząd szpitala tego, abym przyszedł ze Sakramentami św. do chorej Polki, zaraz pospieszyłem w szatach kościelnych w oznaczone miejsce a wszedłszy do pomieszkania przystąpiłem do łóżka aż tu dowiaduję się od chorej, że jest żydówką z Poznania. Młoda, piękna blondynka. Obejrzała się wokoło i zaklęła mię, abym w depozyt wziął do siebie jej piękny warkocz, bo się bała, aby go jej nie zamieniono w szpitalu. „Jestem mieszkanką z Quartier-latin, młodzież za mną się przepadała. Wziął mię na utrzymanie bankier — opływałam we wszystko; on szalał za mną, ale sprzykrzył mi się, i uciekłam od niego. Razu pewnego zaprosił mię z moją przyjaciółką, abym zabrała kufry i precyoza moje z jego mieszkania. Kiedyśmy do niego przybyły, strzelił do mnie. Kula wpadła w mój warkocz, upadłam na podłogę, a on sam sobie palnął kulą w gardło. Oto z tego powodu jestem w szpitalu!“

Ks. Darboy, arcybiskup paryski, jakby przewidział ciężkie czasy dla kościoła katolickiego w Paryżu, za rządów swoich

wyrobił u cesarza Napoleona to, że municipia stawiały obszerne kościoły pięknej budowy. Stanęło takich kościołów dwanaście w Paryżu. Arcybiskup ten miał wielkie wpływy po wszystkich urzędach. Jego listy pasterskie są pełne nauki i trafnych uwag dotyczących życia praktycznego. Przemawiał bardzo rzewnie i pouczająco na rekolekcyach rocznych w gmachu St. Sulpice. Co rok ochoczo dążyłem na te rekolekcye i nauczyłem się, jak kapłan katolik kochać powinien Ojczyznę i być posłusznym swej hierarchii. Arcybiskup wzięty jako zakładnik przez rząd komuny rozstrzelany został wraz z prezesem sądu i proboszczem z parafii Madelaine.

Chciałem nadmienić, że kult zmarłych z największą wiarą i powagą odbywa się u Francuzów. Nigdzie tego niema, ani we Włoszech, ani nawet u nas w Polsce. Francuzi nietylko powierzchownie ale i w duchu są katolikami. Najlepszy przykład, że w naszej parafii biednej, bo składającej się wyłącznie prawie z ludności roboczej, proboszcz z intencyi mszalnych jednego roku 12000 fr. oddał na ręce konsystorza paryskiego.

Dawszy się poznać duchowieństwu i parafianom ułożyłem sobie plan życia w wielkiej stolicy świata. Rozpatrzyłem się na wszystkie strony w koło siebie i zapytałem się, co umiem. Pokazało się, że trzeba się wziąć do języka francuskiego, aby módz słuchać i rozumieć najzdolniejszysh i najpracowitszych profesorów w Collège de France i w Sorbonnie. Kupiłem słownik i rankami od 6-tej do 10-tej godziny jak żak uczyłem się języka.

Tak było do r. 1867 t. j. do czasu wystawy powszechnej. Przez ten czas „Stowarzyszenie Kapłanów polskich“ i „Pomoc Bratnia“ zajmowały mnie wieczorami. Nie mając nad sobą żadnej hierarchii tylko Boga i sumienie, śmiało i stanowczo wypowiadaliśmy nasze zdania na zebraniach koleżeńskich; wielce to było pouczającem, to też wielu księży należało do tego stowarzyszenia [1]). Odpieraliśmy nikczemnie nam przez ks. Jeło-

---

[1]) Ks. Kazimierz Żuliński w krótkim czasie wyda dzieło swoje p. t.: „O Stowarzyszeniu kapłanów polskich na emigracyi.“

wickiego czynione zarzuty; polemika ta znajduje się w aktach Stowarzyszenia Kapłanów polskich[1]).

Występowaliśmy także ostro przeciw partyi ks. Mikoszewskiego, ponieważ kompromitowała duchowieństwo polskie.

Słowo o ks. Karolu Mikoszewskim, o którym na emigracyi i w kraju wiele mówiono i pisały dzienniki polskie.

Ks. Karol Mikoszewski znany mi jeszcze z r. 1862. Należał w Warszawie do organizacyi narodowej; był członkiem komitetu centralnego r. 1863 i zastępował ks. Kacpra Kotkowskiego jako reprezentant duchowieństwa polskiego z prowincyi, wybranego przez mężów zaufania ze wszystkich dyecezyi Królestwa Polskiego. Po ogłoszeniu dyktatury Langiewicza, której był bardzo przeciwny, musiał kraj opuścić i udał się przez Kraków do Paryża. Z ust Leonarda Chodźki w Paryżu dowiedziałem się, że podał ks. Karolowi Mikoszewskiemu projekt założenia komitetu ku wspieraniu biednych wdów i uczącej się młodzieży, przybywającej z placu boju. Wspólnie wygotowali i podpisali odezwę do biskupów i duchowieństwa francuskiego — i dość szczęśliwie, bo składki obficie nadchodziły do podpisanych. Chodźko Leonard chciał, żeby na jego ręce składki przesyłano, ale ks. Karol dał swój adres i odbierał listy pieniężne z różnych dyecezyi od pobożnych Francuzów a przyjaciół Polski. Ks. Karol samodzielnie dysponował groszem, otoczony rodakami lekkiego usposobienia, którzy umieli go podejść — biorąc dobrą pensyę miesięczną w oczy mu kadzili, a po za oczy głosili, że ks. Mikoszewski wiele traci ze składek na zbytki i hulanki. Otóż w r.

---

[1]) Po tragicznej śmierci ks. Ludwika Krzemińskiego w Gaju akta te znajdują się zapewne w rękach ks. Centa, który powinien te akta przesłać do Muzeum Raperswylskiego jako własność stowarzyszenia kapłanów a nie zatrzymywać u siebie. Jeżeli to w krótkim czasie nie nastąpi, to żyjący jeszcze członkowie naszego Stowarzyszenia, a niezmiennie trwający w wyznawanych zasadach, dopomną się o wspólną własność w odpowiedni i zapewne skuteczny sposób.

1864 we wrześniu po upadku powstania wielu księży polskich napłynęło do Paryża. Słysząc i widząc, że wielki krzyk powstaje między emigracyą na ks. Karola i na tych, którzy go otaczają — przybrał sobie bowiem jako sekretarzy ks. Józefa Wojciechowskiego, ks. Lisiewicza i ks. Szumowskiego; wszyscy z dyecezyi Płockiej [1]) — duchowieństwo polskie zebrało się nader licznie, bo w liczbie 65, aby założyć Stowarzyszenie Kapłanów polskich na emigracyi". Stowarzyszenie to miało na celu kształcenie się wzajemne i niesienie pomocy religijnej ziomkom, utrzymanie wiary św. i wydawanie pisma w obronie kapłaństwa polskiego. W tym też celu kosztem swym wydało broszurę przez doktora Żulińskiego Tadeusza napisaną p. t. „Duchowieństwo polskie wobec sprawy narodowej" i wydawało czasopismo „Wiara". Redaktorem był ks. Żuliński. Podczas sesyi pierwszej zgromadzenie to wydelegowało mnie do ks. Karola Mikoszewskiego, abym go przekonał i zaprosił na zebranie, abym mu przedstawił, że duchowieństwo polskie chce go obrać prezesem stowarzyszenia, a równocześnie ustanowić kontrolę nad groszem składkowym, który w imieniu duchowieństwa polskiego był zebrany. Chciano tym sposobem osłonić ks. Mikoszewskiego od różnych napaści i złych języków, gdyż w kraju zasłużył sobie na dobre imię. Obrabiałem ks. Karola więcej jak godzinę ale na próżno! Duma, obawa, żeby mu z rąk nie wzięto kierunku i nie odebrano grosza, głuche były na wszelkie moje wysiłki dyalektyczne; — rzekł mi ostatecznie: „Nie pójdę na zebranie, bo ja wiem, że są mi nieprzychylni, a co ja sam zrobił, tego z rąk nie wypuszczę". Pożegnałem ks. Karola z bólem serca, bo go kochałem, i złożyłem raport z danego mi mandatu, poczem przystąpiono do wyboru prezesa, sekretarza i trzech członków komitetu. Ks. Karol Mikoszewski sam więc został i sam za swe czyny odpowiada. Źle na tem bardzo wyszedł — pomimo że ks. Jełowicki na przekór Stowarzyszeniu kapłanów zaprosił go na kazania niedzielne w Assomption. Włócząc się po kawiarniach i restauracyach z osobami rządowi francuskiemu podej-

---

[1]) Ten ostatni fałszował ruble moskiewskie w Londynie i Bruxelli i złapany został na gorącym uczynku przez policyę.

rzanymi i z trzema owymi księżmi, których to jako sekretarzy sobie przybrał, a którzy pochlebstwami dumę i próżność jego podsycali, doprowadził do tego, że policya francuska kazała mu opuścić Paryż i Francyę. Zirytowany i rozgoryczony udał się do Hiszpanii, aby tam zbierać grosz na rzecz biednych Polaków. Dowiedziawszy się od księdza Różyckiego w Madrycie zamieszkałego, gdzie urząd bibliotekarza pełnił, że ksiądz Mikoszewski działa w imieniu duchowieństwa polskiego, Stowarzyszenie kapłanów zadecydowało wysłać telegraficzny protest do arcybiskupa Madrytu: „Ks. Karol Mikoszewski nie ma żadnego mandatu od duchowieństwa polskiego; jeżeli działa, to we własnem imieniu“. Władza konsystorska w Madrycie wzywa księdza Karola Mikoszewskiego, pokazuje mu telegram podpisany przez ks. Kotkowskiego i ks. Żulińskiego, członków komitetu Stowarzyszenia kapłanów polskich na emigracyi. Ks. Karol postarał się u p. Agatona Gillera w Zurychu o poświadczenie, że był w kraju mandataryuszem duchowieństwa polskiego, pokazał to pismo w konsystorzu madryckim, rehabilitując się wobec władzy, że nie jest intruzem. Arcybiskup mimo to wzbronił mu nadal zbierać składki na rzecz Polaków.

Ks. K. Mikoszewski udał się przeto do Stanów katolickich południowej Ameryki i tam przez kilka lat zbierał grosz na biednych rodaków. Nieraz dzienniki wspominały o ks. Mikoszewskim, on sam nieraz przysyłał znajomym fotografie wyobrażające go siedzącego przy stoliku na placu publicznym pod chorągwią Matki Boskiej Częstochowskiej, aż nareszcie „Głos Wolny“ wychodzący w Londynie ogłosił, że ks. Karol przybył z Ameryki do Londynu z wielkim kapitałem. Jako też wkrótce wezwał ks. Mikoszewski Gralewskiego Mateusza i Gillera Agatona do Londynu, aby naradzić się, na jaki cel obrócić zebrane przez niego kapitały. Zawiązuje się tedy w Paryżu komitet „Pomocy Naukowej“, którego członkiem ks. Mikoszewski ogłoszonym został. W skład tegoż komitetu weszli: Ruprecht, Giller, Grabowski, ks. Roman Wilczyński, Nabielak Ludwik, Chodźko Aleksander. Na prezesa wybrano hr. Jana Działyńskiego. Ile owemu komitetowi ks. Karol grosza oddał, a ile zostawił sobie, w to nie wchodzę, to tylko nadmieniam, że rachunki były

drukowane, i że ks. Karol ze swej czynności w Ameryce otrzymał absolutoryum. Ks. Karol obrażony na duchowieństwo emigracyjne za ów protest zaniesiony do Madrytu wolał działać z cywilnymi, którzy go wyzyskiwali, aniżeli wspólnie z duchowieństwem Stowarzyszenia.

Stowarzyszenie kapłanów polskich w cichości śledziło działalność ks. Mikoszewskiego. Artur Wołyński zawezwał go do Rzymu, chciano go bowiem zrobić biskupem *in partibus*. Jaki wszelako rozwój czynności ks. Karola był w Rzymie, nie wiem, to tylko pewna, że nie logiczny, gdyż rząd papieski nakazał rewizye w jego pomieszkaniu z poleceniem natychmiastowego opuszczenia Rzymu. Czytam znów, że ks. Mikoszewski bawi w Genewie, pisze list otwarty do kardynała Patricciego, chcąc zostać reformatorem kościoła pod względem administracyjnym i drukuje francuską broszurę: „La reforme de l'église catholique“, w której oburza się na złe obejście się z nim w Rzymie. Uwagi godną, że przydaje sobie tytuł „obrońcy ludu polskiego“.

W roku 1875 odwiedza mnie w Krakowie ks. Karol oświadczając, że wraca do Warszawy za pozwoleniem rządu moskiewskiego przez Orłowa, ambasadora, z Bruxelli mu doręczonem. Zdziwiłem się mocno, że członek Rządu Narodowego spokojnie wraca do kraju; usiłuję go odwieść od jego zamiaru przedstawiając, żeby nie kompromitował swej politycznej przeszłości wobec duchowieństwa polskiego, że wszyscy za złeby mu poczytali, gdyby miał wejść w bliższe z rządem rosyjskim stosunki. Ale moje serdeczne przedstawienia były grochem rzucanym o ścianę. Nie usłuchał rad życzliwego kolegi — i pojechał. Na granicy Królestwa dano mu dwóch żandarmów — zawieziono go wprost do cytadeli warszawskiej; siedział tam 8 miesięcy; wtem dzienniki niemieckie i polskie głoszą, że ks. Karol Mikoszewski przybył do Warszawy, aby kościół katolicki połączyć z prawosławnym. Duchowieństwo warszawskie oburza się do żywego taką wiadomością; naradziwszy się między sobą, postanowiło wysłać deputacyą z prośbą do ks. Zwolińskiego, administratora archidyecezyi warszawskiej, by wpływu swego użyć zechciał na namiestn. ks. Berga w celu usunięcia ks. Karola z Warszawy. Namiestnik aż nadto przychylił się do tego ży-

czenia, bo wysłał go bez żadnych protokułów aż do Ostrorogu, miasteczka gubernii woronezkiej. Tam ks. Mikoszewski 12 lat przesiedział; pisywał do mnie do Krakowa o zasiłek pieniężny, bo cierpi wiele — wspominał o swym testamencie ostatnim, że pisze pamiętniki, że chory i opuszczony.

Bardzo mi żal go było, że przez swą próżność i namiętność dał się złapać na lep Moskalom i teraz cierpi.

W r. 1886 w lutym zjawia się ks. K. Mikoszewski za paszportem emigracyjnym w mojem mieszkaniu w Krakowie; opowiada koleje swego życia w Madrycie, w Portugalii, w Ameryce i w Rosyi. Ciekawe byłyby jego pamiętniki, gdyby ujrzały światło dzienne. Ks. biskup Dunajewski daje mu celebrat (pozwolenie na msze św.). Z ks. Sewerynem Paszkowskim w Krzeszowicach wpływamy na ks. Karola, aby publicznie odwołał w dziennikach wieść rozpuszczoną o zamiarze jego łączenia kościoła katolickiego ze schizmą. Ks. Karol zgadza się, i zredagowane przez niego pismo podajemy do „Czasu“ i „Nowej Reformy“. „Czas“, który często źle pisał o ks. Karolu, nie czuł się w obowiązku tego ogłosić, a „Nowa Reforma“ drukuje, za nią powtórzyły inne dzienniki. Zaczął biedak oglądać się za ulokowaniem w hierarchii duchownej, lecz nie w Galicyi, bo ta nie odczuwa położenia znękanego emigranta. Wtem policya krakowska wzywa go dnia 7 marca 1887 i ogłasza mu dekret z Wiednia (?!), żeby opuścił Kraków i całą Austryą. Udał się do biskupa Dunajewskiego o przedłużenie celebratu, ks. biskup oświadcza mu, że „prowadzi życie niemoralne, z kobietą chodzi po ulicy i mieszka z nią“. Ksiądz Karol znękany, chory zdziwił się, że taka potwarz spada na niego; bratowa to bowiem była, która z córką umyślnie z Kongresówki w celu powitania go przybywszy, zamieszkała na ulicy św. Jana l. 24, w mieszkaniu swego szwagra. Znam ową bratową, bo jej syn był w konwikcie pijarskim. Jakoż bratowa ks. Karola za poradą moją udała się z córką do ks. biskupa Dunajewskiego, aby przekonać go, jak fałszywych mu udzielono wiadomości — że gotowa przysięgę złożyć o prawdzie swych zeznań. Oto sądy na człowieka, który chciał żyć po katolicku, poprawić się za życia i jeszcze pracować w winnicy Pańskiej. Opuszczony

w rozpaczliwem położeniu swem nie znalazł ciepła u swoich, tylko wszędzie surową a bezwzględną sprawiedliwość bez miłosierdzia i współczucia — a taką sprawiedliwość potępił Chrystus Pan. W cukierni Redolfiego profesor G. słyszał, jak trzech obywateli rozprawiało, że ks. Mikoszewski jest szpiegiem moskiewskim, że ma znaczny kapitał i hula sobie. Bezwstydni próżniacy! zawstydziłem ich i zaprotestowałem ich orzeczeniu — bo nie mieli dowodów, a szarpali sławę nieznanego im człowieka.

Dnia 22 marca Mikoszewski wziąwszy odemnie 25 złr., opuścił Kraków pod dozorem policyi udając się przez Szląsk do Budapesztu, aby tam przy kościele katolickim dostać zatrudnienie.

Dnia 3 października prezes Stowarzyszenia Polaków w Peszcie p. Stępień doniósł mi listem, który spoczywa w aktach moich: „Ksiądz Karol Mikoszewski w Budapeszcie w szpitalu Bonifratrów po katolicku i po polsku żywot swój w nędzy i miłości ojczyzny zakończył. Przed śmiercią wyrobił sobie u ministra i kardynała węgierskiego pozwolenie otworzenia szkoły polskiej. Tę tylko miał pociechę, że papiery i pamiętniki jego złożone zostały w konsystorzu katolickim w Budapeszcie“. Rodzina powinna się zgłosić po te pamiętniki i wydobyć je z ukrycia. Oto krótki lecz prawdziwy żywot ś. p. ks. Karola Mikoszewskiego [1]).

---

[1]) Przytaczam w tem miejscu sąd p. Stefana Buszczyńskiego o ks. Karolu Mikoszewskim w tym celu, aby mię nie posądzano, że prawdę chcę taić; owszem pragnąłbym szczerze wyświetlić rzecz, jak się ma rzeczywiście. Czy czytelnik pójdzie za moim czy za pana Buszczyńskiego zdaniem, będzie to rzeczą sumienia. Moje zadanie spełniłem. Błędy nieboszczyka kładę na karb jego naiwnej, dziecinnej prawie próżności i nie zdawania sobie sprawy o skutkach chwilowej nierozwagi; nie sądzę bowiem, aby błędy, które popełnił, miały być wynikiem złej woli. A teraz niechaj czytelnik posłucha słów pana Buszczyńskiego:

„Wartość tak ważnych pamiętników byłaby w najwyższym stopniu osłabioną przez obronę księdza Mikoszewskiego. Nie pojmuję, jak można go bronić?! ks. Mikoszewski był w całem znaczeniu tego słowa odstępcą, renegatem. Napisał hańbiący akt skruchy do Rządu moskiewskiego, „żałując za swe grzechy“ jak się wyraził, błagając o przebaczenie. Zmazał charakter Polaka i kapłana. Rzadką sprawiedliwością kierował się

Ksiądz Kacper Kotkowski.

Ksiądz Kacper Kotkowski, kanonik honorowy i proboszcz z Ćmielowa w dyecezyi sandomierskiej, przełożony domu Demerytów na Łysej-Górze, podczas ruchu narodowego w roku 1861, 1862 i 1863, odznaczał się gorącym duchem i młodzieńczym zapałem, obudzał w duchowieństwie młodszem i obywatelstwie ducha czynu i poświęcenia. Był mężem zaufania w dyecezyi sandomierskiej; komitet centralny wzywał go często na sesye. On to nie mogąc bywać w Warszawie polecił księdza Karola Mikoszewskiego, aby go zastępował w komitecie centralnym. Ów ks. Kotkowski przybył do Krakowa w roku 1863 na odpoczynek i aby ujść aresztowaniu przez Moskali. Był on doradzcą generała Bosaka (Haukego) w jego obozie. Moskale kilka razy w nocy zajeżdżali na probostwo, chcąc pochwycić buntownika. Nie znalazłszy go, wszystkie rzeczy, obrazy, meble, bibliotekę, bieliznę wynieśli z plebanii na rynek miasteczka i spalili je w obec jego parafian mszcząc się, że nie mogli go uwięzić. Ksiądz Kotkowski zamieszkał w gmachu naszym pijarskim, sąsiadował ze mną i załatwiał wszystkie interesa województwa sandomierskiego. Kilka razy robiła policya rewizye u mnie i u ks. Kotkowskiego. Za bardzo jawnie wszystkie czynności się odbywały. Niezmordowany ten mąż aresztowany przez policyą krakowską i osadzony na zamku, chorował w areszcie i wiele cierpiał. Ks. kanonik Teliga jego kolega seminaryjski złożył 12000 złr. kaucyi, poczem ks. Kotkowskiego wypuszczono.

Wyszedłszy z więzienia tym większego wpływu nabierał; Bosak nic bez jego porady nie rozpoczynał. Obawiając się, aby drugi raz nie był aresztowany, postanowił wrócić do obozu

---

w tym razie rząd moskiewski: bo ukarał zdrajcę sprawy polskiej nie dowierzając mu. Najnikczemniejszy bowiem rząd, nawet taki jak moskiewski, używa często zdrady do swoich celów, ale zdrajcami brzydzi się, pogardza nimi. Później ks. Mikoszewski przybywszy do Krakowa głosił, iż żałuje swojego postępku względem moskiewskiego rządu i t. p. Nikczemna to postać! Kto się nie brukał, nie potrzebuje oczyszczać się. Najlepiej nie brukać się. Ks. Mik... godzien najsroższego potępienia.

w sandomierskie. Ale wkrótce zmuszony był udać się do Paryża. Rząd narodowy zwrócił księdzu kanonikowi Telidze owe 12000 złr.

W Paryżu miał z początku ów kanonik wielkie zaufanie w partyach różnych. Mierosławski drukiem ogłosił go jako jedynego czystego męża, który wypłynął z roku 1863, i oddał mu całe bogactwo narodowe po za krajem pozostałe to jest kapitały, broń wszelką i akta rozmaite.

Duchowni obrali go prezesem Tow. kapłanów na emigracyi. Ale cóż! kiedy na nieszczęście swoje wmieszał się w sprawy inspirowane przez zapaleńców chcących odnowić powstanie w Polsce. Nieznajomość ludzi zgubiła go — uległ intrydze.

Z wielką wiarą i najlepszą intencyą czynił zabiegi razem z Gutrym, Kurzyną, Bossakiem; tworzyli komitet narodowy i wysyłali emisaryuszów do Warszawy i do całego narodu.

Wiedziałem o tej fantastycznej pracy od generała Mierosławskiego. Ks. Kotkowski przybywszy do mnie na rue St. Sulpice chciał mnie wciągnąć do tej nowej organizacyi, ale pod warunkiem złożenia przysięgi. A ja mu na to: „Na co przysięga, kiedy ja wiem o całej waszej organizacyi! Kanoniku nie galopuj! My duchowni mieliśmy pole działania w organizacyi kraju, byliśmy użyteczni jak sprycha w kole, mieliśmy zaufanie, ale w Paryżu na wielkim świecie, po za granicą, jesteśmy mali, okpią kanonika przewrotne umysły i kwita! Słuchaj kanoniku Słotwińskiego, który przejechał morze Czarne i Śródziemne, poznał ludzi w Turcyi, we Włoszech i Rzymie. Lękam się o kanonika“. Przykro było staremu, że się zawiódł na mnie. „Więc do żłobku wygodnego już zabierasz się księże Adamie?“ Ja mu na to odpowiedziałem: „Mamy wielkie pole kształcenia się, jeżeli będziemy kierowani przez ks. kanonika jako duchowni“. Na tem rozmowa nasza się urwała. Opowiedziałem o tej naszej rozmowie ks. Korolcowi, Żulińskiemu, Balczewskiemu, Litwinowi, i ks. Tańskiemu.

W kilka tygodni potem dowiedziałem się od Jana Kurzyny, że powstała separacya w ich składzie. Jan Kurzyna brał rzecz przedmiotowo, Gutry i Kotkowski fikcyjnie i fantastycznie, Kurzyna tedy jako komisarz Rz. Narod. nie dawał

pieczątki i podpisu na ich rozporządzenia i ustawy. Jan Kurzyna nie chciał należeć do fałszowania rubli itp. Z tego pojedynek między Gutrym a Janem Kurzyną w Szwajcaryi. Godne uwagi okoliczności tego pojedynku niefortunnego. Jan Kurzyna wyzwany przez Gutrego, starego konspiratora na polu narodowym, nigdy broni w ręku nie miał; szanując przeszłość polityczną swego przeciwnika, choć miał prawo do pierwszego strzału, nie użył go, a pan Gutry, zawzięty a doświadczony w pojedynkach, bezczelnie nadużył swej przewagi. Ś. p. Jan ciężko ranny, przywieziony do Zurychu, wśród wielkich boleści w szpitalu żywot zakończył. Ks. Kotkowski pewnego razu przyszedł do mnie, zmęczony, ze zmartwienia zielony, z powodu, że nie może od Kurzyny odebrać kapitałów zabranych z banku polskiego, a on za nie odpowiedzialny. Mówił do mnie: „Co tu zrobić, aby ten kapitał cząstkowo odebrać z rąk Jana? Ja mu na to: „Doskonale znam Kurzynę, idź do niego kanoniku, śmiało a stanowczo żądaj od niego tego depozytu, za który odpowiadasz, a zaraz ci go odda, bo on jest człowiekiem prawym, tylko nieco tchórzliwym“. Nabrał ks. Kotkowski odwagi, poszedł do niego a Kurzyna oddał mu bez dyskusyi ów depozyt za pokwitowaniem. Zadowolony wielce, wraca do mnie i powiada, że doskonale znam Jana. Ks. Kotkowski tak dalece zaawanturował się, że był ścigany przez policyą francuską, o aresztowaniu jego dowiedziałem się przy Tour. St. Jacques od generała Mierosławskiego życzliwie usposobionego dla duchowieństwa polskiego. Oto jego słowa: „W tej chwili dowiedziałem się, *qu'un prêtre polonais Kotkowski sera arreté.* Baczność więc, aby wam nie szkodził“. Tego samego dnia na sesyi naszego Towarzystwa zawiadomiłem o tem komitetowych: ks. Żulińskiego, Tańskiego, Balczewskiego i Wiśniewskiego. Następujący wówczas postawiłem wniosek, który ks. Janowi Tańskiemu sekretarzowi do protokółu wpisać poleciłem: „Stanowczo pytamy czcigodnego kanonika, naszego prezesa, czy chce nam nadal przewodniczyć i uczyć się razem a porzucić czynności polityczne, które nie są na czasie. Niech nam na to stanowczą da odpowiedź na piśmie“. Ks. Jan Tański zapisał ten wniosek, podpisaliśmy się wszyscy, a ks. Kotkowski obiecał za parę dni dać odpowiedź

stanowczą. Użalał się na mnie, i było mu przykro, że Pijar napada na niego tak zapalczywie.

Wtem znika ks. Kotkowski z Paryża, policya łapie go w Bruxelli i przywozi do Mazas (areszt straszny, samotny) zarządza rewizyą u sekretarza Tańskiego i zabiera akta nasze wraz z księgą protokułów. Po kilku tygodniach powiedziano Tańskiemu na policyi, że mamy wielkie szczęście, ponieważ znaleziono wniosek w aktach podpisany przez księży nie pozwalający prezesowi mięszać się w sprawy polityczne.

Biedny Kotkowski siedział $1^1/_2$ roku w Mazas, potem wypuszczony, znękany oddał się w opiekę ks. Jełowickiemu temu, który potępiał ruchy narodowe i znieważał duchowieństwo polskie. Później wyjechał do Antwerpii, tam skromne, ascetyczne życie prowadząc, umarł w biedzie.

Ksiądz Norwojsz Antoni, Żmudzin emigrant, był moim towarzyszem w parafii świętego Bernarda (subdyakonem) i mieszkał w tej samej kamienicy co i ja. Ciekawy także epizod w życiu tego księdza. Złapany przez Moskali w obozie powstańczym, okuty w kajdany, uwięziony w Kownie i skazany na śmierć — już się wyspowiadał, odczytano mu wyrok śmierci, który podpisał. Wieczorem z kaźni wypuszczono więźniów na spacer zwykły, był między nimi ks. Norwojsz. Kiedy zadzwoniono na więźniów do kaźni, ksiądz Norwojsz widząc, że straż zamyka na kłódki bramy, kryje się na podwórku więzienia. O godzinie 8-mej wieczorem przystawiono do wysokiego muru beczki próżne, wchodzi po nich w górę i spuszcza się zewnątrz na ulicę, łapie zwożczyka, bierze jego czapkę dając kilka rubli Moskalowi, ten kryje go u pewnego gospodarza za rogatką Kowna i tym sposobem ocala jego życie. Ks. Norwojsz mieszka dziś w Paryżu.

Ks. Karol Korolec, proboszcz z dyec. podlaskiej i wojewoda podlaski podczas powstania, silny i nieugięty charakter, na cholerę umarł w Paryżu w cyrkule Batignolles. O celebrat ks. Jełowickiego nie prosił. Szkoda wielka tego męża.

Ks. Sew. Paszkowski, proboszcz z Maciejowic, mąż zaufania dyecezyi podlaskiej, także silny charakter i świątobliwy kapłan, przybył na emigracyą do Paryża w r. 1864 w listo-

padzie; wierny zasadom Stow. kapłanów polskich, niczem nieugięty, zetknął się ze mną jako ze swym znajomym jeszcze z Łukowa przed wywiezieniem mnie w głąb Rosyi; do samego oblężenia Paryża mieszkał ze mną wspólnie á la Chapelle Nr. 10 [1]). Do śmierci jego (10/12 1890 r.) łączyły nas węzły prawdziwej i szczerej przyjaźni, a nie wedle wiatru, czasu, piwnicy lub podniebienia, jak się dzisiaj często dzieje. Jako dobry patryota wciągnięty został przez ks. Kotkowskiego do komitetu, ale czynnego udziału nie brał.

Poznałem w Paryżu panią Potocką z Kościelnik, bywałem w pięknych jej salonach na rue St. Honoré, pragnęła widzieć księdza Pijara z Krakowa, bo ją łączył dawny stosunek z Pijarami. — Pijarzy mają ulokowany kapitał w Kościelnikach. Była to kobieta odznaczająca się niepospolitą urodą — oczytana, wiele od niej dowiedziałem się o Ojcu Lacordaire i o stósunku Piusa IX do Wiktora Emanuela. Piękne listy odbierała od Ojca Wentury, Lammenaisgo, Antonellego i Montelemberta. Szkoda wielka, że ich nie czytałem. Gdzie są obecnie, w jakich się znajdują rękach, tego nie wiem. Ponieważ cierpiała na piersi, z polecenia doktorów umówiono i zadecydowano podróż do Indyi w towarzystwie p. Donneta, brata kardynała z Bordeaux i doktora Bryndzy rodem z Krakowa. Ja także miałem do towarzystwa podróżnego należeć jako kapelan. Bryndza, żydek krakowski ucywilizowany, tęgi mężczyzna, tak się umiał wkręcić w stosunki p. Potockiej, że był jej powiernikiem i przyjacielem domu. Mnie on bardzo nie podobał się, wyzyskiwał on też tę zacną panią nikczemnie, dała mu 35000 reńskich do zmiany, wziąwszy ten kapitał, drapnął, ani policya francuska, ani angielska nie była w stanie go pochwycić. Zapewne umknął

---

[1]) Ks. Seweryn Paszkowski z Paryża udał się na dwa lata do Rzymu i tam otrzymał stopień naukowy Licencyatu z prawa kanonicznego. Za jego pośrednictwem stowarzyszenie kapłanów z Paryża wysłało Memorandum do Ojca św. Ksiądz Seweryn bronił i w Rzymie duchowieństwo polskie od zarzutów mu czynionych; aż do śmierci swej pozostał wierny zasadom stowarzyszenia kapłanów polskich na emigracyi. Pochowany w Tenczynku; nad grobem przemówił serdecznie ksiądz Smoczyński z Tenczynka podnosząc ś. p. Seweryna prawy charakter i przyjaźń niezmierną dla kolegów.

do Ameryki, a biedna separatka musiała cichaczem w nocy opuścić najęte w Paryżu apartamenta umeblowane, i w nędzy w Bruxelli wkrótce umarła. Projektowana więc podróż nasza do Indyi spełzła na niczem. W mojem pomieszkaniu na „la Chapelle“ przebywali bardzo często Gustaw Zakrzewski z Teodorem Jasińskim. Była to prawdziwa i rzadka przyjaźń między tymi ludźmi w dzisiejszych czasach, podobna do przyjaźni mojej z ks. Sewerynem Paszkowskim lub Kościuszki z Niemcewiczem. Później zamieszkali w Genewie ci dla mnie jak najżyczliwiej usposobieni mężowie. Odwiedzałem ich podczas wakacyi. W Genewie widziałem w całej postaci obraz Piusa IX wystawiony w oknie wystawnem w pierwszorzędnej księgarni z następującym podpisem: „*Ce frère a condamné ses frères*“. Loża masońska zapewne kazała pod obraz ten podpis położyć.

W Genewie zauważyłem, że na świątyniach kalwińskich nie było krzyża jako godła ogólnie chrześciańskiego. Z Teodorem Jasińskim, mówiącym doskonale po francusku, udaliśmy się do pastora pierwszorzędnej parafii katedralnej, zapytując go, dlaczego na świątyniach jego wyznania krzyża niema. Pastor z zimną krwią odpowiedział: „Na Zborze wspólnym zadecydowali starsi, że krzyż jest godłem bojaźni a zatem niestósowny jako sztandar młodego pokolenia“ [1]). Rozśmialiśmy się w duchu z tego rozumowania a utwierdziliśmy się w nauce naszego kościoła, bo krzyż jest godłem męstwa i cierpliwości, cnót niezbędnych w życiu ludzkiem. Wieszcz nasz Adam Mickiewicz radzi matce Polce zakładać dziecku kajdany na nogi, aby zawczasu najdotkliwszemi przykrościami się zahartowało i zawczasu skosztowało goryczy, jaką cały naród polski w niewoli się karmi.

Do najprzyjemniejszych wspomnień moich należy wycieczka z generałem Bosakiem na górę Mont-Blanc pod Genewą. Miły w rozmowie, stanowczy w swych zdaniach, cichy, szybko się oryentujący — słowem obdarzony przymiotami pra-

---

[1]) Jak się później dowiedziałem, i protestanci augsburscy niektórych prowincyi niemieckich, mianowicie po większych miastach n. p. we Wrocławiu godłem krzyża zborów swych nie odznaczają, i tem już zewnętrznie gmachy ich wyróżniają się od świątyń katolickich.

wdziwego wodza. Wielce żałował swego najzaufańszego powiernika w obozie, ks. Kacpra Kotkowskiego — ubolewał nad jego nieszczęściem, jakie go w Paryżu spotkało. Był bowiem święcie przekonany, że ks. Kacper czynił wszystko w dobrej myśli i dla dobra Ojczyzny.

W Genewie w roku 1869 w czasie wakacyi zjechaliśmy się z ks. Tańskim, Bolczewskim i Stodulskim, aby ks. Tadeuszowi Chromeckiemu, przybyłemu co tylko z Marsylii a udającemu się do Lwowa na obchód trzechsetnej rocznicy Unii Lubelskiej i uroczystość usypania kopca pamiątkowego na Wysokim Zamku — dać upoważnienie przemawiania w imieniu stowarzyszenia kapłanów polskich na emigracyi, którego wszyscy byliśmy członkami. Na wspólnym obiedzie wręczyliśmy ks. Tadeuszowi paręset franków na tę podróż. Mile czas nam schodził na pogawędkach i spacerach nad jeziorem Genewskiem.

W Paryżu często cierpiałem na straszliwy ból głowy z powodu prawego oka, w którem mięso żywe rosło i zasłaniało źrenicę, tak że nie mogłem rozpoznawać kolorów. Za pośrednictwem Dra Tadeusza Żulińskiego doznałem wielkiego dobrodziejstwa od Dra Gałęzowskiego młodszego, profesora okulistyki w akademii medycznej w Paryżu. Przez sześć tygodni leżałem w jego klinice; dokonał na mem oku operacyi sam wobec bardzo licznego grona doktorów z całego świata, którzy przybywali umyślnie słuchać jego wykładów, i wobec Nelatona. Dr. Gałęzowski szczycił się tą operacyą; była ona trzecią z rzędu w jego zawodzie lekarskim i z wielkim skutkiem przeprowadzona. Nie przyjął żadnego wynagrodzenia odemnie, tylko prosił mnie, abym raz w tydzień bywał w akademii medycznej dla pouczenia obecnych lekarzy. Za trudy i opiekę prawdziwie ojcowską, jaką ten rodak wielkiego umysłu i serca mnie otoczył, dałem mu, poradziwszy się dra Żulińskiego, na pamiątkę najświeższe dzieło medyczne, za co mi serdecznie podziękował.

Ze starej emigracyi poznałem w Paryżu zacnych demokratów, jak: Reppla autora „Cyryla i Metodego", Janowskiego Nepomucena, Zaleskiego Bohdana, Królikowskiego księgarza, Heltmana, Karola Różyckiego i wielu innych mężów zasłużonych wobec kraju. W rozmowach z nimi na spacerach lub na kawie

czarnej wielcem się pouczał o charakterach i o poświęceniu młodzieży. Zrozumiałem walkę z Hotelem Lambert i partyą Zamojskiego. Nie mając jednakże na celu rozbierać działania emigracyi z r. 1830 i 1848 nie rozwodzę się wiele o tych partyach. Tego jednakże pominąć nie mogę, że p. hr. Stanisław Tarnowski w organie swoim „Przeglądzie Polskim" podając życiorysy mężów owej partyi, tendencyjnie i jednostronnie rzecz przedstawia [1]) a czytelnika w błąd wprowadza. Chcąc się o tem przekonać, niechaj tylko czytelnik porówna życiorys ks. Waleryana Kalinki pisany przez niego z niniejszym, skreślonym przez przyjaciela O. Waleryana i jego nauczyciela.

Ks. Waleryan Kalinka.

Ojciec Waleryana Kalinki urzędnik poaustryacki, rodem Czech, był sędzią III-ciej instancyi Rzeczypospolitej Krakowskiej; umarł w r. 1843. Waleryan już w młodzieńczym wieku okazywał wielkie zdolności, zamiłowanie do historyi i skłonność do sarkazmu. Uczęszczał na wydział prawny tutejszego uniwersytetu, drugi jednakże tylko rok ukończył. Swego czasu pomagał w bibliotece ś. p. Muczkowskiemu; obeznawszy się z bibliografią stał się niezmiernie zarozumiały. Zabrał się do przygotowania nowej edycyi „Rysu piśmiennictwa polskiego" Lesława Łukaszewicza, który o kilka arkuszy swoimi przyczynkami powiększył. Pracę tę zakomunikował Michałowi Wiszniewskiemu, profesorowi historyi w tutejszym uniwersytecie, autorowi „Metody tłómaczenia natury Bakona", „Historyi literatury polskiej" i t. d. Wiszniewski nie pochwalił tej pracy zwracając uwagę, że nie godzi się wydawać na nowo książki żyjącego autora bez jego upoważnienia. Waleryan użalał się na to mówiąc, że mu Wiszniewski zazdrości. Ktoś inny, któremu tę

---

[1]) Nieraz już dostał hr. Tarnowski stósowną odprawę od różnych osób prawdę miłujących. Ks. Seweryn Paszkowski w obronie duchowieństwa polskiego zażądał nawet od p. Tarnowskiego odwołania kłamstw i potwarzy.

pracę także dał do przeczytania pod warunkiem, że napisze swoje uwagi nad nią — przystać na to nie chciał. Mimo to zostawił mu Kalinka rękopism a raczej dodatki nowego wydania. Po przejrzeniu powtórzono mniej więcej to samo, co powiedział Wiszniewski i nadmieniono, że o dziełach dla młodzieży przeznaczonych na razie tylko wzmiankę uczynić wypada, a z oceną poczekać trzeba, dopóki się nie ustali opinia publiczna. Z góry śmiało i stanowczo wyrokować nie wolno. O „Historyi prawodawstw Słowiańskich“ Wacława Aleksandra Maciejowskiego orzekł przy tej sposobności ów „Ktoś“, że mieści w sobie wiele paradoksów. Pewien zażyły znajomy rodziców Waleryana radził mu, aby sobie obrał stały zawód i w nim pracował, a dopiero po zapewnieniu sobie środków do życia zajmował się pracami literackiemi. Waleryan radę tę przyjął z szyderstwem. Radzący rzekł wtenczas, że gdyby jego ojciec żył jeszcze, zapewneby mu tak samo radził, ile, że u nas mało posad bibliotekarskich, a i te porucza się zazwyczaj tylko zasłużonym profesorom i literatom. Po niejakim czasie widząc się z tą osobą „uznałem“, rzekł, „pańską radę za słuszną i postanowiłem oddać się prawu rzymskiemu“. Gdy napomknięto, że zapewne przedewszystkiem przeczyta jakie dobre wykłady prawa rzymskiego, bo bez gruntownej znajomości starożytności rzymskich i łaciny różnych wieków nie dałby sobie rady i zgubiłby się w tym lesie, śmiejąc się odrzekł, że to droga dla osłów; on się będzie uczył wprost ze źródła t. j. z „*Corpus Juris Romani*“. W kilka miesięcy spotkał się znów z tą samą osobą i rzekł: „Miałeś pan racyą, o małom nie oślepł, straciłem kilka miesięcy i nic się nie nauczyłem“. Niebawem nadszedł rok 1846. Waleryan figurował jako sekretarz dyktatora Tysowskiego i wraz z nim udał się za granicę do Belgii, gdzie nieborak nie mając innego utrzymania, przez lat kilka jako zecer pracować musiał. W r. 1848 wraz z emigracyą wrócił do Krakowa. Prawdopodobnie bezpłatnie pracował znowu w bibliotece pod Rzesieńskim adwokatem, adjunktem Biblioteki Jagiellońskiej i zastępcą profesora na wydziale prawnym. Kiedy Zygmunta Antoniego Helcla wybrano posłem na Sejm w Kromieryżu, a z jego wyjazdem zawakowała docentura (nie posada)

prawa polskiego. Kalinka ubiegał się o nią i złożył program wykładów zdradzający, że o przedmiocie tym żadnego nie miał wyobrażenia, nigdy mu się nie oddawał i nawet źródeł nie znał. Powypisywał tylko treść rozdziałów z dzieła Skrzetuskiego, zmieniając wyrazy i wyrażenia na więcej pompatyczne, n. p. „Stanowisko żydów w Polsce“ — „Pogląd na finanse“ — „Pogląd na prawo wojskowe“ — rzecz najgłówniejsza i najważniejsza, prawo cywilne, prawo karne i t. d. — pozostała w cieniu. Gdy się ta kandydatura nie powiodła, starał się Kalinka o posadę profesora geografii w szkole technicznej krakowskiej z równą szarlataneryą i równem niepowodzeniem. Około r. 1850 wstąpił do redakcyi „Czasu“, gdzie pozwalał sobie wydawać lakoniczne, drakońskie wyroki na dzieła pojawiające się wówczas w Krakowie, choćby w przedmiotach, jak powszechnie było wiadomo, zupełnie mu obcych. Dzieła przez niego potępiane jednały sobie zwykle powszechne uznanie i rozgłos. Po pożarze Krakowa wydał pod pseudonimem Pęcławskiego paszkwil na profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ś. p. Józef Kremer dał mu odprawę w „Czasie“ nadmieniając, że autor znienawidziwszy Kraków, chciałby go po świeżym pożarze zalać potopem literackiego oszczerstwa. W tymże samym czasie chciano wziąć Waleryana w rekruty, a gdy żadnej przyczyny uwalniającej wyszukać nie było można, udał się po radę do jednego z difamowanych właśnie przez niego profesorów, który w ciągu 24 godzin wyjednał mu nominacyę na aplikanta Trybunału. Spiesznie złożył przysięgę i tym sposobem od służby wojskowej się uwolnił. Wkrótce potem wyjechawszy z kraju, udał się do Paryża, gdzie skreślił obraz Krakowa w rodzaju listów, w którym cały żar nienawiści i zemsty wyzionął z siebie na Krakowian za to, że nie znalazł posady odpowiedniej swoim zdolnościom. Niechaj czytelnik przeczyta owe listy w „Obronie spotwarzonego Narodu“ Zeszyt III. str. 261.

Nie mogąc znaleść w demokracyi polskiej w Paryżu odpowiedniego swojemu usposobieniu pola działania, Kalinka porzucił ją i torował sobie za pomocą dewocyi powoli drogę do „Hotelu Lambert“ czyli do ogniska prądów arystokratycznych. Dowiedziawszy się, że do kościoła św. Eustachego generał

Władysław Zamojski codziennie o godzinie 9-tej rano na mszę św. uczęszczał — i on tam chodził; leżał krzyżem w kościele modląc się gorąco. Szwajcar (Suisse) tego wspaniałego kościoła opowiadał mu, że generał Zamojski dowiadywał się o tego pobożnego młodzieńca. Dowiedziawszy się, że to Polak, ujęty taką pobożnością, zapraszał go do siebie; tak tedy droga do „Hotelu Lambert“ i archiwum i biblioteki familijnej Czartoryskich się otworzyła. Następnie zapisał się Walery do Towarzystwa świętego Wincentego à Paulo, wydziału polskiego, którego był sekretarzem. Poznajomiwszy się dobrze ze stosunkami familijnymi Czartoryskich, knuć zaczął „*complot*“ z pewną księżną. Ajenci Czartoryskich z różnych miast wschodu dowiedziawszy się o tym „*coup d'êtat*“ zjechali się do Paryża i jednogłośnie pana Waleryana jako intryganta wyrzucili z „Hotelu“. Po tem smutnem zdarzeniu Waleryan Kalinka udał się do Rzymu, został O. Zmartwychwstańcem, napisał „Historyą Sejmu Czteroletniego“ i założył Internat dla Rusinów we Lwowie.

O pobycie Waleryana Kalinki w Paryżu mam wiadomość od pułkownika Władysława Jordana, ajenta „Hotelu Lambert“ na wschodzie. Można mu wierzyć, bo przez długie lata działał w imieniu Czartoryskich. Jeżeli to kaczka lub plotka, to niech starzy przyjaciele księcia Władysława Czartoryskiego zaprzeczą. Wina nie na mnie, ale na pana Jordana wówczas spada. *Si non è vero, è bene trovato.*

Co do założenia internatu dla Rusinów we Lwowie, mnóstwo ciekawych rewelacyi mieści się w dokumentach tyczących się sprawy Unitów Podlaskich, znajdujących się u mnie.

Zapisujemy wreszcie, że kiedy wyszedł „Listopad“ Rzewuskiego, niezmiernie podobał się Kalince obraz stronników i przeciwników Konstytucyi 3-go maja tamże skreślony, a bodaj czy już wtenczas nie zakiełkowała w nim myśl obrabiania historyi polskiej ostatnich lat Rzeczypospolitej w duchu tego bardzo utalentowanego a jeszcze bardziej przewrotnego pisarza, magnata-bankruta, o którym cesarz Mikołaj wyraził się w Warszawie do króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV: „*Il est plus aristocrat que nous deux, plus catholique que le pape et plus russe que moi*“. Na tego samego Rzewuskiego H. obywatel

pewien z Kongresówki napisał satyryczną bajkę tej treści: „Razu pewnego magnat po dobrym obiedzie przechadzał się po ogrodzie i mówił do siebie: Co to za głupstwo ten polski patryotyzm! ja kiedy zjem i wypiję dobrze, jestem zupełnie szczęśliwy. Wtem z pobliskiego szpaleru wysuwa się zabłocona świnia i mówi: Jaśnie Panie! słowo w słowo moje zdanie!“

Dalsze szczegóły dotyczące pobytu mego w Paryżu.

Bardzo przyjemnie i korzystnie w Paryżu czas spędzałem, bo z każdym dniem rozszerzał się i rozwidniał horyzont mej wiedzy. Słyszałem najsławniejszych ówczesnych mówców, tak w parlamencie jak na prelekcyach publicznych i w kościele. Takimi byli: Jules Favre, Thiers, minister spraw zewnętrznych Rouhert, Gambetta, Olivier, Maretta, Gratry, Loison, Père Felix, Darboye i Dupanloup. Śledziłem objawy ducha filozoficznego, politycznego i socyalnego. Wielkie piękne opery, sztuki w Odeonie i komedye francuskie obok ciągłego postępu na polu wiedzy w najróżnorodniejszych kierunkach — wymowne to świadectwo żywotności narodu francuskiego, wyższości jego przed innymi; wzbudzało we mnie to wszystko wielki zapał. Zbytek, elegancya i pełna wdzięku wystawność wabiła cały niemal świat na bruk paryski. Porównując powagę i działalność arystokracyi mieszkającej w quartier St. Germain, jej poświęcenie bez granic w obronie wiary, jej wytrwałą działalność w literaturze katolickiej, jej szeroką wiedzę i wykształcenie wszechstronne — porównując, powtarzam, te zalety z przymiotami naszej polskiej arystokracyi z rodu i majątku, znaczną powiedziałbym, diametralną widzi się różnicę, która do smutnych rozmyślań pobudza.

Z każdym rokiem głębiej wnikałem w tajniki życia społecznego i umysłowego w Paryżu. Słusznie powiedział Mierosławski, że wiele w Paryżu nawet z kamienia zimnego może się nauczyć, kto szuka miłości Boga i Ojczyzny.

Nieraz rozmyślałem sobie o naszem Collegium Pijarskiem w Krakowie, i jedynym w całej Polsce azylu rozpędzonego przez Moskwę zakonu. Było ono wielce opuszczone i zniszczone przez

złą administracyę ks. Ad. Jakubowskiego i ks. Leop. Górnickiego. Atakowałem listownie ks. Chromeckiego, bawiącego w Marsylii u ks. Lazarystów, aby bądźto osobiście, bądź za pośrednictwem korespondencyi zniósł się z Rzymem i wyrobił obedyencyą na rektora u generała Pijarów ks. Maliszewskiemu Maciejowi, staremu Pijarowi, Krakowianinowi z urodzenia a zamieszkałemu w Straszburgu. Ks. Chromecki przychylił się do mojego życzenia, i obedyencya z Rzymu do Straszburga nadeszła. Ks. Maliszewski wsparty instrukcyą i radą moją opuścił Straszburg i udał się do Krakowa z prawem objęcia opuszczonego Collegium. W kościele pijarskim podczas wojny prusko-austryackiej był wojskowy magazyn mąki i zboża!

Tak tedy myśl moją po tysiącznych przeszkodach przyprowadziłem do skutku. Cieszyłem się tą miłą nadzieją, że ks. Maliszewski teraz z urzędu zawezwie mnie i ks. Chromeckiego do Krakowa. Niestety bolesnego zawodu doznało serce moje; od siostry ks. Maliszewskiego, utrzymującej pensyonat żeński, otrzymałem wiadomość, że brat jej Pijar w jej mieszkaniu zakończył życie a nie w Collegium, ponieważ ks. Górnicki w Collegium nie dał mu celi. Prace piśmienne ks. Maliszewskiego oddała siostra jego do Biblioteki Jagiellońskiej. Pomagał on Napoleonowi III w dziele o Juliuszu Cezarze.

Po wyjściu z wykładów w Sorbonie lub w Collège de France — od 4-tej do 6-tej szperałem w antykwarniach i bibliotekach nad Sekwaną. Szperaniu temu zawdzięczam wiele drogocennych dzieł dotyczących sprawy polskiej, które to książki złożyły się w bibliotekę daną przezemnie *„ad usum“* Pijarów w Krakowie. Często bardzo chodziłem sobie z ks. Alexandrem Balczewskim i Stodulskim do opery, naprzód włoskiej a potem francuskiej, do *Comédie française* — słowem poznaliśmy wszystkie teatra, koncerty i odczyty. Zakochałem się w filozofii i literaturze francuskiej; uczeni francuscy krwawo pracowali i pod manzardą swe osobiste przekonania przyszłości przekazywali, nie tak jak filozofowie i demokraci niemieccy na dywanie, w wygodnym szlafroczku — przy piwie. Ruch umysłowy i polityczny zaczął się w Paryżu jeszcze więcej wzmagać, kiedy Wenecyą cesarz austryacki oddał cesarzowi Napoleonowi III.

Wielka manifestacya po otrzymaniu tej wiadomości odbyła się w Paryżu. Powaga całego narodu okazała się w pełni swego majestatu. Wystawa powszechna w r. 1867 była najświetniejszą chwilą Paryża.

Niespodzianie zjawił się młody mściciel krzywd wyrządzonych narodowi polskiemu. Berezowski, młodzieniec wzorowych obyczajów i pracowity, z wielką rezygnacyą strzelił w *Bois de Boulogne* do cara Aleksandra II przybyłego na wystawę powszechną. Oburzenie chwilowe Francuzów na Berezowskiego nie znało granic. Przez kilka dni nazwa *„Polonais“* była wyrazem potępienia i wzgardy. Ale zdrowa i dojrzała prasa dziennikarska uspokoiła wnet umysły ludu, mieszczaństwa i duchowieństwa. Berezowskiego powieziono do Cayenne — siedzi biedak dotąd na wygnaniu. Arago świetnie bronił owego mściciela — od tego czasu datuje się jego sława, wybrano go na deputowanego. Prezes sądu najwyższego mówił przed moim proboszczem publicznie podczas obiadu wobec biskupa Darboye'a i licznych gości, że w przeciągu 45-letniego urzędowania swego nie miał delikwenta, któryby podobnej co Berezowski był prawości charakteru i nieskazitelności zachowania. Największym zarzutem, jaki mu czyniono, było, że uczył się głośno po nocach w swym pokoju i w śnie sąsiadom przeszkadzał.

W czasie wystawy urządziliśmy sobie z ks. Balczewskim niezwykłą przejażdżkę. Puściliśmy się oto z Trocadero balonem pod obłoki tak wysoko, że wskutek rozrzedzonego powietrza wszystkim gościom rzuciła się krew nosem, i wszyscy wielkie uczuliśmy osłabienie. Dzika ta przyjemność kosztowała nas po 5 franków.

O ile Francuzi sprzyjali Moskalom, o tyle znów niemal codziennie przychodziło do starć i wzajemnych urągowisk między ludnością francuską i niemiecką. Już w czasie wystawy pojawiały się pierwsze płomyki wzajemnej nienawiści, które potem wzrosły do pożogi pamiętnej wojny między Prusami a Francyą. Czyżby zgraja szpiegów Bismarka już wówczas przygotowywała materyał do zaczepki?

Wystawa w r. 1867 ustaliła sławę francuskich wyrobów po całym świecie; najwięcej uprzedzony znawca musiał uznać

wyższość Francuzów. Studyując usposobienie francuskie, przekonałem się, że więcej do wygody niż do wolności się skłania; zauważyłem to w życiu publicznem, w rodzinie i w stanie duchownym.

Po wystawie powszechnej w r. 1868 zajmowały umysły w Paryżu broszury ks. biskupa Dupanloupa dotyczące ogłoszonego w Watykanie „Syllabusa“ i ważniejszych punktów, jakie na Soborze Watykańskim miały być przedmiotem obrad. Broszury te doczekały się 24 wydań. Wszystkie dzienniki katolickie liberalne staczały walkę z ultramontanami. Tak w Collège de France, jakoteż i w Sorbonie obszernie te kwestye omawiano. Włochy zaczęły szerzyć propagandę przeciw Watykanowi; przebąkiwano o wkroczeniu armii włoskiej do Rzymu, o odebraniu władzy świeckiej Ojcu świętemu. Przysparzało to wszystko materyi polującemu na wszelkie nowości dziennikarstwu. Zacięta walka masoneryi z katolicyzmem stanęła na porządku dziennym. Wyprawa Francuzów z Maksymilianem austryackim do Meksyku także ogólne budziła zajęcie. Słowem kwestye podniesione w r. 1868 i 1869 rozjątrzały umysły w całej Francyi a nawet w całym ucywilizowanym świecie.

Stowarzyszeni kapłani polscy postanowili kosztem swym publikować pracę doktora Tadeusza Żulińskiego, bardzo ważną i sumiennie napisaną pod tytułem: „Duchowieństwo wobec sprawy narodowej“. Nadto założyliśmy dziennik polski na emigracyi „Wiara“ a redakcyą poruczyliśmy księdzu Kazimierzowi Żulińskiemu; pomoc zdolnych braci Józefa i Tadeusza, wiernych synów kościoła, dawała rękojmię jak największej staranności wydawnictwa. W piśmie tem znajdują się bardzo ciekawe artykuły i listy pasterskie arcybiskupów Przyłuskiego i Ledóchowskiego, z których przekonać się można jak odrębne było wobec ducha narodowego obu tych mężów stanowisko.

Dom Żulińskich był w Paryżu punktem zbornym dla wychodźców politycznych. Każdy myślący Polak odwiedzał Żulińskich, bo tam zawsze znalazł liczne grono reprezentantów wszystkich dzielnic Polski. Roman Żuliński (profesor gimnazyalny, założyciel bardzo użytecznych instytucyi niedzielnych dla sług) jako członek Rządu Narodowego schwytany i po-

wieszony przez Moskali; Edward wywieziony na Sybir; Tadeusz i Józef wielkiem cieszyli się poważaniem nietylko u swoich, ale i u Francuzów; Tadeusz odznaczał się bezinteresownością w udzielaniu rad lekarskich, Józef pracował gorliwie jako nauczyciel języka polskiego; Kazimierz Żuliński, były prefekt wyższej szkoły realnej w Warszawie, za budzenie ducha w młodzieży szkolnej usunięty przez Wielopolskiego z posady, kraj opuścić musiał. Nieraz podczas oblężenia Paryża musiałem z polecenia jego matki Tadeuszowi zwracać uwagę, żeby nie był tak skrupulatny w wydzielaniu mięsa wołowego; staruszka bowiem często porcyi swej zrzec się musiała, ponieważ syn jej inne osoby za więcej potrzebujące w sumieniu swojem uznał.

Stowarzyszenie Kapłanów polskich na emigracyi nietylko w Paryżu i w Rzymie, ale także w Poznańskiem i w Galicyi miało swoich nieprzyjaciół. Na dowód tego przytoczę, co Doktor Tadeusz Żuliński często opowiadał w kole swych bliższych znajomych: „Wrogiem Stowarzyszenia Kapłanów polskich jest ks. Ignacy Łobos, kanclerz konsystorza r. l. przemyskiego. Ile razy przybyłem z pomocą lekarską do biskupa Hirszlera, musiałem z wielką cierpliwością słuchać niesłusznych zarzutów głośno wypowiadanych przez ks. Łobosa na duchowieństwo z Kongresówki i na „Stowarzyszenie“ w Paryżu. Wymowy ks. kanclerzowi odmówić nikt nie może, umie on przymioty osób mu miłych podnieść do wysokiego stopnia jak również nie sympatycznych mu krytykować ostro. Razu pewnego przy pożegnaniu się z ks. biskupem prosił mię tenże, abym mu nie odmówił sposobności wywdzięczenia się za moją pomoc lekarską. Ja ucałowawszy ręce biskupa prosiłem, aby łaskawie raczył przeczytać kilka prac omawiających sprawy duchowieństwa polskiego na emigracyi, o którem z tak złośliwem uprzedzeniem wyraża się zawsze kanclerz Jego Excellencyi. Wysłałem natychmiast „Wiarę“, „Duchowieństwo polskie wobec sprawy narodowej“, „Troiste memorandum wysłane Ojcu św. Piusowi IX“, „Memorandum do Ojców Soboru Watykańskiego“, „Ostrzeżenie duchowieństwa i biskupów galicyjskich, aby seminaryów wielkich i małych nie oddawali w ręce Zmartwychwstańców“. Po kwartale jestem przy obiedzie biskupim, i znów ks. kanclerz zaczyna

wycinać stare swoje kuranty o kapłanach na emigracyi. Wówczas biskup uderzywszy dłonią dość silnie w stół, rzekł: „„Księże kanclerzu, od dnia dzisiejszego wymawiam sobie, aby w mej obecności nigdy źle nie mówić o duchowieństwie z Królestwa i o Stowarzyszeniu Kapłanów na emigracyi. Przeczytałem wszystkie ich prace, nie znalazłem nic przeciwnego wierze katolickiej ani karności kościelnej — a jeżeli są różnice polityczne między klerem świeckim a OO. Zmartwychwstańcami, nie jest to grzechem ani występkiem!"" Wielce z tego się wraz z sekretarzem ucieszyłem, a ks. kanclerz odtąd wycieczek polemicznych zaprzestał".

Niektórym stowarzyszonym kapłanom, zwłaszcza bezczynnym, jak n. p. ks. Centowi, przybyłemu z Monachium do Paryża, nie podobała się redakcya „Wiary". On to był agitatorem między kapłanami, aby nie dawać grosza na to pismo, jak je nazywał, blade. Powstały nawet dwie partye w stowarzyszeniu; jedni trzymali z Żulińskimi, drudzy poszli za ks. Centem. Pycha jego nie pozwoliła mu oddać słuszności Żulińskiemu, i tak ta separacya wzmagała się i sprowadziła obojętność między członkami. Ks. Cent był ducha dezorganizacyjnego — Żulińscy organizacyjnego. Chcąc obudzić i ożywić usypiające „Stowarzyszenie Kapłanów", z księżmi Żulińskim, Stodulskim i Balczewskim postanowiliśmy zbierać się tygodniowo na herbatę wspólną i na rozmowy pouczające. Ten projekt na czas jakiś przyjęty przez kolegów dobre owoce przynosił. Ileż to było chwil przyjemnych, każdy z nas wypowiadał szczerze swe zdanie o emigracyi i potrzebach kraju; również toczyły się dyskusye o literaturze francuskiej, jednem słowem były to prawdziwe spowiedzie koleżeńskie.

Z kraju pytano się nas, czy znów podjąć organizacyę narodową, bo odezwy z Paryża do tego zachęcają; odpowiedziedzieliśmy: „Naród niech liczy tylko na własne siły, niech pozbędzie się nadziei na niczem nie opartej, że Francuzi nam dopomogą. Francuzi nigdy nie narażą się Moskalom, wiedzą dobrze, że Niemcy czychają zawsze na Francyę, że Napoleon nie wynalazł takiej armaty, któraby z Paryża strzelała na

Moskali w Królestwie Polskiem". Te rady nasze dobry skutek odniosły.

Ks. Eustachy Szczeniowski, mentor synów pewnej familii na emigracyi, ile razy przybył z Szwajcaryi do Paryża, bywał na *Grande rue de la Chapelle* Nr. 10 w celu zrobienia kompromisu między Stowarzyszeniem Kapłanów a ks. Aleksandrem Jełowickim; mówił, że go bardzo boli, iż takie kłótnie między kapłanami się szerzą. Zwoływałem za każdym razem komitet Stowarzyszenia; stawialiśmy dowody nielogiczności i złej woli O. Jełowickiego. Ks. Szczeniowski nas wysłuchał ale od O. Aleksandra żadnej odpowiedzi nie przynosił. Widać, że tylko chciał ciekawość swą zaspokoić i dowiedzieć się, jaką nam przykrość wyrządzili OO. Zmartwychwstańcy, i jak się też bronią księża z Królestwa. Ks. Eustachy, Wołyniak, uczeń szkoły duchownej petersburskiej, nie chciał sobie zapewne rąk wiązać wstępując do Stowarzyszenia kapłanów polskich![1])

Ale jak każda rzecz ludzka nietrwała, tak i w naturze i usposobieniu ludzkiem, zwłaszcza polskiem, wielką rolę od-

[1]) Z ust ks. Eustachego Szczeniowskiego otrzymałem w roku 1891 w Krakowie następującą, ważną bardzo wiadomość dotyczącą zaparawanowych intryg dyplomacyi moskiewskiej — dzielę się nią na tem miejscu z łaskawym czytelnikiem. Ks. Eustachy za złe mi mej gadatliwości nie poczyta, bom prosił go dwukrotnie listami o zezwolenie zużycia udzielonej mi wiadomości. Ponieważ w ostatnim liście pisałem, że „milczenie" będę uważał za „pozwolenie" — a odpowiedzi nie odebrałem, przeto sądzę się być w prawie publikowania tego, co mi opowiedział. — „Wacław Rzewuski, przyjaciel Moskwy, przez całe swe życie notował skrupulatnie wszystkie szelmostwa i intrygi moskiewskiej dyplomacyi oraz panów polskich. Przed swą śmiercią ważny ten manuskrypt powierzył p. Władysławowi Mickiewiczowi pod warunkiem, aby skoro wieść o jego śmierci się rozniesie, zaraz go drukował. Władysław Mickiewicz opóźnił się z wypełnieniem woli nieboszczyka; Moskwa czując i obawiając się, że pisma Rzewuskiego mogłyby ją skompromitować, używała wszelkich sprężyn, aby owe pamiętniki wydobyć. Władysław Mickiewicz powinien był po pierwszym ataku ministerstwa francuskiego oddać te pamiętniki do druku, czego jednakże nie uczynił. Moskwa przez rząd pruski trafiła do ks. Czapskiej, wdowy, znanej w Paryżu, jako do siostry Rzewuskiego. Ona jako prawna spadkobierczyni wydaje proces p. Mickiewiczowi, który tym sposobem zmuszony był oddać powierzone mu pamiętniki w ręce Moskwy". Zapewne ich już nigdy polskie oko nie zobaczy!

grywa niewytrwałość, uganianie się za nowością i uniesienia chwilowe. Polacy mają przywary niewieście, bo są zwykle przez matki a nie przez ojców wychowywani — więc też między duchownymi, nieodrodnymi synami swojego narodu, nastała po chwilowym zapale obojętność i wkradło się niedbalstwo. Monitowaliśmy się wzajemnie a nawet wymazywaliśmy ze stowarzyszenia tych, którzy dwulicowość mieli na celu.

Napływało wielu exzakonników z Królestwa po zniesieniu klasztorów do Francyi. Ci zakonnicy pobierali od Moskali 150 rs. rocznie, skoro dobrowolnie opuścili Polskę, ojczyznę swoją. Surowo karaliśmy takie indywidua, bo w kraju potrzeba było księży dla parafii (bardzo bowiem wielu proboszczów wywiezionych zostało na Sybir i w głąb Rosyi za publiczne ogłoszenie manifestu Rządu Narodowego uwalniającego lud od pańszczyzny), a oni jako bezmyślne bałwany swobody osobistej po za granicami Polski szukali.

Są jeszcze w Krakowie księża tacy, i to na stanowiskach, którzy owe 150 rs. moskiewskich pobierają. Czyż to nie hańba Ojczyznę sprzedać za srebrniki?!

*
* *

Przebywając w Paryżu ks. Seweryn Paszkowski zamieszkał u mnie na *Grande rue de la Chapelle* Nr. 10; często zadawaliśmy sobie pytanie: — Dlaczego w mieszkaniach ludu polskiego nie widzi się wizerunków mężów zasłużonych n. p. Kościuszki, Ks. Poniatowskiego, Staszica, Kołłątaja, Skargi, Stanisława Konarskiego, Andrzeja Zamojskiego, Arcybiskupa Felińskiego, Ks. Stanisława Brzózki i t. d., gdy tymczasem we Francyi niema wieśniaczej chaty, w którejby się wizerunku jakiego obrońcy ludu n. p. ks. Lammenaisgo nie napotkało. Nasuwała mi się wówczas na to pytanie następująca odpowiedź: — Lud polski nie doszedł jeszcze do samowiedzy, nie wie jeszcze, co to miłość do kraju, tem mniej, jakie wobec tego kraju obowiązki spełniać trzeba; nie umie tedy ocenić zasług prawdziwych patryotów i dobrodziejów swoich. Ksiądz wykładając katechizm w kościele, nauczyciel w szkole, matka w domu ucząc dzieci swoje pacierza nie wpajają w młode pokolenie

poczucia miłości Ojczyzny i spełniania świętych wobec Ojczyzny obowiązków. Jeśli znachodzi się dziś w niektórych rodzinach prawdziwą miłość Ojczyzny, to tylko idealną, egzotyczną, wyśpiewaną przez poetów naszych. Ksiądz Arcybiskup Feliński, ks. Krechowiecki i ks. dr. Józef Pelczar, jako mężowie pełni miłości do kraju a głębokiej teologicznej wiedzy, mogliby według mego zdania napisać traktat o miłości i obowiązkach względem Ojczyzny, bo naówczas ten traktat wszedłby w katechizm katolicki i w sumienie Polaków.

Ludzie myślący ubolewali dawniej już nad ciemnotą i obojętnością rodzin polskich. Przytoczyłem ks. Sewerynowi na potwierdzenie mych powyżej wypowiedzianych myśli wyjątek z dzieła księdza Adama Czartoryskiego o J. U. Niemcewiczu na str. 16 i 17. „Trwało długo w naszym kraju uprzedzenie przeciw zakonowi OO. Jezuitów za to, iż z rąk jego po dwuwiecznej edukacyi naród tak rozkształcony wyszedł. Może żale te były, jak się to zazwyczaj dzieje, przesadzono i posunięte zbyt daleko. Los narodów, ich kształcenie generacyi nie zależy jedynie od wychowania, które młodzież odbiera w szkołach publicznych, ale także, i daleko więcej, od życia familijnego, od tego co młodzież widzi i słyszy w domu rodzicielskim i za domem, gdy zaczyna na świat wychodzić, wszystko skwapliwie chwyta i przyswaja. Tysiączne zapewne okoliczności i wpływy, prócz początkowej edukacyi, często przeciwne tejże edukacyi, rozrządzają moralnością, zaletami i losem pokoleń. Wszelako to nie znosi zupełnie pierwszych w młodości wrażeń i wagi powziętych zasad, przez wspólne i powszechne narodowe wychowanie. Dostrzedz istotnie nie można, aby zakon jezuicki gdzieindziej tak przezorny i mądry, u nas był pojął całą siłę i ważność powierzonej sobie misyi, ani żeby w dodatku do ogólnego celu swej instytucyi, zajął się był przez te dwa wieki jakąkolwiek z czasowych okoliczności wypływającą myślą. Wprawdzie nieśmiertelny i godny wiecznych pochwał Skarga, nauczał Polaków z nieporównaną, rzec można, natchnioną wymową; ale jego święte i mądre nauki, jego aż nadto niestety już spełnione straszne proroctwa, niewiadomo dla jakiej przyczyny z kazalnicy nie przeszły nigdy do szkoły i tam codzien-

nem powtarzaniem głębiej się nie wryły w sercach i w pamięci ówczesnych pokoleń. Wiecznie żałować i dziwować się przychodzi, iż Jezuici kształcąc większą część młodzieży polskiej, a kierując sumieniem rodziców, nie założyli sobie za jeden z celów dawanej przez siebie edukacyi, aby wpajać podług ducha kościoła powszechnego w głowy i serca swoich uczniów potrzebę rządu narodowego, porządku w kraju, a zarazem obowiązek zgody między równymi, posłuszeństwo dla wyższych, sprawiedliwości dla niższych, że tych zasad przez katolicyzm poświęconych, bez których wkrótce inne podpory moralności i społeczeństwa wątleją nie potrafili ustalić w narodzie a przynajmniej przeszkodzić, aby one nie zostały na czas, prawie zupełnie przez Polaków zapomniane". — Jakie dziś wychowanie narodowe OO. Jezuici w konwiktach swych w Tarnopolu i Chyrowie uczniom swoim dają, to przyszłość okaże.

* * *

Nadchodził rok bardzo ważny w dziejach ludzkości, bo rok 1870 — Sobór Watykański, wojna Prus z Francyą i wejście Włoskich wojsk do Rzymu, t. j. upadek władzy świeckiej Papieża. Człowiek myślący i chcący się czegoś nauczyć, miał ku temu szerokie pole. Nie wiem, czy kiedykolwiek tyle ciekawych i pouczających kwestyi rozbierano po uniwersytetach, na odczytach publicznych, w broszurach i dziełach. I najobojętniejszemu trudno było nie otrzeć się przynajmniej o nie. Emigracya polska znowu poczęła ruszać i zbierać się, aby z zawikłań politycznych korzystać na rzecz sprawy polskiej. Skoro tylko wybuchła wojna Francyi z Prusami, zaraz postanowiono uformować legion polski ze sztandarem i pewnemi prawami. W szkole wyższej polskiej na Mont Parnasse, założonej przez Wład. Czartoryskiego, gromadzono się przez kilka dni w celu wyboru naczelnika mającego się organizować legionu polskiego. Wybrano jednogłośnie generała Kruka (Heydenreicha) i cały jego sztab, a na kapelana jednogłośnie, bo przeszło 600 głosami ks. Adama Słotwińskiego, Pijara. Przyjąłem tę godność i złożyłem przysięgę w randze kapitana. Stowarzyszeni kapłani

byli z tego wyboru zadowoleni. Wypowiedzenie wojny przez Napoleona III Prusom w r. 1870 nie było na czasie, to się zaraz pokazało z usposobienia i obojętności całej Francyi. Słyszałem w Paryżu nieraz, jak rodzice, krewni, siostry, przyjaciółki odprowadzonych na kolej Straszburską, a wezwanych do armii i idących na plac boju, wołali: „*Vas mon cher à la boucherie*“ (idź drogi na rzeź)! Naród nie chciał tej wojny! A owe na bulwarach manifestacye na rzecz wojny, urządzano przez najętych t. zw. *blouses blanches* (robotników w bluzach), krzyczących: *á Berlin! á Berlin!* Zresztą wykazał się po wypowiedzeniu wojny wielki brak wojska regularnego i straszne pustki w magazynach wojskowych. Niestety oszukano cesarza! Ściągano wojska z różnych zamorskich kolonii i marynarzy do obozu w Châlons. A że tak było, dowodem, że młodą gwardyę zorganizowaną przez Paryż brano i koleją wywożono pod pozorem oswojenia młodego żołnierza przy starej armii w obozach. Tam ściągano z nich obówie, kepi i broń, a ogołoconych nocami odsyłano do Paryża. Byłem tego świadkiem, jak dwóch energicznych i wzorowych młodzieńców wróciło w tym stanie do tej samej kamienicy *grande rue de la Chapelle* Nr. 10, gdzie przez lat siedm mieszkałem; znałem ich osobiście.

Dzień 4-ty września 1870 roku pamiętny dla Francyi, bo nastąpiła w Corps-legislatif (izbie prawodawczej) detronizacya Napoleona III, który tego dnia nikczemnie poddał się Prusakom pod Sedanem. Jakażto była wielka manifestacya, kiedy członków obrony narodowej prowadzono bulwarami, przy niezliczonej liczbie ludności do *Hôtel de Ville* (Ratusz Paryża) i ogłoszono rządy republikańskie! Straszny okrzyk słychać było na całej przestrzeni od *Place de la Concorde* aż do *Hôtel de Ville*: „*Vive la république!*“ Grozy tej chwili nie pojmie, kto nie był obecny. Otworzenie Prefektury policyi w celu oburzenia ludu przeciw rządom Napoleona, zwiedzanie sal i mieszkań podwójnych ministra policyi, rewizye w pałacu Tuilleries, oto pierwsze czynności władzy „*la Défense nationale*“.

Paryżanie bardzo przyzwoicie zachowali się wobec cesarzowej Eugenii, kazano jej dobrowolnie (!) opuścić Francyą i Paryż. Opozycyi stronników Napoleona nie było; to też w kilka

dni po d. 4 września o godzinie 9 rano opuściła z synem Paryż koleją północną.

Zaczęto organizować gwardyą narodową dla obrony Paryża, ponieważ Prusacy ku Paryżowi się zbliżali. Ustanowiono także przez wybór władze legionu polskiego z wiedzą niektórych członków Rządu a przyjaciół Polski; zaczęto się krzątać: rozpisano listy do bogatych panów polskich o pomoc na uzbrojenie się, ubranie i na urządzenie 24 łóżek dla rannych. Przychylnych odpowiedzi nadchodziło z kraju dużo, panowie przyrzekli, że grosza na potrzeby wojenne nie odmówią. Mnie oddano w opiekę ambulanse, i miałem nieść pomoc religijną, tak w forcie jakoteż w szpitalu rannym rodakom.

Otrzymałem nominacyą na kapelana legionu polskiego wraz z instrukcyą. Proboszcz mój uwolnił mnie od obowiązków na czas, w którym w legionie byłbym czynny, nie wstrzymując mi pensyi bieżącej. Generał Kruk z trzema delegatami i towarzyszami Polakami udał się z urzędu do *Hôtel de Ville* (magistratu Paryża), aby uzyskać aprobatę na osobny sztandar polski, i aby „Defense nationale“ wyznaczyła pewien fort do obrony wyłącznej dla Polaków, oczywiście bez żadnych wydatków ze strony rządu francuskiego. Na nieszczęście odpowiedziano po kilku dniach, a to za poradą Thiersa, „że Francuzi nie mogą zezwolić na osobny legion polski, bo obraziłaby się Rosya, która oświadczyła się z chęcią przyjścia w pomoc Francyi, ale Polacy z osobna mogą zapisywać się do gwardyi narodowej“. Otóż to zawsze ta słabość Francuzów do Moskali z powodu obrony politycznej przeciw Niemcom i Austryakom! Zjawił się ogromny afisz po rogach paryskich ulic, „że Rosya przychodzi na pomoc Paryżowi oblężonemu“, podpisany przez Thiersa. Polacy nie wierzyli temu, ale naród francuski, zwłaszcza stan kupiecki i roboczy, tudzież duchowni uwierzyli wieści o pomocy Rosyi rozgłaszanej zapewne w tym celu, aby zapobiedz ewentualnym wzburzeniom ludności przeciw nowemu rządowi.

Po otrzymaniu odmownej odpowiedzi co do legionu polskiego zadecydowano, aby rodacy pojedyńczo na ochotnika zapisywali się do gwardyi paryskiej. Chciano w ten sposób uniknąć głodu, lub wyjechać z Paryża. Na tem skończyły się

plany polskie. Ja zacząłem od 9 września spisywać kronikę oblężenia Paryża, t. j. zbierałem, o ile mogłem najsumienniej, daty rozporządzeń rządu, notowałem szczegóły potyczek, wyjście zbrojnej gwardyi na nieprzyjaciela i wogóle wszelkie ważniejsze zdarzenia. Kronikę tę znajdzie czytelnik w „Kraju“, gazecie wychodzącej w r. 1871 w Krakowie będącej własnością Sapiehy Adama. Podczas oblężenia odznaczał się Jarosław Dąbrowski znany ze swych artykułów krytykujących generała Trochu, dzierżącego naczelne dowództwo w Paryżu. Rozrzucał broszury wojskowe, usiłował samowolnie przejść przez wały paryskie i obozy pruskie, chcąc się dostać do oddziału Bosaka i Garibaldiego. Dwa razy był aresztowany i sądzony, a wypuszczono go jako gorliwego żołnierza pragnącego szczerze dobra Francyi. Miewał na klubach demokratycznych w imieniu Polski przemowy, i tak łączył naród polski ze socyalistami; pułkownik Wróblewski, Balczewski i ja zaprotestowaliśmy stanowczo przeciw występowaniu Dąbrowskiego w imieniu narodu polskiego, bo mu nikt nie dał mandatu. Oburzony Dąbrowski zmierzył swych rodaków szyderczym wzrokiem...

Pewnego dnia idąc z ks. Balczewskim koło ogrodu luxemburskiego, usłyszeliśmy pierwszy huk armat Kruppa, wskutek którego szyby pękały, a ludzie z przestrachu na ziemię padali. Doświadczeni Francuzi natychmiast nakazali Sergeantom de ville i stróżom domu niszczyć trotuary i bruki, tak że cały Plac Panteonu i Bulwar St. Michel został ogołocony z kamienia.

* * *

Stowarzyszenie Kapłanów polskich po kilku dyskusyach postanowiło wysłać „memorandum“ do Ojców zebranych na Soborze Watykańskim — na ręce ks. Sosnowskiego, administratora dyecezyi lubelskiej, który wskutek listów moich postanowił wypowiedzieć cesarzowi Aleksandrowi II prawdę strofującą ogłoszoną w gazetach galicyjskich i odwołać ks. Sobolewskiego wysłanego do synodu petersburskiego jako delegata dyecezyi lubelskiej, a potem opuścił Lublin, i przybywszy do Galicyi został emigrantem politycznym.

Papież Pius IX ozdobił go za to fioletem i zamianował go na soborze reprezentantem biskupów i całego polskiego duchowieństwa z pod zaboru moskiewskiego, bo rząd moskiewski ani jednemu biskupowi na sobór Watykański udać się nie pozwolił. Jakie były nasze punkta na ręce ks. Sosnowskiego do soboru podane, to czytelnik dowie się z gazet polskich tej epoki w Galicyi i Poznańskiem wychodzących. Śmiało jako dobrzy katolicy dążyliśmy do tego, aby Ojcowie Soboru, biskupi z Galicyi i z Poznańskiego wiedzieli, czego żąda duchowieństwo polskie z Królestwa.

Nagle poruszono po wszystkich katedrach kwestyą nieomylności Papieża w rzeczach wiary. O ile mi się zdaje, ultramontanie wysunęli tę kwestyą na porządek dzienny dopiero wtedy, kiedy już było rzeczą pewną, że władza doczesna papieża upadnie. Większość biskupów przybyła na Sobór do Rzymu z misyi podległych propagandzie; to do zwycięstwa tej kwestyi się przyczyniło, albowiem połowa episkopatu niemieckiego, francuskiego i austryackiego protestowała przeciw niej, jako rzeczy nie na czasie będącej. Kwestya sumienia była przyczyną dość długiego rozdwojenia między katolikami. Doellinger, sławny historyk, i Loison Hiacynt, sławny kaznodzieja, oderwali się od kościoła katolickiego. Obydwaj popierani początkowo przez swe episkopaty i ludzi nauki, pozostali sami, gdyż urzędowi infułaci cofnęli się później pod naciskiem większości głosów partyi ultramontańskiej. Nie moją zresztą jest rzeczą decydować, gdzie była słuszność, czy po stronie infabilistów czy oportunistów. O tem jednakże przemilczeć się nie godzi, że w broszurze biskupa orleańskiego Dupanloupa, z polecenia Piusa IX i po naradzeniu się z Watykanem napisanej, nie ma wzmianki o wniosku w sprawie nieomylności papieża postawionym — a inne są wydrukowane. Przed samą wojną prusko-francuską i przed Soborem umysły wszystkich w Paryżu były zajęte wielką zbrodnią dokonaną na całej licznej familii przez Troppmana, tak że w dziennikach paryskich i prowincyonalnych wszystkie szpalty zapełnione były Troppmanem, a nie kwestyą zajęcia Rzymu przez Włochy i rozpra-

wami Doellingera i Hiacynta-Loison. Dziwny zbieg okoliczności!

Ale wróćmy do oblężonego Paryża! Poświęcenie wszystkich warstw społeczeństwa, czy to w St. Germain, czy między burżoazyą, czy w stanie robotniczym, było wielkie. Moralność stokroć większa niż zwykle. Przez cały czas nie było żadnego występku głośnego między prawie dwumilionową ludnością Paryża. Największe przekleństwo francuskie w zakrystyi, salonie lub na bulwarach było: „*C'est une bête prussienne*". Bardzo pouczające były mowy w różnych klubach podczas oblężenia. Często robiłem wycieczki z gwardyą narodową za wały. Byłem przy ambulansach świadkiem bitwy stoczonej nad rzeką „Marne", gdzie użyto po raz pierwszy *mittrailleuse'y* wynalezione przez Napoleona III. Padło wtedy 600 koni pruskich, wielu bardzo Prusaków było rannych, a konie po nich pozostałe zabrano do Paryża jako łup. Kilka innych jeszcze było pięknych epizodów w oblężeniu. Głodu przez cały czas oblężenia nie było, tylko biedne rodziny cierpiały dla braku węgla, nabiału i wołowiny. Biedne matki musiały ustawiać się rano przy komisaryatach w celu otrzymania dziennej porcyi przepisanej żywności. Od września do 17 grudnia 1870 r. nie było żadnej różnicy pod względem pożywienia; do ostatniej chwili oblężenia nie brakło wina i ryżu w sklepach i na składach paryskich, więc też nie mogło być głodu; chociaż wielki błąd popełnił ówczesny rząd, że starców i dzieci nie wysłał z Paryża na prowincyą. Żądano w pewnym klubie, aby rząd wydalił z Paryża 12,000 przedstawicielek *demi-monde'u*. Deputacyi rząd odpowiedział, że tego uczynić nie może, ponieważ na nich polega bogactwo Paryża. Arcybiskup paryski wydał okólnik do swego kleru, aby żaden duchowny nie opuszczał swego stanowiska i aby pomagał swej braci na wałach.

Wyjazd Gambetty z oblężonego Paryża balonem z Montmartre był wspaniały, tysiące widzów życzyło mu szczęścia, aby nie wpadł w ręce Prusaków lub w morze! Pocztę z obozów francuskich przynosiły gołębie. Skoro taki gołąbek znaleziony był w obrębie Paryża, to go noszono z wielką radością

i ciekawością w licznej procesyi do członków „*Défense nationale*“ zasiadających w *Hôtel de Ville.*

Ksiądz Seweryn Paszkowski, mój przyjaciel, jakoś szczęśliwie i na czas przed samem oblężeniem opuścił me pomieszkanie i dostał się na kapelana do hr. Montesquieu w Château de Fresne w dyecezyi Blois. Dnia 17 grudnia 1870 roku o godz. 6 wieczorem zabrakło w Paryżu gazu i światła nocnego, i ta chwila była obudzeniem niepokoju; strach paniczny powstał między Paryżanami i okrzyk jednogłośny: „Nieprzyjaciel pod Paryżem!“

Kiedy przyszło do zawieszenia broni (*armistice*) między Prusami a Francyą w Wersalu, my duchowni stowarzyszeni dowiedziawszy się z gazet, że narody i kraje składały się na zrobienie niespodzianki Paryżanom [1]), skoro miasto będzie wolnem od Prusaków, postanowiliśmy uczynić to samo; dano mi więc mandat od emigracyi przebywającej w Paryżu do uproszenia pewnej ofiary z Galicyi n. p. wołów i zboża. Wyrobiłem sobie za pośrednictwem Aleksandra Chodźki, następcy Mickiewicza w *Collège de France*, „*laisser-passer*“ od komisarzy francusko-pruskich, aby opuścić Paryż. Oświadczyłem to memu proboszczowi i konsystorzowi paryskiemu. Otrzymawszy aprobatę i 3-miesięczną pensyą na drogę, pierwszym pociągiem kolejowym wyjechałem w towarzystwie 14 osób urzędowych z różnych krajów. Z wielką radością wyjeżdżałem z Paryża, aby nie być widzem powiewającej czarnej chorągwi, bo na to samo wspomnienie serce mi się krajało.

Obawiałem się także generała Dąbrowskiego, który miał przyjść do władzy; mógł mię bowiem kazać rozstrzelać, ponieważ nigdy nie podzielałem jego zapatrywań na emigracyi. Widziałem po drodze krew na polach, bitwy, resztki obozów, konie i trupy ludzkie jak n. p. pod St. Quentin. Ztąd udałem się do Bruxelli, gdzie przez ostatnie dwa dni zapust odbywał się karnawał niczem nie różniący się od paryskiego. Bruxella bowiem przypomina swymi obyczajami i zwyczajami, językiem

---

[1]) 24 wagonów ostryg ofiarowano przez Anglików czekały na wejście do Paryża!

francuskim i elegancyą Paryż. W mieście tem za opłatą 10 franków (!) żonie (litwince) Heltmana mógłem uścisnąć dłoń zasłużonego i pracowitego rodaka. Czytał mi swe ostatnie dzieło pod tyt.: „Krwawe łzy Polski". Ubolewał mocno, że młoda emigracya z r. 1863 mając zasady wyrobione i spisane w książkach przez „Tow. demokrat." nie wchodzi w jego w ślady, i że nie wyrabiają się w obecnych czasach czyste i silne charaktery. Kuryerem szybko pędziłem aż do samego Wiednia.

Odwiedziłem przyjaciela mego brata Pawła, pułkownika Miłkowskiego (Jeża), mile mię przyjął, i dość długo gawędziliśmy o różnych sprawach i osobach. Z Bruxelli udałem się przez Monachium (gdzie uścisnąłem ks. Żulińskiego chwilowo tam zamieszkałego) do Wiednia. W ambasadzie francuskiej dowiedziałem się, że obywatelstwo polskie przesłało odpowiedni prezent do Paryża. Misya moja zatem była skończona. Namyślałem się w Wiedniu, czy wrócić do Paryża, czy też udać się do kraju i osiąść w Krakowie; po gorących modłach w kościele św. Szczepana zdecydowałem się na to ostatnie kierując się myślą, że przy pomocy Bożej czwarty ślub Pijarów *„eruditio puerorum"* będę mógł urzeczywistnić i walczyć z wszelkimi przeciwnościami w kraju, bo lepsza walka u siebie, niż *„dolce far niente"* u obcych.

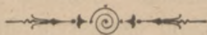
Po przybyciu z Wiednia do Krakowa złożyłem wizyty bratu mojemu Stanisławowi i życzliwym rodzinom, którym oświadczyłem stanowczy mój zamiar pozostania w kraju, chociaż w Paryżu miałem przeszło 2500 fr. pensyi rocznej nie licząc pobocznych dochodów parafialnych. Za wstawieniem się JWnych Pań hr. Janowej Tarnowskiej i hr. Wodzickiej miałem dość oryginalną audyencyą u Jego Excelencyi ks. biskupa Gałeckiego, administratora dyecezyi krakowskiej.

Z wielką formalnością, przyjętą przez etykietę dobrze wychowanego świata, o oznaczonym czasie, stanąłem w skromnych apartamentach biskupich na Stradomiu. Zostałem zaanonsowany, pokłoniłem się władzy hierarchicznej a nawet zachowałem wschodni zwyczaj całowania ręki, i proszę ks. biskupa, aby mi pozwolił zamieszkać stale w jego dyecezyi a szczególnie w Collegium pijarskiem w Krakowie. Ks. biskup Gałecki

z miną despotycznego urzędnika rzekł do mnie: „Jak pan śmiesz chodzić po Krakowie, — jeszcze nikt panu w oczy nie napluł?“ A ja mu na to z zimną krwią: „Proszę ks. Biskupa o powtórzenie tego, co powiedział, bo nie zrozumiałem“. Ks. Biskup na to: „Jakto, zapomniałeś pan, coś robił w roku 1863 w Krakowie?“ „Księże Biskupie“, rzekłem, przestawałem z porządnymi ludźmi i wiernymi synami Kościoła, a że sprawa źle poszła, jesteśmy „Katylinami“ i „*homines perditi*“, gdyby zaś sprawa inny wzięła obrót, bylibyśmy „Cezarami“ — Gałecki byłby za drzwiami, a Słotwiński chodziłby tu po salonach; proszę więc nie ubliżać Pijarowi“; to wyrzekłszy, zacząłem chodzić wirowym krokiem po salonie. Ksiądz biskup Gałecki wyszedł ze salonu i zamknął się w swej kancelaryi. Ja mu jeszcze przez dziurkę od klucza: „Z czego Pijar żyć będzie w Krakowie?“ Biskup donośnym głosem: „Waszem Collegium i kościołem buntowniczym ks. Górnicki rządzi, udaj się pan do niego“. Taki był przebieg mej wizyty protekcyjnej u księdza Administratora dyecezyi Krakowskiej.

Nie czując pod nogami dość pewnej podstawy pozostania na razie w Krakowie udałem się z ks. Opatem do biskupa Pukalskiego w Tarnowie i tam przyjęty zostałem.

Sumienie nakazuje mi dodać co następuje: „Skoro ks. biskup Gałecki po kilku latach przekonał się osobiście o przysługach, jakie mu w r. 1863 i 1864 wyświadczyłem, i że tendencyjnie źle o mnie był informowany, pozbył się uprzedzeń i został dla mnie i dla konwiktu pijarskiego przezemnie założonego życzliwym nader i szczerym zwierzchnikiem. Bywał co drugą niedzielę w kościele naszym na mszy św., zostawał na śniadaniu, rozmawiał z konwiktorami, z nimi się bawił wraz ze swym kapelanem ks. Leopoldem Siemińskim. Nieraz mnie potem przepraszał, że tak długo miał złe pojęcie o mnie, „ale to wina“, mówił, „Opata, brata pańskiego, że nigdy mi pana nie polecił“.



DODATEK I.

Przyczyny przedwczesnego ruchu zbrojnego i ogłoszenia jego w r. 1863 w styczniu, wedle mego zapatrywania, są następujące:

W chwili, kiedy budzić się zaczął duch narodowy w kraju, kiedy głośne manifestacye w rozmaitych miejscowościach na całym obszarze Polski zajęły umysły i serca starych i młodych, wówczas wielu młodych nieukończonych ludzi, nie chcąc marnieć po więzieniach lub zginąć na zawsze dla Polski przez wywiezienie na Sybir lub zesłanie w sołdaty, zmuszeni byli opuścić swą ojczyznę i udać się za granicę. Generał Ludwik Mierosławski, chcąc tę rozmarzoną i rozkiełznaną, po całej Europie rozrzuconą młodzież ująć w karby i utworzyć z niej kadry wojskowe przeciw zaborcom Polski, postanowił skorzystać ze stosunków swych z Cavourem i Mazzinim i zażądał od rządu Wiktora Emanuela, aby jego pensyą generalską podczas wyprawy w Neapolitańskie przeznaczono na otworzenie szkoły wojskowej dla młodzieży polskiej. Przy pomocy Garibaldiego udało się Mierosławskiemu zamiar swój urzeczywistnić. Rząd włoski ofiarował na polską szkołę wojskową w Cuneo gmach wraz z pewnym funduszem. Umowa stanęła ustna, że jedynie tylko pod kierunkiem osobistym Mierosławskiego ma się w Cuneo młodzież polska wojskowo ćwiczyć. „Białych“ jednakże korciło to bardzo, że Mierosławski zabiera się do dzieła z nie-

zwykłym zapałem i energią, a zamiar jak najlepsze rokuje rezultaty; wysyłają tedy do Cuneo młodzież bogatszą, na jej czele Włodz. Milowicza i Bobrowskiego, podmówiwszy ich, aby wpływami swymi, intrygami i spiskami łamali dyscyplinę domową wojskową, a kierownictwo oddali ostatecznie Józefowi Wysockiemu. Dwaj ci bohaterowie wkrótce dopięli swego celu! Młodzież wojskowa buntuje się, dzieli się na partye, wskutek czego codzień kilka wynika pojedynków. Zawieszono więc nauki i ćwiczenia wojskowe, potworzyły się kluby polityczne. Mierosławski jak zawsze łagodny a bojaźliwy — typ nieodrodny szlachcica polskiego — zrzeka się kierownictwa tej szkoły. Moskale czyniąc Włochom gorzkie wymówki, że tolerują szkołę wojskową polską w granicach swego kraju, parli dyplomatycznie do tego, że rząd włoski, zaniepokojony ustąpieniem Mierosławskiego, szkołę tę zamknął. Wszystka owa wykolejona młodzież w liczbie 250 wraca niesforna do Polski i tak jak zagranicą zaczyna w kraju tworzyć partye, spiskować i wszczynać niesnaski. Przyjmuje komisarstwo i inne urzędy w województwach, jedynie tylko chyba dla kawałka chleba, boć nie znała ani potrzeb miejscowości ani społeczeństwa. W lekkiem usposobieniu młodzieńczem fałszuje raporta o stanie zbrojnym i przysięgłych i posyła je do Komitetu centralnego. Ludzie poważni na prowincyi odgrażali się na sesyach, że inicyatorowie zwad i wichrzeń po kraju surowo za to karani będą. Ostatecznie widząc sami, że straszny zakrada się nieporządek i nieposłuszeństwo w całej organizacyi narodowej, owi komisarze znękani trudem dziennym, wyczerpnięciem sił moralnych i fizycznych, zjeżdżają się bez wiedzy Komitetu centralnego w styczniu do Skierniewic 1863, i tam stawiają Komitetowi centralnemu warunki: „Jeśli nie ogłosi komitet terminu powstania, to oni sami ogłoszą i wywołają ruch zbrojny na prowincyi“. Rozsądni ludzie z organizacyi donoszą o tej contrewolucyi Komit. centralnemu. Członkowie tegoż zużyci i niedołężni, zamiast wszystkich komisarzy za bunt i spisek wsadzić do aresztu lub ukarać śmiercią, przyjmują wniosek komisarzy i naznaczają dzień powstania, lękając się kompromitacyi, pomimo iż wiedzieli dobrze, że cała prowincya niema ludzi fachowych, broni i pieniędzy do wojny

z Moskalami. Kiedyś surowy wyrok spadnie na członków ówczesnego Komit. centr., który na zebraniach prowincyonalnych przez swych delegatów zapewniał święcie, że jeżeli powstanie zbrojne przeciw Moskalom ogłoszone będzie, to tylko na dobrze obliczony skutek.

Drugim powodem było to, o czem zwykle mówią i piszą, t. j. konskrypcya wojskowa zarządzona przez Wielopolskiego.

Trzecim powodem, słabość i niezgoda, jaka powstała w gronie członków komitetu.

Lepiej odemnie o kłótniach i waśniach tych poinformowani specyaliści dopowiedzą reszty.

DODATEK II.

Działalność Stanisława Frankowskiego w r. 1863.

Oddawna pragnąłem wyświetlić kwestyą bardzo ważną a niejasną dla młodego pokolenia polskiego, a nawet może i dla starszych dobrej woli i prawdę miłujących rodaków. Tą kwestyą jest:

1) Pierwszy skład Komitetu centralnego w Warszawie.

2) Zmiana Rządu narodowego we wrześniu.

3) Historya sprawy zabrania 3000000 rs. z Banku polskiego na rzecz powstania, toczącej się w Londynie i Paryżu.

4) Organizacya wojskowego armii rosyjskiej p. Jarosława Dąbrowskiego.

* * *

Jako mąż czynny we wszelkich sprawach dotyczących powyżej wzmiankowane kwestye, tak ważne dla całego narodu polskiego, jedynie kompetentnym sędzią i świadkiem (tym więcej, że znana ogólnie jego prawość charakteru i miłość prawdy) jest Stanisław Frankowski, żyjący dotąd we Lwowie brat Jana i Leona, zaszczytnie znanych w całej Polsce współpracowników na niwie polsko-chrześciańskiej pracy konspiracyjnej od roku 1856—1885.

W roku 1856 Jan Frankowski, brat Stanisława i Leona, rozpoczął pracę nawiązywania stosunków między rodakami w sprawie polskiej, a to z powodu, że w tym roku powróciła ze Syberyi, Kaukazu i emigracyi spora liczba rodaków dobrej myśli i woli. W roku 1859 wciągnął Jan braci swych Stanisława i Leona do konspiracyi narodowej a równocześnie wszedł w ścisłe stosunki z Jarosławem Dąbrowskim, oficerem znanym nietylko w Polsce w r. 1862—1864, ale i w całej Europie z późniejszego swego udziału w obronie Paryża przeciw Prusakom i Wersalczykom. Chcąc wywiedzieć się bliższych szczegółów o działalności Frankowskich w sprawie narodowej, udałem się do Stanisława, zamieszkałego we Lwowie na ul. Jabłonowskich.

Dnia 14, 15 i 16-go listopada 1890 r. w poufnej pogawędce zdołałem ze Stanisława pomimo, iż wzrok zupełnie a słuch napół utracił, wydobyć świętą, szczerą prawdę; zacni ci trzej bracia, apostołowie sprawy narodowej, nigdy nie kłamali, i byli skromni w życiu swojem. Żyli jak najświątobliwsi wyznawcy i męczennicy kościoła Chrystusowego, nie rządowego, ale boskiego. Stanisław nigdy nie chciał zwierzać się z działalności swej przed rodakami przezemnie mu polecanymi, jak na przykład: Gustawem Zakrzewskim, Michałem Danielakiem, Tadeuszem Dwernickim i t. d. Mnie tylko, jako współpracownika i kolegę wyłącznem zaszczycił zaufaniem. Przez 3 dni, od godziny 9-tej rano do 1-ej popołudniu i od 3 do 6 wieczorem sam na sam z nim rozmawiałem i zaraz notowałem to, co opowiadał przytomnie i z zapałem szlachetnej duszy.

* * *

1. Pytanie moje: „Co zrobił dobrego w organizacyi warszawskiej w roku 1862 Jarosław Dąbrowski?“

Odpowiedź St. Frankowskiego: „Komitet ruchu i organizacyi warszawskiej w r. 1862 położył nieograniczone zaufanie w Jarosławie Dąbrowskim, żołnierzu armii rosyjskiej. Dąbrowski uznany przez oficerów rosyjskiej armii na najzdolniejszego między nimi, człowiek wpływowy, mający stosunki z pułkownikiem Sierakowskim Zygmuntem, podał Komitetowi centralnemu doskonały plan zdobycia cytadeli warszawskiej i for-

tecy Modlina. Mnie wyznaczył Komitet centralny jako swego członka do tejże operacyi wojskowej, przydając mi do pomocy wojskowego Szaniawskiego; z organizacyi warszawskiej przydzielono do rady Chądzyńskiego Zbigniewa [1]).

Szaniawski i Chądzyński (Ludwik Biały) mieli już najęte odpowiednie mieszkanie na ulicy Zakroczymskiej, naprzeciw cytadeli położone. Oficerowie rosyjscy znajdujący się w organizacyi narodowej mieli dać hasło do opanowania cytadeli. Dąbrowski Jarosław z drugim członkiem Komit. centr. mieli zająć Modlin za pomocą 2000 siły narodowej z prowincyi, która miała pod ową twierdzą niebawem stanąć! Ja, wyznaczony w tym celu przez komitet, przekonałem się naocznie, że 80000 broni nowej, było w Modlinie, którą Dąbrowski miał zabrać wraz z amunicyą i oddać na ręce organiz. narod. Oficerowie rosyjscy w Modlinie oczekiwali z upragnieniem tej stanowczej chwili. Wojska rosyjskiego w całej Kongresówce było na razie bardzo mało. Organizacya narodowa zbierała odważnych członków, aby w oznaczonej sile stanąć pod Modlinem. Doniosłem tedy Komitetowi centralnemu, co na własne oczy w Modlinie widziałem. Nieszczęście chciało, że Dąbrowskiego nagle zaaresztowali Moskale, a ja ścigany przez policyę i szpiegów moskiewskich, kryć się a wkońcu uchodzić musiałem, cały więc plan ten spełzł na niczem. Dowód to jednakowoż nowy, że powstanie w roku 1863 miało podstawę. Gdyby rzecz szczęśliwie była się powiodła, byłoby na razie broni i amunicyi pod dostatkiem, a nadto dwie główne fortece w rękach narodu byłyby także niezawodnymi punktami oparcia, tym więcej że miano młodego, zdolnego, energicznego i sytuacyą dokładnie znającego dowódzcę w osobie Jarosława Dąbrowskiego. Wogóle nadmienić mi wypada, że Komitet centralny przyjął za zasadę, jak najmniej starych przeznaczać do „czynu“, zwłaszcza z emigracyi albo z Syberyi przybyłych [2])“.

---

[1]) Chądzyński, mój kolega szkolny, nie był jednakże wtajemniczony w te roboty wojskowe, choć był prawą ręką Frankowskiego.

Uwaga autora „Wspomnień“.

[2]) W miejscu tem pozwolę sobie przytoczyć zeznanie p. Bronisława Brońca naocznego świadka śmierci Dąbrowskiego:

Oto słowa wtajemniczonego w arcana ruchu narodowego.

2. Pytanie moje: „Gdzie komisarze Komit. centralnego w roku 1862 i 1863 mieli ostatni zjazd swój, na którym zadecydowano wysłać ultimatum do Komit. centr. w sprawie przyspieszenia wybuchu powstania?"

Odpowiedź St. Frankowskiego:

„Zjazd wszystkich komisarzy Komitetu centralnego odbył się w Głuchówku pod Rawą, majętności p. Strojnowskiego [1]) d. 1 stycznia 1863 r. Na tem zebraniu brat mój Leon Frankowski wniósł za zgodą kolegów współpracowników następującą interpelacyą:

„„Czy Komit. centr. myśli dotrzymać danego słowa, czy nie, dalej jeśli chce obietnicy dotrzymać, jakie ma dane do tego?"" Z tem ultimatum wysłany został brat mój do centr. Komit. w Warszawie. — Moskale szukali tego zebrania w Skierniewicach. — Na to pytanie powstały w łonie Komitetu centralnego burze i napady na komisarzy, a Leon otrzymawszy dymisyą, został przez członków Komit. aresztowany. Jan Rogiński ze szkoły Cuneo był poplecznikiem Padlewskiego i raportował temuż tendencyjnie wszystko, co się tylko mówiło na ze-

---

„Zaświadczam niniejszem, iż Jarosław Dąbrowski zginął na Barykadzie w Paryżu w ulicy Myrrha, o sto kroków od bulwaru Ornano, między Quartier Montmartre i Chapelle podczas bitwy z Wersalczykami. Byłem u pani Hochet, właścicielki domu naprzeciwko tej barykady, i każdy, co twierdzi o jego śmierci inaczej, dopuszcza się umyślnie lub bezwiednie kłamstwa; był raniony śmiertelnie z barykady, do ratusza przywieziony, gdzie też umarł. Jako naczelnik główny armii komuny paryskiej nie dał się niczem przekupić, pokazał silny i polski charakter i zdolności wojskowe".

Szkoda wielka, że synowie dziś dorośli nie starają się o szczegóły życia ojca swego, nie wchodzą w ślady Władysława syna Adama Mickiewicza. O szczegóły prosiłem panią Dąbrowską i synów jej, którzy byli w konwikcie pijarskim pod moim zarządem; nie mogłem się jednakże żadnych dokumentów doczekać; żona Jarosława mówiła mi, że mocno boleje, ponieważ wszystkie papiery i korespondencye Jarosława mając na piersi swej z namowy bojaźliwej przyjaciółki w cytadeli bez potrzeby spaliła. Wielce ciekawe szczegóły tyczące się organizacyi wojskowej.

[1]) P. Strojnowskiego poznałem osobiście we Lwowie w celi pana Frankowskiego r. 1890.

braniu w Głuchówku. Padlewski chciał także i mnie wybadać, czy nie wiem o tem zebraniu i o tem, co na niem mówiono. Nie objaśniłem go jednakże w niczem stanowczo. Padlewski więc nie mógł być pewnym, czy wiem cośkolwiek o zjeździe w Głuchówku. Chciał mię bowiem sposobem policyjnym wybadać, co na mnie przykre zrobiło wrażenie. Organizacya miejska upomniała się groźnie u Agatona Gillera[1]) za Leonem Frankowskim, i zaraz Komitet centr. musiał cofnąć dymisyę daną bratu mojemu, poczem uwolniony został. Padlewski po wzięciu szczegółowego raportu od członków zjazdu u Strojnowskiego, jakoteż od organizacyi miejskiej warszawskiej, dał Leonowi wymijającą odpowiedź, że komitet nie cofa swego słowa, że o powstaniu myśli i że środki do takowego powstania zgromadza, bo 2000 karabinów jest w drodze do Warszawy, a dla zapobieżenia rekrutacyi zarządził dyslokacyę popisowych. Bardzo mało osób wie o tem miejscu zgromadzenia komisarzy prowincyonalnych, krążyła tylko pogłoska, że sesya ta odbywała się w Skierniewicach, dla ukrycia śladu prawdziwego przed szpiegami i żandarmami moskiewskimi. Odpowiedź ta Padlewskiego była daną pod presyą organizacyi warszawskiej, która w zadecydowaniu powstania główną rolę odgrywała. Dopiero po tej decyzyi Padlewski wziął się do rad wojennych z naznaczonymi na każdą miejscowość dowódzcami i przydanymi do nich komisarzami wojennymi. Narady trwały do dnia 15-go stycznia 1863 r., w którym-to dniu komisarze rozjechali się dla obwołania powstania“.

3. Pytanie moje: „Jak się tworzył Komitet centralny?“

Odpowiedź St. Frankowskiego: „Pierwszy Komitet centralny powstał z wyborów i każdy z trzech wybranych miał następcę w organizacyi warszawskiej, na wypadek choroby, aresztowania lub wyjazdu. W następne składy komitetu nie wchodzili członkowie wybieralni, więc stąd wchodziły ży-

---

[1]) Ten sam Rogiński zostawszy zaaresztowany przez Moskali w Brześciu Litewskim poczynił zeznania szkodzące organizacyi warszawskiej i skompromitował wiele rodzin a nawet samego Padlewskiego. Bronisław Szwarc przybyły po 29 latach ze Syberyi dobrze był o tem powiadomiony; jemu też tę wiadomość zawdzięczam.

wioły obce, które zły wpływ wywierały na rozwój wypadków (nauka na jutro). W pierwszym Komitecie centralnym byli: Apollo Korzeniowski, Witold Marczewski i Szachowski. Zastępcami zaś byli: Ignacy Chmielewski, Władysław Jeska i Bronisław Marszewski. Do dalszych składów komitetu wchodzili: Ks. Karol Mikoszewski, Edward Rolski, Agaton Giller, Padlewski i inni [1])".

4. Pytanie moje: „Gdzie przebywał Stanisław Frankowski w czasie i po wybuchu powstania?"

Odpowiedź Stanisława Frankowskiego: „Miałem polecenie od rządu narodowego sprawdzić organizacye w Księstwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, dokąd się też niebawem udałem. Po sprawdzeniu w różnych miejscowościach w zaborze pruskim organizacyi narodowej i okropnych machinacyach w sprowadzaniu broni — zdałem raport szczegółowy do Warszawy dnia 15 maja w r. 1863, że zastałem komitet miejscowy w Poznańskiem zorganizowany, który składałsię z obywateli: Leona Królikowskiego, hr. Jana Działyńskiego i Gutrego. W Królewcu i we Wrocławiu widziałem naocznie, że miasto broni prawdziwej sprowadzają pakami rury do pieców, i to miała być przesyłka do Warszawy. Udałem się tedy w drogę do Warszawy z tym raportem, lecz w drodze t. j. w Krzyżu otrzymałem polecenie, abym nie wracał do Warszawy, tylko abym się udał do Paryża i tam zajął się wymianą listów zastawnych, wziętych z Banku krajowego, a znajdujących się w ręku ks. Wład. Czartoryskiego. W drodze więc złożyłem szczegółowy raport o wszystkiem, com widział i słyszał, i co trzeba było naprawić; jeden exemplarz raportu przesłałem do Rządu Narodowego, drugi zaś doręczyłem generałowi Ludwikowi Mierosławskiemu. W Paryżu zastałem komitet złożony z Władysława Czartoryskiego, Gałęzowskiego Xawerego i Ordęgi. Miałem to wewnętrzne przekonanie, że dlatego tylko mnie wysyłano w różne strony poza granice Polski, aby nie mieć

---

[1]) Wielce Stanisław Frankowski żałował Bronisława Szwarca, że zaaresztowany został przez Moskali. Była to siła niezmiernie praktyczna i użyteczna w organizacyi narodowej.

pod ręką starego organizatora całego ruchu. Skoro tylko przedstawiłem się ks. Czartoryskiemu, jako komisarzowi Rządu Narodowego, zaraz gotów był listy owe zastawne w sumie 3000000 oddać na moje ręce, bo sam obawiał się mieszać w te sprawy pieniężne zwłaszcza, że dość już długo leżały one u niego bez zmiany“.

5. Pytanie moje: „Czy Stanisław Frankowski był w Warszawie przy zmianie Rządu Narod. we wrześniu r. 1863?“

Odpowiedź Stan. Frankowskiego: „Nie wiedząc co robić z tymi listami zastawnymi, udałem się osobiście do Warszawy i to w bardzo burzliwych czasach, bo odbywała się kontrewolucya wewnętrzna. Organizacya miejska warszawska widząc, że w składzie Rządu Narod. znajdują się członkowie podejrzanego patryotyzmu i charakteru, osoby należące do „Białych“, a nawet do partyi Wielopolskiego — zdecydowała się na środek radykalny i wysyła od siebie dwóch energicznych członków celem zakłócia Majewskiego. Przypadek zrządził, że szedłem właśnie placem „Dzieciątka Jezus“ i spotkałem się z tymi dwoma wysłańcami. Zapytałem ich, dokąd idą? Odpowiedzieli, że idą zabić Karola Majewskiego, jako wielce szkodliwego sprawie narodowej. Zgromiłem ich za to surowo i całą sprawę wziąłem na siebie mówiąc, że Majewski ustąpi z Rządu Narod.; a jeśli nie zechce, to im o tem doniosę. Tego samego dnia o godz. 4 popołudniu poszedłem do Majewskiego i oświadczyłem, co mu zagraża i co go czeka, i radziłem mu, aby dobrowolnie ustąpił, nie dając powodu do skandalu. Majewski zgryziony, przechadzając się w milczeniu po pokoju rzekł nareszcie: „Tylko dla ciebie Stanisławie to robię, że ustępuję“. Nazajutrz wobec Chmielewskiego, mnie i całego gremium ustępującego rządu nastąpiła zmiana. Rząd narodowy złożony został z Ignacego Chmielewskiego, Stanisława Frankowskiego, Adama Asnyka, Dobrowolskiego, Kobylańskiego Piotra — z tych Kobylański na Syberyi umarł, a reszta żyje rozproszona po świecie. Niektórzy wydziałowi z dawnego Rządu przyjęli te same obowiązki, aby wątek całej pracy narodowej się nie przerywał. Nowy rząd wziął w spuściźnie błędy swoich poprzedników, a mianowicie: ustanowienie organizacyi generała Mierosław-

skiego w Liège, której pozbyć się nie mógł dla rozpoczętych uzbrojeń i zaciągniętych stąd przez nią zobowiązań; trzeba było ją zużytkować w kombinacyi z innemi wydać się mającemi zarządzeniami, i dlatego postanowiono zjazd z generałem Traugutem za granicą dla wspólnego porozumienia się co do rozpocząć się mającego jednolitego na wszystkich punktach ruchu ludowego. Z drugiej strony należało przedewszystkiem odebrać listy zastawne z rąk komitetu paryskiego, który obawiał się skompromitowania przez traktowanie ich zrealizowania — i dlatego oto zostałem wydelegowany. Wyjechawszy natychmiast do Paryża, dałem polecenie na piśmie Stanisławowi Olszewskiemu, by rzeczone listy zastawne odebrał i mnie doręczył — co się też bez żadnej opozycyi stało, bo Komitet paryski był przeświadczony, że z powodu tak długiej zwłoki zamiana tych papierów była już nie możliwą, i że żadnej już nie przedstawiały wartości. Co też najzupełniej się sprawdziło".

6. Pytanie moje: „Kto zarządził w Warszawie zabranie z banku listów zastawnych i jaki los te listy spotkał?"

Odpowiedź St. Frankowskiego: „W organizacyi miasta Warszawy byli: Karłowicze, Lempke i Piotrowski, i ci zarządzili zabranie kasy z Banku polskiego. Janowski urzędnik owego banku ze swymi kolegami z polecenia organizacyi wydał te sumy w ręce organizacyi miejskiej. Ta trzymała ten kapitał w listach zastawnych w swych rękach, aby miała czas szachować Rząd Narod. wówczas bardzo blady. Nareszcie po wspólnem porozumieniu się organizacya oddała te wszystkie listy zastawne Rządowi Narodowemu, a ten Waszkowskiemu i Olszewskiemu, którzy z Warszawy kapitały te wywieźli i doręczyli w Paryżu księciu Władysławowi Czartoryskiemu, Gałęzowskiemu i Ordędze. Ordęga zaś mnie je doręczył, i uczyniłem kroki wstępne w Paryżu w celu ich wymiany. Do tej czynności używałem poleconego mi przez hrabiego Jana Działyńskiego komisanta handlu wełną niejakiego Ferdynanda Faucheux, ojca jednego z oficerów oddziału Younga de Blankenheim [1]). Oficer ten stracił nogę w bitwie pod Ignacewem (w Ka-

[1]) Bohater, którego imię stało się w całem słowa tego znaczeniu popularne między ludem Księstwa Poznańskiego. Ostatnie powstanie nie

liskiem); fakt ten zwrócił uwagę i na ojca jego, zdawało się bowiem, że i on był naszej sprawie przychylny. Pan Faucheux jeździł w tej sprawie do Bruxelli i Amsterdamu, a ze mną także do Londynu i używał w Paryżu pośrednictwa changerów, ajentów giełdowych i innych a między nimi niejakiego Antonina Bourbeau, należącego do loży Grand Orient de France, w której Faucheux był dygnitarzem (wielkim mistrzem). Usilnie namawiał mnie, abym należał do loży masońskiej w Paryżu — wymówiłem się jednakże dość zręcznie. Oprócz tego zgłaszali się rozmaici finansiści z Warszawy i pośrednicy paryscy z różnemi propozycyami zmiany. Jakoż i pułkownik Bayer z pod Langiewicza przyszedł zawiadomić mnie, że jego wuj Gnatowski (znany szuler warszawski) ofiaruje w Londynie podać środek dla zrealizowania pewnej partyi listów zastawnych. Pokazało się, że Gnatowski był w stosunku z litografem, mającym sklep w Paryżu na Rue Faubourg Poissonier; tenże dał adres do pewnego żyda nazwiskiem Harnisch, jakoby emigranta z r. 1831, w Londynie zamieszkałego. Izraelita ów miał mnie zaprowadzić do kantoru S..., w którym interes był przygotowany [1]). Otóż nie mogąc odmawiać oferty, udałem się w towarzystwie Faucheux'go do Londynu. Gnatowski ani litograf nie pojechali. W Londynie zgłosił się zaraz Harnisch, uwiadomił właścicieli kantoru o naszem przybyciu, a o oznaczonej godzinie zgłosiłem się z Ferd. Faucheux do wymiany. Tam po sprawdzeniu numerów, przekonawszy się, że to są listy zastawne przez Rz. Narodowy w Warszawie zabrane, przytrzymano je na żądanie konsula rosyjskiego Berga obecnego w kantorze, rodzonego brata namiestnika warszawskiego pomimo protestacyi ży-

---

wiele żrodziło pieśni ludowych, najwięcej napotyka się ich jeszcze w Poznańskiem, gdzie lud wiejski oświeceńszy niż w innych dzielnicach pojął lepiej i głębiej doniosłość walki o niepodległość ojczyzny. Piosnkę o „Taczanowskim", „co Moskali dobrze bił", śpiewa każdy wieśniak wielkopolski. I o bitwie pod Ignacewem istnieje pieśń ludowa; wiadomość ta udzieloną mi została przez p. J. N. K., żołnierza z r. 1848 z pod Xiąża i Miłosławia, Poznańczyka, który ją słyszał w latach młodszych w okolicach Gniezna i Wrześni; niestety tekstu sobie nie zapamiętał.

[1]) Zob. Sprowozdanie w Times w połowie stycznia 1867 r.

wej i oświadczenia, że w drodze prawa poszukiwać będziemy szkód straconych korzyści. Wychodząc z kantoru udałem się z Faucheux'em do Sollicitatora (adwokata) Montague Lewersona i sprawę mu powierzyłem, dając mu na piśmie szczegółową instrukcyę. W kilka dni sprawa weszła na drogę procesową, ale trwała przez 2 lata, zanim sąd polecił zwrot listów zastawnych; adwokat ów wydał papiery Moskwie. Nie mogąc znegocyować ani jednego listu zastawnego z powodu publikacyi numerów, umyślił Faucheux, a raczej jego agent Bourbeaux, zmienić numera przez dodanie jedenki (1) przed każdą liczbą porządkową, i takich listów wygotował kilka sztuk na próbę, które ze sobą zabrał do Bruxelli; zjawił się potem w ambasadzie rosyjskiej z żądaniem wydania świadectwa, iż nie pochodzą z liczby tych, które z banku polskiego w Warszawie zabrane zostały, a to z powodu jakoby niemożności znegocyowania listów zastawnych bez podobnego świadectwa. Świadectwo ambasada rosyjska wystawiła, a Faucheux nabrał przekonania, że zaproponowany środek rzeczywiście ułatwi zrealizowanie całej sumy. Działo się to w chwili, kiedy byłem w Londynie, częścią dla procesu (o którym wyżej) a częścią dla stosunku z Mazzinim, który miał ułatwić próby negocyacyjne we Włoszech. Jadąc tedy z Londynu do Włoch w pierwszych dniach kwietnia 1864 r. zatrzymałem się w Paryżu i dowiedziałem się od Faucheux'go o zarządzonej próbie, a mianowicie o sprzedaży dwóch listów zastawnych L. A al pari Rothschildowi, co wynosiło 24000 frk. Nie wierzyłem w możebność takiego fortelu i zabawiwszy dzień w Paryżu wyjechałem do Włoch z pewną częścią tych papierów, a reszta znajdowała się w zamkniętym kuferku w osobnym pokoiku na ten cel wynajętym przez Faucheux'go na Avenue Troudainne. Negocyacya we Włoszech pomimo rekomendacyi Mazziniego przeprowadzić się nie dała, natomiast list Faucheux'go uwiadomił mnie, że Rothschild zwrócił owe dwa znegocyowane listy zastawne, jako mające liczby porządkowe zmienione. Rothschild wprawdzie skargi nie wniósł, żądał jednakże zwrotu pieniędzy, a ponieważ pieniądze w części Mierosławskiemu w Paryżu na organizacyę generalną, a w części generałowi Borzysławskiemu na zawiązek legionów włoskich

rozdane były, więc p. Faucheux nie miał innego sposobu, tylko znegocyowania dwóch innych listów zastawnych dla zapłacenia Rothschilda. Za odebraniem zawiadomienia Faucheux'go pospieszyłem z powrotem do Paryża, gdzie się dowiedziałem, iż wskutek owej drugiej negocyacyi w Paryżu wniesioną została skarga do sądu przeciw Faucheux'mu i jego agentom Antoninowi Bourbeau i synowi, kapitanowi Emilowi Faucheux; dalej że sam Ferd. Faucheux w czasie rewizyi zdołał uciec, dwaj drudzy wymienieni przyaresztowani zostali, wieczorem zaś mnie wychodzącego z mieszkania na ulicy Neuve des petits-Champs zaaresztowano i odwieziono do komisaryatu, a następnie do Mazas. Śledztwo trwało kilka miesięcy w r. 1864, dowodów żadnych nie było. Nie mogłem oskarżać aresztowanych, o których działaniu na korzyść sprawy polskiej byłem przekonany, i tym sposobem zeznanie moje ich obojga uniewinniło, i sąd ich uwolnił, a to pomimo uwagi prokuratora generalnego, iż świadectwo wyrobione w ambasadzie rosyjskiej w Bruxelli przez Antonina Bourbeaux zdawało się wskazywać na wspólność działania z tą ambasadą. (W rzeczywistości dlatego tylko to świadectwo wyrobiono, aby mieć komisowe za urządzoną zdradę). Tym sposobem skazano mnie na 2 lata więzienia, lecz za instancyą ustną księcia Hieronima Napoleona, wniesioną do cesarza, uwolniony zostałem 29 czerwca 1864 roku; zabroniono mi jednakże dalszego pobytu w Paryżu i odwieziono mnie do granicy belgijskiej. Po mojem przyaresztowaniu przybył do Paryża ks. Adam Sapieha, osobiście mi nie znany, i żądał wydania reszty listów zastawnych; w tym interesie pisał do mnie do więzienia znany mi obywatel Józef Narzymski, do partyi ruchu należący. Ks. Sapieha uzyskał pozwolenie widzenia się ze mną. Całą instrukcyę co do listów i rachunek z takowych piśmienny zdałem Narzymskiemu, mianowicie wykazaną została suma w depozycie sądowym w Londynie złożona. Druga część powierzona była jeszcze przedemną do zmiany Józefowi Godebskiemu w Leodyum oraz Olgierdowi Sabińskiemu i Paszkowskiemu w Bruxelli. Część znajdowała się u Faucheux'go wraz z kilkoma numerami zmienionymi, z których kilka złożono w sądzie paryskim. Po złożeniu rachunków już więcej nic wspólnego z listami za-

stawnymi nie miałem i o operacyach uwiadomiony nie byłem. Procesem londyńskim zajmował się po mnie Józef Godebski, pułkownik z emigracyi r. 1831“.

* * *

Niech czytelnik przekona się, jaka zdrada i intrygi Moskwy wszędzie poza granicami Polski panują. Niech młode pokolenie polskie dobrze wie o nich. Sumiennie i rzetelnie spisałem to wszystko, co Stanisław Frankowski osobiście mi opowiedział, a po napisaniu tych wielce ciekawych szczegółów historycznych odczytałem mu głośno i wyraźnie mój skrypt w jego pomieszkaniu we Lwowie dnia 17 listopada 1890 r.

DODATEK III.

Wiele spraw obchodzących społeczeństwo polskie przezemnie rozpoczętych, nieukończonych, niezałatwionych i niewyjaśnionych dotąd; a że redakcya „N. Reformy“ nie raczyła zająć się niemi i odmówiła kroniki tym sprawom, zmuszony jestem przy tych „Wspomnieniach moich“ je wydrukować i oddać pod sąd czytelnika.

(*Kopia*) Szanowna Redakcyo „N. Reformy!“

„Pozwól mi Swej kroniki, abym mógł w niej odpowiedzieć odrazu wszystkim rodakom rozrzuconym po całym bożym świecie w sprawie składki na pomnik ś. p. Stanisława Konarskiego Pijara — i w sprawie 4-ech tomów „Listów i Korespondencyi oryginalnych ks. Stanisława Konarskiego“, znajdujących się w bibliotece JW. hr. Przezdzieckiej. Przez hr. Platera, właściciela tychże listów, upoważniony byłem pismem do składek na rzecz pomnika na plantach krakowskich dla Stanisława Konarskiego, Pijara, autora dzieła: „O skutecznym rad sposobie“. Niżej podpisany ma honor powiadomić szanownych przyjaciół Pijarów, że wszelki grosz nadesłany przez Was na rzecz pomnika na moje ręce, doręczyłem panu Adamowi Asnykowi w czasie uroczystości pochowania serca ks. Stanisława Konarskiego w kościele pijarskim w Krakowie, który w dobroci swej zobowiązał się

być tego wdowiego grosza skarbnikiem. Książeczka Kasy oszczędności tych składek znajdowała się w rękach szanownego posła Adama Asnyka do dnia rezygnacyi mej z rektoratu pijarskiego do 2 maja 1888 r.

Sprawą listów i korespondencyi Stanisława Konarskiego, zająłem się z zapałem. W r. 1887 w grudniu wysłałem młodego Pijara Biegańskiego Stanisława z mem upoważnieniem do czcigodnej hrabiny matki hrab. Konstantego Przezdzieckiego zamieszkałej w Warszawie. Ta zacna matrona będąc chorą jednak raczyła przyjąć Stanisława Biegańskiego i oświadczyła mu przez swego sekretarza, że skoro przybędzie do Warszawy jej plenipotent, to poleci mu, aby z biblioteki familijnej wydobył te cztery tomy Listów w manuskrypcie ks. Stan. Konarskiego i odesłał Pijarom Krakowskim".

W r. 1888 d. 2 maja te korespondencye z JW. hrabiny i list JW. hr. Platera przy swej rezygnacyi wraz z innymi papierami, aktami, inwentarzami i kapitałami złożyłem w ręce ks. Midowicza, członka komisyi *mixti fori*, dla wręczenia delegatowi generalskiemu naszego zakonu JW. ks. biskupowi Dunajewskiemu.

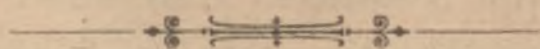
Czy ks. Chromecki odebrał z rąk delegata generalskiego te papiery, tego nie wiem, bo od r. 1888 nie mieszam się zupełnie do spraw pijarskich i za nie — nie odpowiadam.

Czy teraz powiększony kapitał na pomnik i czy 4 tomy korespondencyi i listów Konarskiego są w bibliotece przezemnie danej *ad usum* zgromadzeniu, niech w wyż wspomnieni panowie odpowiedzą i Was uspokoją.

Przyjmijcie pozdrowienie braterskie od Waszego przyjaciela

Ks. Adama Słotwińskiego,
Pijara.

Kraków 19/3 1892 r.



Poruszę tu jeszcze sprawę wydawnictwa szkolnych książek ludowych nie załatwioną dotychczas. Ks. Jerzy Lubomirski, jak wiadomo, wyrobił przed kilkunastu laty w Ministerstwie W. i O. dla zakładu im. Ossolińskich przywilej wydawnictwa książek ludowych szkolnych. Zawarto z p. Wieniarzem we Lwowie kontrakt dziesięcioletni. Po upływie lat dziesięciu, kiedy liczba dzieci w szkołach ludowych znacznie się powiększyła, spółka drukarzy krakowskich z księgarzem Himmelblauem na czele podała kuratorowi zakładu Ossolińskish ofertę (opartą na kaucyi 100000 złr.) i naznaczyła ceny książek o wiele niższe od cen przepisanych powyżej wspomnianem kontraktem.

Nie mogąc się żadnej doczekać odpowiedzi, spółka ta uprosiła mnie, abym osobiście ks. Andrzejowi Lubomirskiemu, kuratorowi zakładu Ossolińskich, całą sprawę szczegółowo przedstawił. W tym celu udałem się 10 września 1888 do Lwowa. Rozmowa moja z ks. Andrzejem nie przyniosła pożądanego rezultatu, owszem stała się powodem procesu.

W roku następnym po trzydniowej rozprawie sądowej (20, 21 i 23 listopada), na której owa sprawa była traktowaną, c. k. Namiestnictwo wzięło wydawnictwo książek ludu szkolnych pod kuratelę. Wstyd autonomii krajowej i dziennikarstwu galicyjskiemu, że tej tak fundamentalnej sprawy nie wzięto pod rozwagę i na ofertę krakowskich przedsiębiorców się nie zgodzono. Pijar zakonnik podniósł tę sprawę i musiał być kozłem ofiarnym za to, że się poważył wykryć nadużycia i opieszałość instytucyi stojącej pod zarządem ks. kuratora. Gdyby oferta drukarzy krakowskich na stutysięcznej kaucyi oparta była przyjęta, kraj byłby zyskał 300,000 złr. rocznie na taniości książek, ubodzy w Galicyi za 25,000 złr. rocznie, a ubodzy gminy krakowskiej za 12,000 złr. jednorazowo na egzemplarzach gratis; Wydziałowi krajowemu i zakładowi Ossolińskich spółka miała prócz tego wypłacać rocznie po 6,000 złr. na szerzenie oświaty ludowej. Nadto zyskaliby odbiorcy na lepszym papierze, druku, oprawie i większej punktualności w przygotowaniu nowych wydań.

Czytelnik raczy łaskawie przeczytać listy moje otwarte, opatrzone datą 7 grudnia 1888 r. i 29 lipca 1889, a będzie miał jasne pojęcie o tej sprawie.

* * *

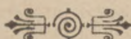
Przedstawiam poniżej ceny książek szkolnych ludowych dla lepszego zoryentowania się czytelnika. Oddaję tę sprawę posłom sejmowym „Stronnictwa Chłopskiego“.

	Cena na mocy kontraktu zawartego pomiędzy panem W. a kuratorem zakładu Ossolińskich	Cena obecna przez c. k. Namiestnictwo ustanowiona po rozprawie sądowej w roku 1889	Cena proponowana przez drukarzy krakowskich.
Mały katechizm	6 ct. w. a.	6 ct. w. a.	6 ct. w. a.
Katechizm Deharbe'a . . .	48 „	22 „	28 „
Elementarz	33 „	30 „	28 „
Pierwsza książka do czytania	40 „	33 „	24 „
Druga książka do czytania .	54 „	40 „	32 „
Trzecia książka do czytania	70 „	64 „	40 „
Biblia ks. Szustera . . .	60 „	50 „	40 „
Pierwsza książka rachunkowa	12 „	8 „	6 „
Druga książka rachunkowa .	20 „	14 „	10 „
Początki nauki języka niemieckiego (całość) . . .	70	„ I część 30 „ „ II część 40 „	40 „

UWAGA: Dziś dla kontroli musi każda książka ludowa być opatrzona pieczątką rządową, bez pieczątki nie wolno książek puszczać w obieg. Czyż to nie wielkie jest upokorzenie dla kuratoryi Ossolińskich?

Zestawiam tu zachowanie się onej Moskiewki w Czerdynie, o której wspomniałem na str. 59 i 69 mych „Wspomnień“ z postąpieniem ks. Andrzeja Lubomirskiego. Moskiewka nie szkodziła mnie i nie była kolporterką swego domu; byłbym mógł być pociągnięty do odpowiedzialności za *crimen laesae maje-*

statis. Andrzej Lubomirski, książe na Przeworsku, zmieniając w znacznej części me wyrażenia „*á huis clos*“ (przy zamkniętych drzwiach) użyte w celu „ostrzeżenia“ go przed nadużyciami jego podwładnych — całą sprawę przed kratki sądowe wyprowadza; został więc kolporterem tego, o czem w jego pomieszkaniu rozmawiano poufnie. Francuzi zowią takiego człowieka „*un traitre de sa propre maison.*



Spis Treści.

	Str.
Przedmowa	5
Opole (nad Wisłą)	7
Pobyt w Chełmie	10
Bunt chłopów nadwiślańskich	30
Zjazd młodych Pijarów	34
Pobyt w Łukowie i wywiezienie mnie w głąb Rosyi	35
Odpoczynek w Permie	48
Pobyt mój w Czerdynie	51
Powrót do Polski	63
Drugi pobyt w Łukowie	77
Zjazdy dyecezyalne	83
Podróż do Rzymu i krótki tam pobyt. Rok 1863 od 6/1 do 11/3 1863	98
Pobyt mój w Krakowie od dnia 14 marca 1863 r. do kwietnia 1864 r.	110
Wyjazd mój przymusowy z Krakowa w roku 1864 i udanie się przez Wiedeń, Peszt, Belgrad, Konstantynopol, Rzym, do Paryża	126
Siedmioletni pobyt w Paryżu	141
Słowo o ks. Karolu Mikoszewskim, o którym na emigracyi i w kraju wiele mówiono i pisały dzienniki polskie	147
Ksiądz Kacper Kotkowski	153
„ Waleryan Kalinka	160
Dalsze szczegóły dotyczące pobytu mego w Paryżu	164
Dodatek I. Przyczyny przedwczesnego ruchu zbrojnego i ogłoszenia jego w roku 1863 w styczniu	182
Dodatek II. Działalność Stanisława Frankowskiego w r. 1863	184
Dodatek III	195
Uwaga w sprawie wydawnictw szkolnych książek ludowych	197

Uwaga! Na str. 195 w wierszu 8 od dołu zamiast wyrazów „do składek“ czytać należy: „... do zużycia dochodów powstających z publikacyi tychże listów na rzecz“ i t. d.

Następujące prace wyszły z druku

STARANIEM AUTORA „WSPOMNIEŃ".

1. Higiena moralna czyli wskazówki dla matek Chrześciańskich polek jak mają wychowywać dziatki swe.
2. Rys krótki Zgromadzenia X. X. Pijarów w Polsce i w Krakowie.
3. Uroczystość pochowania Serca X. St. Konarskiego w kościele Pijarów w Krakowie.
4. »Złote Serce« wiersz Teofila Lenartowicza.
5. Wybrane Poezye M. Anioła Duryniego A. Biskupa i Nuncyusza w Polsce o ks. Stanisławie Konarskim.
6. List otwarty do J. W. Prezydenta Szlachtowskiego z d. 30/6 1887.
7. Dwa listy otwarte do rodziców w sprawie cen takich książek ludowych.
8. Prawa i zwyczaje konwiktu X. X. Pijarów w Krakowie.
9. Ustawa Bractwa Opieki N. Maryi Panny zaprowadzonego w kościele Pijarskim przez ks. A. Słotwińskiego.

